



1989 – 1991:

ewolucja ładu w Europie Środkowej i Wschodniej



Redakcja
Małgorzata Nocuń
Tomasz Stępniewski



1989
– 1991:

**ewolucja ładu
w Europie Środkowej
i Wschodniej**

W serii Europa Środkowa ukazały się:

Europa Środkowa. Rozmowy o (nie)pamięci

red. Tomasz Stępniewski, Lublin 2020

Oblicza Europy Środkowej

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Sojuz ruszymy. Związek Sowiecki 30 lat po upadku

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Wyszehrad porwany. Rozmowy o Europie Środka

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Europa Wschodnia. Nowe rozdział

red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2022

Zrozumieć Europę Środkową. Od Haleckiego do Kłoczowskiego

red. Tomasz Stępniewski, Lublin 2022

Bałkany: stabilna niestabilność

red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2023

Europa Bałtycka

red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2023

1989-1991: ewolucja ładu w Europie Środkowej i Wschodniej

red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2024

1989 – 1991: ewolucja ładu w Europie Środkowej i Wschodniej

Redakcja
Małgorzata Nocuń
Tomasz Stępniewski

Instytut
Europy Środkowej 
Lublin 2024

Spis treści

- 6 | Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski
**1989–1991: ewolucja ładu
w Europie Środkowej i Wschodniej. Wstęp**
- 12 | **Rosja nie wyjdzie z wojny wygrana**
| Z Serhijem Plokhim rozmawia Tomasz Stępniewski
- 20 | **Król nie jest nagi, króla nie ma**
| Ze Sławomirem Popowskim rozmawia Zbigniew Rokita
- 30 | **Havel. Społeczeństwo przede wszystkim**
| Z Andrzejem Krawczykiem rozmawia Wiktor Bywalec
- 44 | **Łesia Ukrainka. Nieznane oblicze damy
ukraińskiej literatury**
| Z Anielą Radecką rozmawia Tomasz Kobyłański
- 54 | **Stus. Etyczne imię poety**
| Z Bohdanem Tokarskim rozmawia Urszula Pieczek
- 62 | **Gorbaniewska.
Natasza nie potrafiła skłamać**
| Z prof. Nikołajem Iwanowem rozmawia Zbigniew Rokita

- | Grzegorz Nurek
72 **Márai. Pisarz-prorok z „kraju stojącego w przedsionku piekła”**
- 84 **Miłosz. Twórca tożsamości Polaków**
| Z prof. Andrzejem Franaszkiem rozmawia Ireneusz Dańko
- 96 **Tadeusz Mazowiecki. „Spieszmy się powoli”**
| Z dr. hab. Aleksandrem Hallem rozmawia Ireneusz Dańko
- | Małgorzata Nocuń
108 **Aleksijewicz. Literatura tworzona ku przestrodze**
- | Dominik Wilczewski
118 **Venclova. Optymista w pesymistycznych czasach**
- | Małgorzata Nocuń
128 **Bialacki. W oczekiwaniu na kres reżimu**
- | Marcin Żyła
136 **Janša. Pacyfista broni kraju**
- 144 **Kundera. Marzenie o nowej drodze**
| Z Janem Bělíčkiem rozmawia Kaja Puto
- 152 **Oz. Europa Wschodnia – miejsce, gdzie wydarzyła się Zagłada**
| Z Piotrem Pazińskim rozmawia Ziemowit Szczerek

Małgorzata Nocuń
Tomasz Stępniewski

1989 – 1991:

**ewolucja ładu
w Europie Środkowej
i Wschodniej.**

Wstęp

W 2024 roku mija 35 lat od upadku bipolarnego podziału Europy. Daty 1989 i 1991 oznaczają fundamentalną zmianę układu sił zarówno w Europie, jak i na świecie. Zimna wojna dobiegła końca, a symboliczna linia podziału z tego okresu, przebiegająca wzdłuż rzeki Łaby – „żelazna kurtyna” – przestała istnieć, dzieląc Europę na dwa przeciwstawne bloki polityczne, wojskowe i ideologiczne.

W niniejszym zbiorze wywiadów i esejów pragniemy spojrzeć na te wydarzenia z perspektywy kluczowych postaci i wydarzeń, które przygotowały społeczeństwa tej części Europy na zmiany lat 1989-1991. Poprzez refleksje nad istotnymi postaciami i politykami tamtych lat chcemy naszkicować szerszy obraz sytuacji, zrozumieć te wydarzenia i spojrzeć na nie w nową perspektywę – bogatszej w wiedzę i czas, który upłynął od tamtych dni.

Tom otwiera rozmowa Tomasza Stępniewskiego z Serhijem Plokhim o upadku ZSRR, wojnie rosyjsko-ukraińskiej i stosunkach polsko-ukraińskich. Plokhii zauważa: „Trudno mi wyobrazić sobie scenariusz, w którym Rosja stałaby się silniejsza w wyniku trwającej wojny. Zniszczona została połowa jej armii, sankcje nadal obowiązują i prawdopodobnie będą kontynuowane przez długi czas, co zmienia relacje z Chinami – Moskwa zaczyna tu odgrywać rolę klienta”. Następnie Zbigniew Rokita rozmawia ze Sławomirem Popowskim, wieloletnim korespondentem polskich mediów w Rosji. Popowski zauważa, że „nawet większość rosyjskich demokratów, w tym Jelcyń, nie wyobrażała sobie, że Rosja mogłaby nie mieć żadnych wpływów na obszarze poradzieckim. Szukano sposobu, jak to zrobić, żeby

i dać niepodległość, i zachować wpływy. Ten sposób myślenia obowiązuje zresztą do dzisiaj”. Kolejna rozmowa dotyczy postaci Václava Havla. Andrzej Krawczyk, były ambasador RP w Czechach i na Słowacji, mówi Wiktorowi Bywalcowi, że „najważniejsza rzecz, jaka pozostała z myśli Havla, to kwestia »bezpartyjnej polityki« i znaczenie społeczeństwa obywatelskiego”. Tomasz Kobyłański rozmawia z Anielą Radecką o Łesi Ukraince, stwierdzając, że „odczytanie biografii i twórczości Łesi Ukrainki pomoże współczesnemu odbiorcy zrozumieć sytuację zależności i relacji Ukrainy i Rosji, wytłumaczy genezę ukraińskiego oporu oraz dążenia do osiągnięcia pełni niezależności od »mocarnego« sąsiada, który dalej postrzega się w kategoriach imperialnych”.

W duchu ukraińskiej literatury pozostaje rozmowa Urszuli Pieczek z Bohdanem Tokarskim o Wasylu Stusie. Zbigniew Rokita przeprowadza interesującą rozmowę z prof. Nikołajem Iwanowem na temat Natali Gorbaniewskiej, którą spuentować można słowami: „Gorbaniewska była niesamowitą polonofilką. Tłumaczyłem jej, że inaczej patrzyłaby na Polskę, gdyby tu mieszkała na stałe, a nie tylko przyjeżdżała z Paryża, ale ona nie słuchała. Uważała, że jest to kraj ludzi odważnych i sprawiedliwych. Polska była dla niej symbolem demokracji i wolności”. Grzegorz Nurek przybliży postać Sándora Máraia, pisarza proroka z „kraju stojącego w przedsionku piekła”. Kolejne dwa teksty dotyczą sceny polskiej. O Czesławie Miłoszu, twórcy tożsamości Polaków, Ireneusz Dańko rozmawia z prof. Andrzejem Franaszkiem, pisarzem i biografem Miłosza oraz Herberta, który stwierdza, że „Miłosz pozostał wierny swoim przekonaniom, które na emigracji zbliżyły go choćby do Jerzego Giedroycia, redaktora naczelnego paryskiej »Kultury«, głoszącego potrzebę współpracy i pojednania narodów dawnej monarchii Jagiellonów. To przecież właśnie krąg intelektualny »Kultury« podnosił prawo, a nawet konieczność istnienia suwerennej Ukrainy, Litwy (i szerzej: państw bałtyckich) oraz Białorusi, wyzwolenia ich spod hegemonii Związku Sowieckiego. Już w latach pięćdziesiątych myślano tu o nowej Europie – federacji wolnych podmiotów, ojczyzn, a więc o czymś na kształt dzisiejszej Unii”. Ten sam Ireneusz Dańko rozmawia z dr. hab. Aleksandrem Hallem o Tadeuszu Mazowieckim, którego działania polityczne określa w następujący sposób: „Mazowiecki był przeciwnikiem działania na zasadzie – wszystko albo nic. Z innymi ekspertami zdawał sobie doskonale sprawę, że gra idzie o wielką stawkę, dlatego szukali takiej formuły porozumienia, która pozwoliłaby stronie

rządowej zachować twarz i zapobiegłaby siłowemu rozwiązaniu. Za najważniejsze uważał dokonanie wyłomu w systemie”. W tekście autorstwa Małgorzaty Nocuń poszerzamy naszą wiedzę o zdobywczyni Nagrody Nobla, Swietłanie Aleksijewicz, która o swojej twórczości mówi: „tysiące słów, tego, co pomiędzy słowami i obok słów, urywki naszego życia i bytu składają się nie na realność, a obraz (realność jest niemożliwa do odwzorowania). To obraz naszych czasów – jak je widzimy, jakie wspomnienia o nich zachowaliśmy”.

Następnie Dominik Wilczewski pisze o optymizmie w pesymistycznych czasach: „Tomas Venclova, podobnie jak jego przyjaciele-poeci: Czesław Miłosz i Josif Brodski, uważał, że z działaniem twórczym ściśle związane jest nieuleganie i sprzeciwianie się złu – nawet gdyby miało się być w tym osamotnionym, a sam sprzeciw wydawał się bezsensowny”. W kolejnym tekście Małgorzata Nocuń pisze o Alesiu Bialackim: „gdybym miała możliwość porozmawiania z Alesiem Bialackim – bohaterem tego tekstu – domyślam się, co by powiedział. Stwierdziłby, że uczynił »tylko« to, co było jego powinnością, czyli zaangażował się w działalność na rzecz praw człowieka. W warunkach białoruskich owe »tylko« może kosztować życie”. Dodaje również: „jedno jest pewne: Białoruś trwa dzięki niezłomności takich ludzi jak Bialacki. Tylko ich trud i poświęcenie sprawiają, że nie została zupełnie podporządkowana Rosji”. Następnie przenosimy się do Słowenii, gdzie Marcin Żyła pisze o Janezie Janšy, dzięki któremu ten mały kraj obronił swą suwerenność. Żyła podkreśla, że „jeśli w Polsce u źródeł sukcesu Solidarności tkwił sojusz intelektualistów i robotników, w Słowenii na przednówku przemian zjednoczyli się intelektualiści i młodzież. Z awangardowego pisma »Mladina« staje się pierwszym w Jugosławii magazynem śledczym, czytany w całym kraju”. W przedostatnim tekście ukazana jest postać Milana Kundery, jednego z najbardziej znanych czeskich pisarzy na świecie. Z Janem Bělíčkem, czeskim literaturoznawcą, rozmawia Kaja Puto. Ostatnia rozmowa dotyczy izraelskiego „dziecka niepodległości” – Amosa Oza, którego postać przedstawia Piotr Paziński, tłumacz m.in. z hebrajskiego i znawca problematyki żydowskiej, w rozmowie z Ziemowitem Szczerkim.

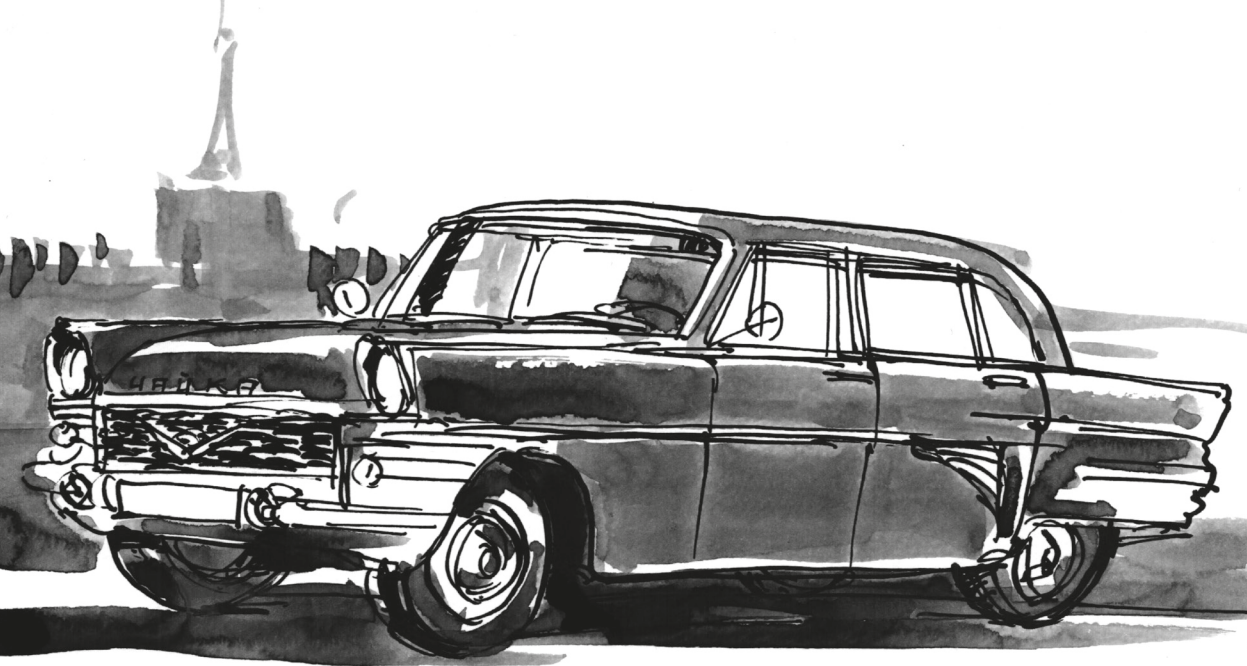
Mamy nadzieję, że zebrane w tym tomie wywiady i eseje pozwolą Wam, drodzy Czytelnicy, spojrzeć na wydarzenia lat 1989-1991 z nowej perspektywy oraz lepiej zrozumieć tło i konsekwencje upadku bipolarnego podziału Europy. Każda rozmowa i każdy tekst to unikalna okazja do

zglobienia historii, poznania inspirujących postaci oraz refleksji nad ich wkładem w kształtowanie współczesnego świata. Życzymy Wam ciekawej lektury oraz inspirujących odkryć, które pobudzą do dalszych poszukiwań i pogłębiania wiedzy na tematy poruszane w tej książce. Niech te postacie i historie będą dla Was nie tylko źródłem informacji, ale również inspiracją do własnych badań i refleksji nad przeszłością i przyszłością tej części Europy.

Miłej lektury!

Kraków – Lublin, czerwiec 2024





Rosja nie wyjdzie z wojny wygrana

Z Serhijem Plokhim
rozmawia Tomasz Stępniewski

Serhii Plokhii jest ukraińskim historykiem, dyrektorem Ukraińskiego Instytutu Badawczego na Uniwersytecie Harvarda. Autor książek m.in. „Rosja-Ukraina. Największe starcie XXI wieku”, „Ostatnie imperium. Historia upadku Związku Radzieckiego”, „Czarnobyl. Historia nuklearnej katastrofy”, „Zapomniane bękartu frontu wschodniego”.

Tomasz Stępniewski, dr hab., prof. KUL, jest zastępcą dyrektora ds. badawczo-analitycznych Instytutu Europy Środkowej w Lublinie oraz profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Kierownik Katedry Teorii Polityki i Studiów Wschodnich w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji KUL.

Tomasz Stępniewski: Czy zgadza się Pan Profesor, że upadek reżimu komunistycznego w regionie, który nastąpił trzydzieści pięć lat temu, zapoczątkował proces definitywnego zakończenia zimnej wojny?

Serhii Plokhii: Oczywiście. Upadek komunizmu i zakończenie zimnej wojny są częścią procesu, który miał miejsce w regionie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku. Kolejnym kluczowym elementem tej historii, obok zakończenia zimnej wojny i upadku komunizmu, był rozpad Związku Radzieckiego. Ten etap przyczynił się do dalszej dezintegracji imperialnej Rosji, procesu zapoczątkowanego w latach I wojny światowej i kontynuowanego w 1991 roku. Prowadzimy tę rozmowę w lutym 2024 roku, właśnie kończy się drugi rok wielkiej wojny w Ukrainie, w mojej opinii w dalszym ciągu jest to część długotrwałego procesu rozpadu imperialnej Rosji.

Odwołując się do badań Pana Profesora, spróbujmy powiedzieć, jakie czynniki przyczyniły się do rozpadu ZSRR. Czy uważa Pan, że Michaił Gorbaczow miał plan rozwiązania Związku Radzieckiego?

To, z czym mamy tu do czynienia, to historia różnych krajów w gruncie rzeczy dobrze znana z XX wieku: w tym konkretnym przypadku dotyczy jednego państwa, które przegrało istotną konfrontację geopolityczną i które jest wieloetnicznym imperium. To okres I wojny światowej, kiedy imperium zaczęło się rozpadać, a także II wojny światowej, kiedy nastąpiła kontynuacja tych wydarzeń. Następnie, po wojnie, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku doszło do wielkich procesów dekolonizacyjnych. Nic nie dzieje się z dnia na dzień – wszystkie zmiany historyczne wymagają czasu, aby naprawdę mogły stać się zauważalne.

Skutki tego, że Związek Radziecki przegrał zimną wojnę, są takie same jak w przypadku I i II wojny światowej. Należy wziąć też pod uwagę inny ważny proces, na który patrzę z perspektywy historycznej: jeśli przebadamy rosyjską historię wojen, zakończonych niepowodzeniem, zobaczymy, że niosły one pewnego rodzaju transformację. Może to być reforma, może to być rewolucja. Po przegranej w wojnie krymskiej nastąpił okres reform, nazywanych liberalnymi. W tym samym czasie miało miejsce powstanie styczniowe. Następnie na początku XX stulecia miała miejsce przegrana wojna rosyjsko-japońska i ona przyniosła Rosji podobne zmiany. Jak widać, porażki wojenne często prowadzą do przemian w tym kraju. Konflikt w Afganistanie oraz zimna wojna przyniosły Sowietom kolejną zapaść. Tym razem próba reformy (podjęta z góry) ostatecznie doprowadziła do rozpadu Związku Radzieckiego. To jest ważna część historii, która nazywa się kryzysem imperium, kryzysem w centrum, ale aby imperium naprawdę się rozpadło – co różni się od wydarzeń, które nastąpiły po wojnie krymskiej i rewolucji lutowej – potrzebni są również aktorzy regionalni, za którymi stoją silne ruchy narodowe. W przypadkach innych imperiów mogą to być grupy religijne, które są zdeterminowane, by wkroczyć na scenę i wziąć udział w procesie przeprojektowania dawnej przestrzeni imperialnej. Z tej perspektywy Związek Radziecki nie jest tu czymś wyjątkowym: są różnice, ale są też paralele z rozpadem innych mocarstw. Rozpada się w wyniku osłabienia w centrum imperium, co częściowo związane jest ze stosunkami międzynarodowymi oraz zdolnością regionalnych aktorów do przedstawienia alternatywnych wizji dla przestrzeni i ideologii nowych państw. Te dwie rzeczy zbiegły się w 1991 roku, grzebiąc ZSRR.

Skupmy się teraz na wojnie Rosja-Ukraina i jej genezie. Jakie są, Pana zdaniem, główne uwarunkowania stosunków Rosji z Ukrainą? Osobiście uważam, że najważniejsze są wartości i zasady, a nie geopolityka. Czy podziela Pan taką opinię?

Wierzę w wieloaspektowość niemal każdego wydarzenia, każdego procesu. Oczywiście, niektóre czynniki są ważniejsze od innych. Zmiany w wartościach społecznych, które obserwowaliśmy w ciągu ostatnich trzydziestu lat, są ściśle związane z historycznym rozwojem danej grupy lub narodu. Rosja, symbolizowana przez Borysa Jelcyna stojącego na czołgu, w latach 1989-1991 była uważana za kraj demokratyzujący się, a jednak okazała się państwem autorytarnym, a w niektórych aspektach – częściowo stalinowskim. Natomiast na niepodległość Ukrainy patrzono niekiedy z podejrz-

liwością, taką optykę przyjęła też Moskwa. Uważano, że stara ekipa partyjna próbuje przez proklamowanie niepodległości zachować reżim komunistyczny. Ukraina okazała się jedną z latarni demokracji w regionie, jedną z niewielu postsowieckich republik, która nie tylko miała krótki flirt z demokracją na początku lat dziewięćdziesiątych, ale też utrzymała się jako państwo demokratyczne przez ponad trzy dekady. I rodzi się pytanie: dlaczego? Moim zdaniem, chodzi

o postawy, wartości, o kulturę polityczną. Rosjanom jest naprawdę trudno istnieć poza państwem, które z natury związane jest z rosyjską historią i imperializmem. Natomiast Ukraińcom było ciężko, szczególnie w ostatnim etapie wojny, znaleźć sojusznika w innym państwie. Ukraiński projekt polityczny w dużej mierze inspirowany był polskim modelem – to warto podkreślić. W myśleniu Mickiewicza i Szewczenki widoczne są wyraźne analogie, przy czym obaj buntowali się przeciwko państwu. Należy pamiętać, że Polacy w XIX wieku walczyli z kilkoma zaborcami, a Ukraińcy stawiali opór Rosji i Rzeczypospolitej. W tym kontekście państwo postrzegane było jako podmiot obcy, ktoś, kto przychodzi w celu nadużywania i wykorzystywania, a więc twór szkodliwy dla jednostki. Warto w tym miejscu przyjrzeć się, w jaki sposób konstruowana jest historia ukraińska i historia rosyjska: rosyjska koncentruje się na carach i na władcach, ukraińska – na Kozakach. Niezależnie od historycznych faktów, bo to osobna kwestia, w ukraińskiej mitologii Kozacy symbolizują demokrację i równość (można by tu przeprowadzić analogię do epoki rewolucji francuskiej). Mitologia, obecna w społeczeństwie, odzwierciedla jego wartości i aspiracje. Jeśli narodowa narracja celebrowała takie postaci historyczne, jak Piotr Wielki i Katarzyna Wielka, które symbolizują władzę autorytarną lub monarchię, a więc przeciwieństwo demokracji i równości, to znaczy, że nawet jeśli dwa narody mówią tym samym językiem, to ich odmienne narracje kulturowe odnoszą je do dwóch zupełnie różnych grup.

Na niepodległość Ukrainy patrzono z podejrzliwością, taką optykę przyjęła też Moskwa. Uważano, że stara ekipa partyjna próbuje – przez proklamowanie niepodległości – zachować reżim komunistyczny. Ukraina okazała się jedną z latarni demokracji w regionie, jedną z niewielu postsowieckich republik, która nie tylko miała krótki flirt z demokracją na początku lat dziewięćdziesiątych, ale też utrzymała się jako państwo demokratyczne przez ponad trzy dekady.

Czy przewiduje Pan Profesor pojawienie się nowego krajobrazu geopolitycznego w Europie Wschodniej lub w Europie jako całości w wyniku trwającej pełnoskalowej wojny Rosji z Ukrainą? Mimo że Unia Europejska i Stany Zjednoczone wspierają Ukrainę, rosną obawy dotyczące negocjacji pokojowych kończących wojnę. Czy dostrzega Pan potencjał dla pokojowych rozwiązań?

Mogę wypowiadać się na temat aktualnych wydarzeń i sugerować, że jeśli obecne tendencje będą się utrzymywać, to prawdopodobnie tak będzie kształtować się przyszłość. Jedną z wyraźnych zmian, które zauważamy i która nie miała miejsca przed 2022 rokiem, jest to, co nazywam powrotem Zachodu – powrotem jedności transatlantyckiej i współpracy między Stanami Zjednoczonymi a Europą, co nie istniało od czasów zimnej wojny. Inną rzeczą, która wynika z obecnej wojny, jest zniknięcie, czy może precyzyjniej proces znikania, szarych stref w Europie, do których należała Ukraina. Nie wiemy, co stanie się z Gruzją. W 2020 roku, po protestach spowodowanych sfałszowanymi wyborami prezydenckimi, zdecydowanie zbyt duże nadzieje pokładano w Białorusi. Skutkiem tej wojny na pewno jest zniknięcie szarych stref w praktycznym sensie. Ta nowa rzeczywistość wymaga jednak działań prawnych i reakcji organizacji międzynarodowych, co już się dzieje. Ukraina stała się kandydatem do członkostwa w Unii Europejskiej, czego oczywiście nikt się nie spodziewał przed rozpoczęciem konfliktu. Proces integracji Ukrainy ze Wspólnotą nie będzie ani prosty, ani szybki, trwają też dyskusje na temat potencjalnego członkostwa Ukrainy w NATO. Przypomnijmy, że w kontekście przynależności do Sojuszu podjęte zostały już decyzje w sprawie Szwecji i Finlandii. Przypadek Finlandii, teraz już członka NATO, jest szczególnie

istotny, jest to państwo z tzw. szarej strefy z czasów zimnej wojny, kiedy znajdowało się w sferze obu bloków, ale zachowało neutralność. Dziś zmiany związane z tym państwem znów mogą być istotne dla aktualnej sytuacji, także w odniesieniu do kwestii granic i bezpieczeństwa. To prowadzi wywód do kolejnego istotnego punktu. W przeciwieństwie do okresu zimnej wojny, obecnie Europa staje się coraz bardziej samodzielnym aktorem w polityce międzynarodowej. Aktualna sytuacja w Waszyngtonie jest absolutnie patowa:

Trudno mi wyobrazić sobie scenariusz, w którym Rosja stałaby się silniejsza w wyniku trwającej wojny. Zniszczona została połowa jej armii, sankcje nadal obowiązują i prawdopodobnie będą kontynuowane przez długi czas, co zmienia relacje z Chinami – Moskwa zaczyna tu odgrywać rolę klienta.

większość członków Kongresu jest za wsparciem Ukrainy, ale XVIII-wieczny system polityczny uniemożliwia skuteczne reagowanie na wyzwania XXI wieku. W związku z tym Europa stara się wypełnić tę lukę. Proces ten przebiega stopniowo, nie natychmiastowo, Europa zaczyna odgrywać rolę, której nie pełniła w latach zimnej wojny. Fakt ten odnosi się również do innego obszaru geograficznego i kulturowego, ponieważ dziś obejmuje także takie kraje jak Polska, które kiedyś należały do Europy Wschodniej, a dziś określają się jako Europa Środkowa. Zaczynają

one odgrywać coraz istotniejszą rolę w europejskim układzie. Zmiany te prawdopodobnie będą kontynuowane. Jeśli natomiast chodzi o Rosję, to – niezależnie od tego, co dzieje się na linii frontu – trudno mi wyobrazić sobie jakikolwiek scenariusz, w którym Rosja stałaby się znacznie silniejsza w wyniku trwającej wojny. Przede wszystkim zniszczona została połowa jej armii, sankcje nadal obowiązują i prawdopodobnie będą utrzymane przez długi czas, co zmienia relacje z Chinami – Moskwa zaczyna tu odgrywać rolę klienta. Umowa pokojowa zapewne zostanie podpisana, choć z historycznego punktu widzenia ironia polega na tym, że im dłużej trwa wojna, tym większe prawdopodobieństwo, że będzie kontynuowana. Wojny jednak się kończą i ta również kiedyś się skończy, możliwe, że wtedy nie będzie już szarych stref, a Ukraina pozostanie krajem pogranicznym, ale znajdzie się po właściwej – zachodniej – stronie.

Upadek komunizmu i zakończenie zimnej wojny są częścią procesu, który miał miejsce w regionie w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku. Kolejnym kluczowym elementem tej historii, obok zakończenia zimnej wojny i upadku komunizmu, był rozpad Związku Radzieckiego.

Czy uważa Pan, że obecny konflikt – mam na myśli wojnę Rosja-Ukraina – może stworzyć okazję do zbudowania pozytywnych stosunków między Polską a Ukrainą, opartych na wspólnej, często trudnej historii, z uwzględnieniem napięć pojawiających się między naszymi państwami?

Podoba mi się Pana sformułowanie i zdecydowanie zgadzam się, że jest to unikalna okazja, którą możemy wykorzystać albo – co niestety często miało miejsce w naszej historii – po prostu przegapić. Jednak jest jedna rzecz, którą nazywam polskim cudem w tej wojnie, otóż mam na uwadze sposób, w jaki przyjęto w Polsce ukraińskich uchodźców. Za tą postawą kryją się oczywiście kwestie geopolityczne i obawy historyczne związane

z Moskwą. Dodatkowo, gdy spojrzymy na historię z uchodźcami z Bliższego Wschodu zarówno w Polsce, jak i całej w Europie oraz unikalną życzliwość, z jaką Polska przyjęła ukraińskich uchodźców, przekonamy się, że – mimo wszystkich naszych sporów o to, kto miał rację, a kto się mylił, oraz o to, co było agresją, a co jedynie odpowiedzią na nią – istnieje głęboko zakorzeniony kod kulturowy i historyczny, który łączy nasze społeczeństwa i jest stale obecny. Nie da się tego wyjaśnić inaczej. Ludzie otwierali swoje mieszkania, zapraszając do swoich rodzinnych przestrzeni absolutnie obcych ludzi. Naprawdę nie można tego robić bez pewnych elementów wspólnej historii i podzielanych wartości. To nasze zadanie, aby na tym budować, a nie sprowadzać wszystkiego do kwestii geopolitycznych lub politycznych.



Król nie jest nagi, króla nie ma



Ze Sławomirem Popowskim, wieloletnim
korespondentem polskich mediów w Rosji,
rozmawia Zbigniew Rokita

Sławomir Popowski jest dziennikarzem. W przeszłości m.in. wieloletni korespondent polskich mediów w Związku Radzieckim i Rosji.

Zbigniew Rokita jest dziennikarzem. Laureat Literackiej Nagrody Nike. Autor książek, m.in. „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” i „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”.

Zbigniew Rokita: Związek Radziecki formalnie rozwiązano w Puszczy Białowieskiej ósmego grudnia 1991 roku. Przez cały rok 1991 starano się jednak – tak Borys Jelcyń, jak i Michaił Gorbaczow – zachować ZSRR. Służyć temu miał nowy traktat związkowy, który planowano podpisać w sierpniu.

Sławomir Popowski: Właśnie dlatego część radzieckich polityków, z wiceprezydentem ZSRR Giennadijem Janajawem na czele, przeprowadziła pucz – aby nie dopuścić do podpisania traktatu. Po nieudanym puczu najprostszym rozwiązaniem wydawało się podpisanie układu związkowego wynegocjowanego wiosną 1991 roku, ale do tego również nie doszło. Traktat był zbliżony do modelu zaproponowanego przez Andrieja Sacharowa i zakładał rekonstrukcję Związku Radzieckiego. Sojuz miał nazywać się teraz Związek Suwerennych Republik Radzieckich i być federacją samodzielnych republik.

I Dlaczego nie wrócono do tego pomysłu po upadku puczystów?

Gorbaczow popełnił ogromne błędy. Gdy pucz się skończył, trzy dni trwała kontrrewolucja nazwana przez współpracowników Gorbiego kontrpuczem, czyli szybka ofensywa Jelcyna. Te dni zadecydowały o układzie sił między Jelcynem a Gorbaczowem.

I Jakie błędy popełnił Gorbaczow?

Po powrocie do Moskwy z internowania przez puczystów, Gorbaczow nie spotkał się ani z ludźmi pod Białym Domem, ani z Jelcynem. Zamiast

tęgo zamknął się na Kremlu i zajął obsadzaniem stanowisk rządowych po aresztowanych puczystach. Zachował się jak partyjny aparatczyk w starym stylu, choć po powrocie mógł jeszcze przejąć kontrolę i ponownie zostać liderem, a tak – został z niczym. Jelcyń tymczasem znakomicie wyczuwał nastroje ulicy. O upadku ZSRR oraz Gorbaczowa przesądziły pierwsze godziny i dni po puczu, a także ugruntowały wielką już przewagę polityczną Jelcyna. Jelcyń szybko zaczął rozdawać karty, wymusił na prezydencie ZSRR m.in. zmianę już ogłoszonych przez Gorbaczowa nominacji personalnych na kluczowych stanowiskach, co więcej – jako prezydent Rosji zaczął przejmować majątek ZSRR, szczebla związkowego. Wówczas przywódcy innych republik zdali sobie sprawę, że Rosja próbuje wejść w buty ZSRR.

Paradoks puczu polegał na tym, że to właśnie ci, którzy chcieli ratować Sojuz, pograżyli go. Gdyby więc nie pucz i późniejsze błędy Gorbaczowa, ZSRR przetrwałby nieco dłużej?

Prawdopodobnie tak, ale już tego nie sprawdzimy.

A jakie było polityczne znaczenie Gorbaczowa między końcem sierpnia a ósmym grudnia 1991 roku, gdy przywódcy Białorusi, Ukrainy i Rosji podpisali porozumienie o rozwiązaniu ZSRR? Gorbiego w Wiskuli nie było.

Pod koniec lata i jesienią 1991 roku wciąż próbowano wymyślić nowy model dla wspólnego funkcjonowania większości republik radzieckich (niektóre, jak Litwa, Łotwa i Estonia, od początku nie chciały brać udziału w żadnych negocjacjach związkowych; dążyły do pełnej niepodległości i w zasadzie już się z tym wówczas pogodziło). Wielu przywódcom radzieckim wciąż jednak nie mieściło się w głowie, że Ukraina, Białoruś, Rosja czy Kazachstan mogą pójść każde w swoją stronę. Gorbaczow do ostatniej chwili walczył o utrzymanie swojej pozycji i centrum związkowego, ale coraz bardziej przegrywał. Dwudziestego czwartego sierpnia, zaraz po puczu, deklarację niepodległości ogłasza Ukraina; kolejno to samo robią też inne republiki. Ukraińcy decydują jednak, że deklaracja nabierze mocy dopiero po zatwierdzeniu jej w krajowym referendum. Ukraina głośno mówiła, że nie interesuje jej odbudowa ZSRR, lecz cywilizowany rozwód. Dlatego, zastaniając się oczekiwaniem na wyniki referendum, Leonid Krawczuk w ogóle nie chciał rozmawiać o współpracy politycznej, tylko o gospodarczej.

I Wyniki referendum przypieczętowały ten wybór.

Przeprowadzono je pierwszego grudnia 1991 roku i okazało się absolutnym triumfem tych, którzy chcieli niepodległości. Krawczuk liczył na przekroczenie progu 70 procent głosów „za” niepodległością, gdyż taki odsetek Ukraińców kilka miesięcy wcześniej opowiedział się za zachowaniem ZSRR. Ostatecznie Krawczuk odniósł dwa sukcesy. Po pierwsze, wybrano go na prezydenta, bo referendum towarzyszyły wybory prezydenckie. I to z wynikiem 61 procent, deklasującym pozostałych konkurentów. Najlepszy z nich – Władimir Łuczynski – dostał tylko 23 procent, po drugie, przy frekwencji 84 procent, ponad 90 procent Ukraińców opowiedziało się za niepodległością. Wyniki w skali kraju były bardzo wysokie: w Galicji – 97 procent, w obwodzie odeskim – 85 procent, w donieckim – 77 procent, nawet na Krymie – 54 procent. Nie było żadnego regionu, gdzie większość nie poparłaby samodzielności. To fundamentalnie zmieniało sytuację.

Późnym latem i jesienią 1991 roku wciąż próbowano wymyślić nowy model dla wspólnego funkcjonowania większości republik radzieckich. Niektóre, jak Litwa, Łotwa i Estonia, dążyły do pełnej niepodległości i w zasadzie już się z tym wówczas pogodziło.

Oddzielenie się Ukrainy miało istotne znaczenie dla przyszłości ZSRR. Co oznaczało? To też pytanie o dzisiejszą wojnę rosyjsko-ukraińską – o to, czy imperium rosyjskie może istnieć bez Ukrainy?

Oznaczało, że utrzymywanie państwa związkowego nie jest już możliwe. To był problem już nie tylko Gorbaczowa, ale także Rosji i Jelcyna. Tu mała, ale znacząca dygresja: kiedy dwudziestego czwartego sierpnia Ukraina ogłosiła deklarację niepodległości, Jelcyn – podobno – przyjął to spokojnie. Ale już kilka dni później, za pośrednictwem swojego rzecznika Pawła Woszczanowa, oświadczył, że owszem Rosja szanuje dążenie każdej republiki do niepodległości, ale jeśli dana republika będzie chciała zupełnie oddzielić się od Moskwy, to ta zastrzega sobie prawo do podniesienia kwestii granic.

I O co chodziło?

Byłem na konferencji prasowej, podczas której rzecznik Jelcyna wypowiedział się na ten temat. Wymienił sporne regiony: Krym, Donbas, północny Kazachstan, co wywołało spore poruszenie. Padały kolejne żądania, również z obozu demokratów. Na przykład współpracownik Jelcyna, Gawriił

James Baker i władze amerykańskie do samego końca starały się nie dopuścić do rozpadu ZSRR. Obawiano się, że arsenał atomowy zostanie podzielony między cztery republiki, na terenie których był rozlokowany, i nie będzie podmiotu, z którym można będzie o nim rozmawiać.

Popow, wspomniał o pretensjach wobec Mołdawii, a Anatolij Sobczak, późniejszy mer Petersburga, nie zgadzał się na jakąkolwiek niepodległość Ukrainy. Później Putin przejął od Sobczaka, swojego politycznego mentora, ten sposób myślenia.

Wróćmy jednak do ostatnich dni sprzed ukraińskiego referendum. W tym czasie Gorbaczow miał jeszcze szanse na polityczne przetrwanie, ale popełnił kolejny błąd. Wbrew swoim doradcom, do końca upierał się, żeby za wszelką cenę zachować państwo związkowe, choć większość republik była już

zdecydowana na niepodległość. Jednocześnie nawet Rosja gotowa była wówczas zaakceptować szczególną pozycję Gorbaczowa – jako kogoś w rodzaju prezydenta poradzieckiej wspólnoty politycznej, mediatora, panującego, a nie rządzącego.

W jakim celu Leonid Krawczuk przyjechał do Wiskuli w Puszczy Białowieskiej siódmego grudnia na spotkanie z prezydentem Rosji Borysem Jelcynem i przewodniczącym białoruskiego parlamentu Stanisławem Suszkiewiczem?

O Krawczuku mówiono, że jest to jedyny radziecki polityk, który w czasie deszczu nie musi używać parasola – bo jest tak sprawny politycznie, że uchylił się przed każdą kroplą. Krawczuk zachował się rozsądnie, przyjeżdżając na Białoruś. Rozumiał, że istnieją problemy, które muszą być rozwiązane niezależnie od przyszłości ZSRR – np. dotyczące broni nuklearnej, gdyż Ukraina była wówczas trzecim mocarstwem atomowym po USA i Rosji.

Mówimy dużo o rozmowach ukraińsko-rosyjskich. Jakie było zaś znaczenie Suszkiewicza i Białorusi w tych historycznych godzinach w Wiskuli? Byli przede wszystkim mediatorami i gospodarzami?

Nie, znaczenie Białorusinów było większe. Na przykład Jelcyn, dążąc do zachowania w jakiejś formie wspólnoty poradzieckiej, nie chciał pozostać sam z pięcioma republikami muzułmańskimi mieszczącymi się w Azji Centralnej. Potrzebował przeciwwagi, najlepiej trzech republik słowiańskich. Nawiasem mówiąc, to Stanisław Suszkiewicz był pomysłodawcą

spotkania w Wiskuli. Najpierw Jelcynowi, a następnie także Krawczukowi, zaproponował, aby gdzieś z dala od Moskwy spokojnie porozmawiać o coraz trudniejszej, wręcz katastrofalnej sytuacji w kraju – zarówno politycznej, jak i gospodarczej.

Przy okazji chciałbym zdementować jeszcze jeden mit: jakoby spisek „białowiejski” był przygotowywany w tajemnicy przed Kreml. Nic podobnego. Gorbaczow wiedział o planowanym spotkaniu od samego rosyjskiego prezydenta, a nawet zobowiązał go do przedstawienia kolejnej wersji nowego traktatu związkowego. Jelcyn wywiązał się z tego już w pierwszym dniu spotkania „słowiańskiej trójki”.

Formą, którą wymyślono dla współpracy większości republik radzieckich, była Wspólnota Niepodległych Państw, choć początkowo nie było wiadomo, czy będzie ona przypominała Europejską Wspólnotę Gospodarczą czy luźną, poimperialną brytyjską Wspólnotę Narodów.

Pomysł na poradziecką Unię Europejską-bis jest projektem znacznie późniejszym, putinowskim. WNP wymyślona w Wiskuli nie była do końca określona, szczegóły, konkretne propozycje i rozwiązania miały być dopiero wypracowane. Początkowo proklamowanie WNP było więc raczej sposobem na uporanie się z bieżącym kryzysem.

Czyli sposobem na kupienie czasu? Pokazaniem, że nie jesteśmy reaktywni wobec Gorbaczowa, ale że to my nadajemy ton.

Gorbaczow wówczas już się właściwie nie liczył. Rozmawiałem o tym w 1998 roku ze Stanisławem Szuszkiewiczem. W Wiskuli – mówił mi – wydarzyło się coś bardzo istotnego: chcąc uregulować kolejne kwestie, uczestnicy spotkania w pewnym momencie zdali sobie sprawę, że Związku Radzieckiego już po prostu nie ma i nie można go uratować. Uświadomiono sobie – mówił Szuszkiewicz – że nie chodzi już o to, że król jest nagi, ale o to, że króla nie ma. I to był moment krytyczny, punkt zwrotny. Dopiero wtedy zaczęto redagować dokument, w którym trzy republiki-założycielki ZSRR – Białoruś, Ukraina i Rosja – stwierdziły, że ZSRR jako

W Wiskuli zdano sobie sprawę, że Związku Radzieckiego już po prostu nie ma i nie można go uratować. Dopiero wówczas zaczęto redagować dokument, w którym trzy republiki-założycielki ZSRR – Białoruś, Ukraina i Rosja – stwierdzają, że ZSRR jako podmiot prawa międzynarodowego przestał istnieć.

podmiot prawa międzynarodowego przestał istnieć. Coś takiego – według Szuszkiewicza – miało być wypowiedziane wprost przez Giennadija Burbulisa, najbliższego współpracownika Jelcyna, uważanego za jego „szarą eminencję”.

Czyli jadąc do Wiskuli, Krawczuk, Jelcyn i Szuszkiewicz nie wiedzieli, że remontują Sojuz?

W żadnym razie. Nazwano to dopiero na miejscu.

Czy ZSRR unicestwiono pod wpływem alkoholu?

Nie, pijany w sztok raz czy drugi był tylko Jelcyn, reszta nie. Jelcyn nawet na konferencji prasowej, podczas której ogłaszano wyniki rozmów, był nietrzeźwy. O alkoholu w Wiskuli też rozmawiałem z Szuszkiewiczem. Powiedział: „Panie redaktorze, nie jestem przeciwnikiem alkoholu, czasem lubię się napić, mieliśmy tam alkohol, ale po każdym uzgodnionym punkcie porozumienia białowieskiego (a było ich czternaście) napiliśmy się po lampce koniaku, to wszystko”. Słucham tego, rozmawiamy, a po zakończonym wywiadzie Szuszkiewicz pyta: „To, co, panie redaktorze, po studencku?”. „Po studencku”, odpowiadam. Otworzył lodówkę, wyjął pół litra, jednego serdelka, ciach-ciach-ciach, pojawiła się zagrycha, w dwadzieścia-trzydzieści minut wypiliśmy pół litra i to był najcudowniejszy komentarz do naszej rozmowy o rozpadzie ZSRR i porozumieniu w Wiskuli.

Kiedy upadł ZSRR – ósmego grudnia w Puszczy Białowieskiej czy dwudziestego szóstego grudnia, gdy samorozwiązała się Rada Najwyższa ZSRR?

Związek Radziecki skończył się po przegranych puczu w sierpniu. Przyjaźniłem się wówczas z Olegiem Rumiancowem, współautorem rosyjskiej konstytucji. Gdy pucz upadł i trwało świętowanie, stałem na trybunie, z której przemawiał Jelcyn, i rozmawiałem z Olegiem. W pewnym momencie podchodzi do nas Rusłan Chasbułatow, jedna z najważniejszych postaci tamtego czasu, i Oleg pyta go: „Rusłan Imramowicz, co teraz będzie?”. A Chasbułatow odpowiada: „No, jak to co? Przejmujemy wszystko. Ministerstwa, zjednoczenia, banki”. Taka już po puczu była perspektywa rosyjskich władz.

O co walczył Jelcyn w Wiskulach? Czy chodziło o zajęcie miejsca Gorbaczowa i zachowanie rosyjskich wpływów?

Ująłbym to tak: na pewno większość rosyjskich demokratów, w tym Jelcyn, nie wyobrażała sobie, że Rosja mogłaby nie mieć żadnych wpływów na obszarze poradzieckim. Szukano sposobu, by jednocześnie i przyznać niepodległość republikom, i zachować w nich swoje wpływy. Ten sposób myślenia obowiązuje zresztą do dzisiaj, z tym że dziś np. Putin nie dąży już do utworzenia jednego związkowego centrum, ale raczej chce zachować wpływy i uzależnić od siebie dawne republiki, a jeszcze wcześniej – po prostu prowincje rosyjskiego imperium.

Rozwiązanie ZSRR miało poza tym zakończyć okres dwuwładzy między związkowym centrum a coraz bardziej samodzielnymi republikami.

Nawet większość rosyjskich demokratów, w tym Jelcyn, nie wyobrażała sobie, że Rosja mogłaby nie mieć żadnych wpływów na obszarze poradzieckim. Szukano sposobu, jak to zrobić, żeby i dać niepodległość, i zachować wpływy. Ten sposób myślenia obowiązuje zresztą do dzisiaj.

I Dwuwładzy przypominającej tę z 1917 roku.

Właśnie. Gdy w 1991 roku Czeczenia ogłosiła niepodległość i zaczęły się w niej niepokoje, Jelcyn wprowadził w zbuntowanej republice stan wyjątkowy, lecz nie miał dostatecznych sił zbrojnych, które mogłyby wykorzystać do pacyfikacji. Zwrócił się więc do radzieckiego Ministerstwa Obrony o pomoc, ale w odpowiedzi usłyszał, że ma radzić sobie sam, bo ZSRR, także za jego sprawą, znajduje się już w totalnym rozkładzie.

Z drugiej strony, szef białoruskiego KGB Eduard Szyrkowski powiedział o spotkaniu w Wiskulach: „Zasadniczo wystarczyłby jeden batalion, aby wszystkich nas tu zamknąć”. Gorbaczow nie myślał o uwięzieniu przywódców trzech republik w Wiskulach i o wariancie siłowym?

Teoretycznie mógłby to zrobić, ale praktycznie nie miał na to szans. Gdy podpisano porozumienia białowieskie, najpierw Jelcyn zadzwonił, aby poinformować o tym George’a Busha, a Szuszkiewicz – Gorbaczowa. Ale wcześniej Jelcyn wykonał jeszcze jeden telefon: do Jewgienija Szaposznikowa, ministra obrony ZSRR, który – po sierpniowym puczu – objął to stanowisko dzięki Jelcynowi. Teraz dostał gwarancję, że w nowym układzie władzy zostanie głównodowodzącym sił strategicznych. Dlatego kiedy później niektórzy namawiali Gorbaczowa, żeby wykorzystał wojsko do uratowania ZSRR, i on, i Jelcyn wiedzieli, że wojsko za Kremlen już nie

pójdzie. Gorbaczow poza tym obawiał się jeszcze jednego, że sięgnięcie po wariant siłowy oznaczałoby powtórkę scenariusza jugosłowiańskiego na skalę znacznie większą niż to, co działo się na Bałkanach. Mógł rozpocząć wojnę domową w Rosji, ale nie zdecydował się na to. Mimo tego obawa była – Jelcyn jadąc do Gorbaczowa, zażądał listu żelaznego.

| Czy przypuszczałeś wówczas, że ZSRR może rozpaść się tak bezkrwawo?

Nie. Ale jest w tym duża zasługa Gorbaczowa. On do ostatniej chwili istnienia ZSRR szukał możliwości porozumienia, był ostrożny. Nawet po podpisaniu porozumień w Wiskulach, Gorbaczow oświadczył, że cieszy się, że Ukraina wróciła do rozmów – choć na wieść o porozumieniach się wściekł.

| Amerykański sekretarz stanu James Baker kilka dni po porozumieniach białowiejskich ostrzegał, że zima 1991/1992 może mieć tak donośne skutki dla rosyjskiej historii jak zimy 1812, 1917 czy 1941 i może oznaczać koniec „nowej rewolucji rosyjskiej”. Czy w Rosji panowało wówczas poczucie strachu?

Tak, ale pamiętajmy, że James Baker i władze amerykańskie do samego końca starali się nie dopuścić do rozpadu ZSRR. Obawiano się, że arsenał atomowy zostanie podzielony między cztery republiki, na terenie których był rozlokowany, i nie będzie podmiotu, z którym będzie można o nim rozmawiać. Kiedy w grudniu 1991 roku, już po spotkaniu w Wiskulach, Baker rozmawiał w Rosji z ówczesnym jelicynowskim ministrem spraw zagranicznych, Andriejem Kozyriewem, miał pretensje do niego, że ten mówił o ZSRR już w czasie przeszłym.

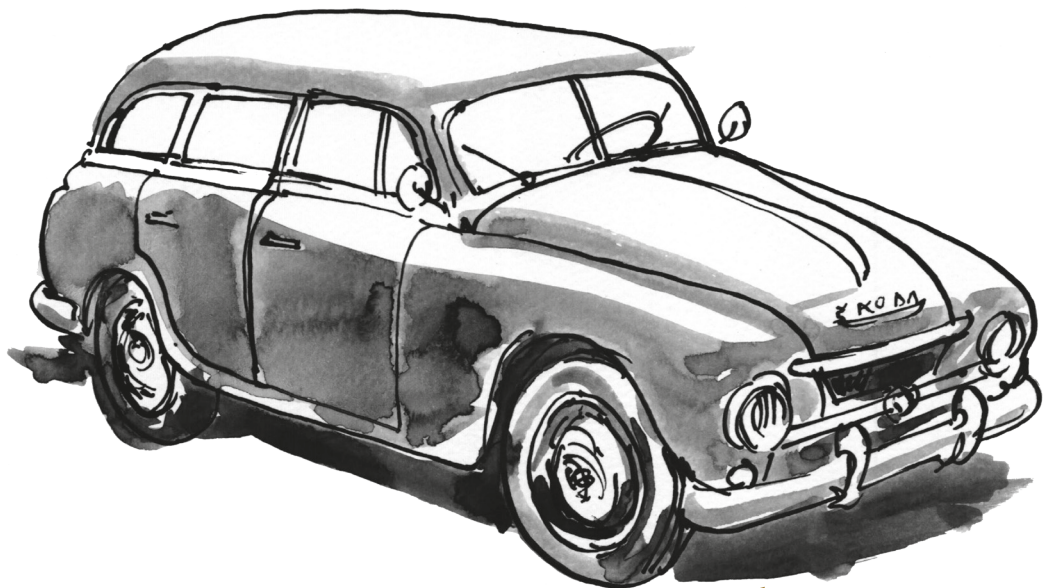
| Opowiadałeś mi kiedyś, jak dwudziestego piątego grudnia stałeś samotnie na Placu Czerwonym...

Byłem tam kwadrans, może dwadzieścia minut po emisji historycznego wystąpienia Gorbaczowa o rozwiązaniu ZSRR i o tym, że oddaje urząd prezydenta nieistniejącego już państwa. Gdy tam przybyłem, plac kremłowski był pusty, żadnej demonstracji: ani triumfu, ani nikogo, kto by wyszedł bronić Sojuza. Po prostu ściągnięto radziecką flagę i... cześć. Wewnątrz Kremla też było spokojnie. Szczegóły oficjalnego przekazania władzy, kodów atomowych itp. były dokładnie ustalone. Na Kremlu czekały już ekipy telewizyjne, w tym amerykańska, które miały wszystko transmitować na żywo. Ale nic z tego nie wyszło. Jelcyn odmówił spotkania z Gorbaczowem,

bo się obraził, że w swoim ostatnim przemówieniu Gorbi mówił o własnych zasługach w demokratyzowaniu Sojuza i ani razu nie wspomniał prezydenta Rosji. Koniec ZSRR był więc cichy, nie uroczysty. Radziecką flagę spuszczoną z masztu podobno zabrali kremlewscy dozorczy.

I Ale dlaczego nikt nie bronił ZSRR, nikt nie wyszedł na Plac Czerwony?

Myślę, że ludzie nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Od 1990 roku nikt już nie nadążał za zmianami. Gdy więc Rosjanie usłyszeli, że powstanie Wspólnota Niepodległych Państw, myśleli, że to jedynie kolejna zmiana nazwy. Nawet elita często nie zdawała sobie sprawy, jakie będą konsekwencje rozpadu ZSRR. Moja znajoma z Moskwy, wiceszefowa jednego z tzw. tołstych żurnalów i wielka stronniczka rosyjskiej opozycji demokratycznej, która nie opuściła chyba ani jednej demokratycznej demonstracji, przyszła do mnie oburzona trzy miesiące po rozpadzie ZSRR i mówi: „Słuchaj, co się dzieje? To skandal, muszę jechać na Łotwę, gdzie mieszka moja rodzina, a każą mi wyrabiać wizę. Co to ma znaczyć?”. „Tak Irina – odpowiedziałem – bo Łotwa to już niepodległe państwo i musisz się z tym pogodzić”.



Havel. Społeczeństwo przede wszystkim

Z Andrzejem Krawczykiem,
byłym ambasadorem RP w Czechach
i na Słowacji, rozmawia Wiktor Bywalec

Andrzej Krawczyk – historyk, urzędnik państwowy oraz dyplomata. Specjalizuje się w historii Europy Środkowej XX wieku, ze szczególnym naciskiem na II wojnę światową. Pełnił funkcję podsekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego. Był ambasadorem Rzeczypospolitej w Republice Czeskiej, na Słowacji oraz w Bośni i Hercegowinie.

Wiktor Bywalec jest dziennikarzem zajmującym się problematyką Europy Wschodniej. Publikuje m.in. w „Nowej Europie Wschodniej”.

Wiktor Bywalec: Kim był Václav Havel, zanim został prezydentem Czechosłowacji i Czech? Jak doszło do powstania Karty 77?

Andrzej Krawczyk: Václav Havel był jednym z twórców Karty 77 i jedną z twarzy ruchu dysydenckiego w Czechosłowacji. Karta przygotowana została pod koniec 1976 roku, a ogłoszona szóstego stycznia następnego roku, stąd też jej nazwa – Karta 77. Jednak nie było to pierwsze pojawienie się Havla w przestrzeni publicznej w Czechosłowacji. Kim był zatem Havel jesienią 1976 roku? Był postacią specyficzną, która wiodła szczególne życie. Pochodzi ze znanej praskiej rodziny, zarówno ze strony ojca, jak i ze strony matki. Ojciec matki, Hugo Vavrečka, był międzywojennym ambasadorem Czechosłowacji w Wiedniu i w Budapeszcie. Był dość znaną postacią w politycznym świecie, ponieważ te ambasady pełniły w tamtym czasie istotną rolę dla Czechosłowacji, poza Waszyngtonem i Paryżem.

Natomiast ze strony ojca Havlowie byli autentycznymi milionerami, właścicielami wytwórni filmowej Barrandov, kompleksu restauracyjno-rekreacyjnego nad Wełtawą oraz kompleksu hotelowo-restauracyjnego Lucerna w samym centrum Pragi. Cały majątek został im odebrany po 1948 roku w ramach przemian ustrojowych i zaprowadzania komunizmu. Nie odebrano im tylko mieszkania, które posiadali niedaleko Wełtawy, w którym Havel dorastał. Matka bardzo dbała o jego wykształcenie, o jego kontakty z ludźmi kultury oraz o etykietę stołu. Pomimo tego, że byli zubożali, do posiłków rodzina zawsze siadała elegancko ubrana. Zachowała się ich przedwojenna zastawa. W tych eleganckich

talerzach jadali najprostsze potrawy, takie jak kartoflanka. W trakcie posiłków ręce należało trzymać na stole. Nie stołowano się w kuchni. Jestem przekonany, że te wszystkie elementy miały wpływ na kształtowanie osobowości Havla.

Havel po skończeniu szkoły powszechnej, ze względu na „złe” pochodzenie, nie mógł kontynuować edukacji w liceum. Musiał pójść do zawodówki – szkoły laborantów przemysłu chemicznego. Później uczył się zaocznie, zrobił maturę i kontynuował naukę w Wyższej Szkole Technicznej. Zaliczył dwa lata studiów na ekonomii transportu.

| Kiedy w jego życiu pojawiły się sztuka i teatr?

Bardzo szybko odkrył w sobie miłość do teatru. Był maniakałnym pożeraczem sztuk teatralnych. Ich czytanie stało się jego pasją. Następnie trafił do wojska, do Czeskich Budziejowic, gdzie spędził dwa lata. Wrócił i dzięki rodzinnej protekcji zaczął pracę jako pracownik techniczny w teatrze. Najpierw w jednym, potem w drugim. Przepracował w nich kilka dobrych lat. Jednak nie był zwykłym pracownikiem fizycznym. Dość szybko załogi teatrów poznały się na nim, wiedziały, że zna się na sztuce, na teatrze, zasięgały jego opinii, czekały na jego refleksje, komentarze, dawano mu teksty do czytania. Stał się swoistym fenomenem w środowisku.

Havel na początku lat sześćdziesiątych zaczął pisać własne sztuki teatralne. Były to małe formy teatralne. Kształtował się wtedy charakter jego twórczości. Warto zwrócić uwagę na jego sztukę „Garden party” z 1963 roku, którą można porównać do „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. Na wspomnianym przyjęciu pojawiają się moralnie mali ludzie, z problemami, faryzeusze funkcjonujący w realiach małej stabilizacji komunistycznej Czechosłowacji. Havel pokazał cenę, jaką płaci się za awanse w takich okolicznościach życiowych. Jego dzieło wzbudziło pewne zainteresowanie. Havel zapisał się do Związku Literatów jako początkujący pisarz.

Po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę podczas zjazdu pisarzy w czerwcu 1967 roku, wygłaszając referat krytykujący praktykę cenzury. W czasie Praskiej Wiosny w 1968 roku opublikował kilka komentarzy, jednak w tym czasie nie był jeszcze postacią powszechnie znaną. W 1976 roku był jednym z inicjatorów powstania Karty 77 – stało się to na fali sprzeciwu wobec procesu undergroundowych muzyków z grupy The Plastic People of the Universe, czyli osób irytujących władzę swoim alternatywnym, niestandardowym sposobem życia. Chodziło o przymuszenie władzy do przestrzegania praw człowieka, które sama ustanowiła. Inicjatywa ta

nie miała charakteru konspiracyjnego, była w pełni jawna. Celem jej sygnatariuszy nie była bynajmniej chęć obalenia władz i ustroju. Karta 77 została przygotowana w kilkuset egzemplarzach i miała zostać dostarczona zarówno do najwyższych władz państwa, jak i ludzi kultury, zagranicznych korespondentów oraz dyplomatów pracujących w Czechosłowacji. Organizacja całej akcji wymagała zakupu kopert, znaczków, wydrukowania i rozesłania dokumentu. Tym zajmował się Havel. Konspiratorzy planowali swoje przesłanie wrzucić do skrzynek pocztowych, ale

szybko zostali rozpracowani przez czechosłowacką bezpiekę, która starała się im przeszkodzić. Havel wraz z kolegami zdołali jednak zmylić tropy, umawiając się przez podsłuchiwany przez bezpiekę telefon na inny dzień, niż ten, na który *de facto* zaplanowali akcję. W rezultacie musieli uciekać przed milicyjnym pościgiem po krętych uliczkach starej Pragi. Auto prowadził znany wówczas aktor Landovsky. Havlowi udało się – gdy auto skręciło gwałtownie w boczną uliczkę i na kilkadziesiąt sekund zniknęło z pola widzenia ścigających – wrzucić do ulicznej skrzynki pocztowej kilkadziesiąt listów z tekstem Karty 77; reszta została skonfiskowana. Listy wrzucone do skrzynki pocztowej – paradoksalnie doszły do adresatów. Całą akcję obserwowali postronni przechodnie, którzy byli przekonani, że Landovsky kręci jakiś nowy film, co przyciągnęło tłum gapiów. Agenci bezpieczeństwa ścigający dysydentów poczuliby się w tej sytuacji głupio. Jednak głównym kanałem rozpowszechniania informacji byli w rzeczywistości zagraniczni korespondenci, których poinformowano o ogłoszeniu Karty 77 już kilka dni wcześniej. W tym samym dniu, szóstego stycznia 1977 roku wieczorem, o wydarzeniu wraz z tekstem Karty donosiło już Radio Wolna Europa i główne światowe agencje.

Havel na początku lat sześćdziesiątych zaczął pisać własne sztuki teatralne. Były to małe formy teatralne. Kształtował się wtedy charakter jego twórczości. Warto zwrócić uwagę na jego sztukę „Garden party” z 1963 roku, którą można porównać do „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego.

I Jaka była reakcja władz i co się stało z Václavem Havlem?

Władze uznały, że Karta 77 szkodzi prestiżowi Czechosłowacji. Havel został zatrzymany dwunastego stycznia 1976 roku i spędził w areszcie śledczym ponad cztery miesiące. Komunistyczne władze czechosłowackie bardzo szybko uruchomiły „Antykartę” – wezwano ludzi kultury do pod-

Częścią koncepcji społeczeństwa obywatelskiego, według Havla, była „bezpartyjna polityka”. Krytykował struktury partyjne, grupowanie się ludzi wokół polityki.

pisywania oświadczenia sławiącego system komunistyczny i jego pozytywny wpływ na życie kulturalne. Niestety, wielu z nich się zgodziło. Jedni twierdzili, że nie wiedzieli, co podpisują, inni, że się bali, niektórzy zaś podkreślali, że nie podpisali, tylko władze ich dopisały. Pamiętać też należy, że zbieranie podpisów pod Kartą 77 wcale nie szło

tak gładko, jakby można dzisiaj było przypuszczać (początkowo zebrano ich niecałe trzysta). Wiele osób odmawiało, obawiając się o swoją pozycję, karierę, rodzinę czy bezpieczeństwo. Czasami przypominało to wciskanie pasty do tubki.

Václav Havel przebywał w komunistycznym więzieniu kilka razy, w sumie spędził w nim prawie cztery lata. W tym czasie miał różne okresy. Czasem stawiał opór strażnikom, innym razem popadał w załamanie i był spinegliwy. Nie ma doniesień o tym, żeby był bity. Szykany, jakie go spotkały, miały charakter psychologiczny, wstrzymywano mu korespondencję, kazano spać na betonowej podłodze itd. Próbował grać z bezpieką. Pamiętajmy o tym, że był to człowiek kultury intelektualnej i dialogu. Ponadto pozostawał otwarty, rozmowny, starał się przestrzegać filozofii Karty 77, która głosiła jawność działania i poszanowanie dla istniejącego prawa.

| Czy czechosłowacka bezpieka nie próbowała zwerbować Havla do współpracy?

Nie spotkałem się z takim przypadkiem. Bezpieka prowadziła z nim raczej grę mającą na celu zniechęcenie go do aktywności o charakterze dysydenckim. To wszystko było płynne, negocjowalne, rozmyte, niedopowiedziane. Havel w rozmowach z nimi zawsze podkreślał, że jego celem nie jest obalenie ustroju, ale poszanowanie dla obowiązującego prawa.

| Pomimo tego rok później dysydenci czechosłowaccy nawiązali kontakty z polskimi kolegami. Jak doszło do ich słynnego spotkania pod Śnieżką?

W przeciwieństwie do Polski, w nurcie dysydenckim w Czechosłowacji nie doszło do współpracy między inteligencją a robotnikami. Czesi patrzyli na Polaków trochę z góry, szczególnie w odniesieniu do ich przywiązania do katolicyzmu, co uważali za zacofanie. Jednak wsparcie okazywane przez Kościół katolicki opozycji w Polsce oraz siła duchowa, jaką dawał on szerokim masom społeczeństwa, budziły zazdrość u Czechów. Dziesięcio-

milionowy ruch Solidarności również robił wrażenie w Czechosłowacji. To raczej strona czechosłowacka szukała kontaktów z polską niż odwrotnie. Łącznikiem pomiędzy nimi był czeski student Tomas Petřivý, który nawiązał kontakt z Jackiem Kuroniem w Warszawie. Miejsce spotkania miało zostać wskazane przez Annę Šabatovą, która zauważyła, że Śnieżka leży na szlaku przyjaźni polsko-czechosłowackiej (tak było to oznaczone na mapie). Strona czechosłowacka wiedziała o istnieniu Komitetu Obrony Robotników z Radia Wolna Europa. Doszło do dwóch spotkań pod Śnieżką w 1978 roku. Trzecie spotkanie zostało już udaremnione przez czechosłowacką bezpiekę. Zmierzający na spotkanie dysydenci zostali zatrzymani na dwie doby. Najdotkliwszą karę poniósł Jaroslav Šabata, niegdyś komunistyczny dygnitarz, a wówczas już opozycjonista, który miał rzekomo zaatakować milicjanta na służbie, w związku z czym został skazany na dziewięć miesięcy więzienia; ponadto odwieszono mu także karę osiemnastu miesięcy warunkowego wyroku w innej dysydenckiej sprawie. Uczestnicy tych dwóch spotkań zdawali sobie sprawę, że w każdej chwili mogą zostać aresztowani, dlatego pośpiesznie przyjęto deklarację i ją opublikowano. Strona czechosłowacka przyjechała z już przygotowanym tekstem, który po odczytaniu został natychmiast zaakceptowany przez Adama Michnika, Jana Lityńskiego, Jacka Kuronia i Antoniego Macierewicza. Polska strona wierzyła w rolę samizdatu, dlatego Adam Michnik od razu zaczął planować przygotowanie publikacji i zamawiał teksty. Spotkania odbywały się przy stołach turystycznych ustawionych przy szlaku. Imitowano przekąskę turystów. Znana piosenkarka Marta Kubišova wyciągnęła ser, a Havel – likier Stary Myslivec. Stawiając na stole butelkę, nawiązał do znanej etykiety na tym alkoholu: „Miał być socjalizm z ludzką twarzą, to mamy chociaż alkohol z ludzką twarzą”.

I Czego dotyczyło piśarstwo polityczne Václava Havla?

Václav Havel był literatem, erudytą, prezentującym w swojej twórczości ogólne idee i wizje. Nie był politologiem, prawnikiem czy ekonomistą, który przedstawia konkretne propozycje polityczne. Wierzył natomiast w siłę słowa. W jego przekonaniu słowo pozostawione na papierze mogło dotrzeć do większej grupy ludzi i wywołać w ich umyśle refleksje, a nawet doprowadzić ich do konkretnego działania. Taki cel miała jego najbardziej znana publikacja „Siła bezsilnych”. Stworzył w niej postać sklepikarza żyjącego w komunistycznym kraju i prowadzącego sklep z zieleniną, który

nienagabywany przez nikogo, przed świętem rewolucji październikowej wystawia w witrynie swojego sklepu napis „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”. Jest to rodzaj nadgorliwości, wyrażającej zagadkę ludzkiej psychiki i skłonności do dobrowolnego podporządkowania się władzy. Sklepiarzowi nie groziła żadna kara, nikt też nie wydał mu bezpośredniego polecenia. Jego obawy były więc zupełnie bezpodstawne. Postąpił tak w ramach „ogólnego klimatu społecznego”. Havel uważał, że ów „klimat” to istota systemu komunistycznego. Stawia pytanie, czy ludzie w takich okolicznościach są naprawdę wolni, czy zachowują się tak, jak oczekuje od nich władza. Wewnętrzna wolność człowieka tak naprawdę jest jego siłą. Uważał, że co innego, jeśli za brak takiego działania groziłoby poważne represje. Jego zdaniem jednak, państwo i jego aparat i tak nie byłyby w stanie ukarać wszystkich ludzi, ponieważ nie ma do tego odpowiednich zasobów. Dalej Havel wspominał o ludziach wewnętrznie wolnych, a przy tej okazji przywoływał działaczy KOR-u w Polsce oraz sygnatariuszy Karty 77 w Czechosłowacji. W swojej twórczości Havel odnosił się do wartości uniwersalnych, takich jak wolność, oraz do zjawisk powszechnych, takich jak konformizm, oportunizm. Dlatego jego twórczość i poglądy tak bardzo fascynowały ludzi na całym świecie. Nie poruszał konkretnych, jednostkowych spraw, lecz mówił o kwestiach ponadczasowych.

Lider polskiej opozycji nie był intelektualistą. Był z ludu. Czy można zestawić ze sobą postacie Václava Havla i Lecha Wałęsy?

Z jednej strony postacie te były zupełnie różne, z dwóch różnych światów, z drugiej stanowiły niemal lustrzane odbicie. Havel był intelektualistą z epizodem robotniczym (w 1974 roku dziewięć miesięcy pracował w browarze w Trutnovie jako pracownik fizyczny). Jeździł mercedesem kupionym za pieniądze z zagranicznych nagród literackich, czym szokował otoczenie, a kierownictwo browaru, jeżdżące skodami i trabantami, irytował. W całym epizodzie pracy w browarze była pewna umowność, rodzaj protestu z jego strony.

W Polsce mamy natomiast prostego, niewykształconego elektryka, ale jednocześnie człowieka obdarzonego niesamowitą charyzmą. Havel porównywał intelektualistów, elity, Wałęsę zaś szerokie masy, tłum, choć również budził fascynację wśród elit intelektualnych. Każdy z nich miał swoje zalety i wady. Trudno sobie wyobrazić Havla przemawiającego na wózkul widłowym w stoczni oraz Wałęsę w klubie dyskusyjnym z udziałem inte-

lektualistów. Nie ma odpowiedzi na pytanie, który z nich odegrał większą rolę, choć samo stawianie takiego pytania ma sens i znaczenie dla poznawania historii.

Różniło ich również to, że Wałęsa został wybrany na prezydenta w wyborach powszechnych, a Havla wskazało Zgromadzenie Federalne.

To prawda. Wałęsa był powszechnie znany. Natomiast Havla znali ci, którzy słuchali Wolnej Europy, czyli wąskie środowisko literatów i intelektualistów. Ponadto Havel i jego otoczenie nie mieli ani żadnych kompetencji, ani doświadczeń w zarządzaniu państwem. Zdawało sobie z tego sprawę jego zaplecze z Forum Obywatelskiego, jak również słabnący komuniści, którzy forsowali na nowego szefa państwa słowackiego komunistę, ostatniego premiera komunistycznego, Mariana Čalfę. Podkreślano, że należy on do grupy reformatorów, ludzi dobrze wykształconych. Havel zgodził się na poufną rozmowę z Čalfą na temat przekazania władzy opozycji. Szczegóły tej rozmowy z szesnastego grudnia 1989 roku nie są znane, co pozwala na

Václav Havel mówił, że w swoim kraju uznawany był za kryminalistę i siedział w więzieniu, a teraz jest jego prezydentem.

tworzenie najrozmaitszych teorii spiskowych o gwarancjach udzielonych komunistom za oddanie władzy bez walki. Trudno wypowiadać się na temat tych teorii, ale niektóre z nich wydają się absurdalne. Część historyków i publicystów uważa to spotkanie za największy błąd życiowy Václava Havla. Namawiano go do wzięcia magnetofonu i nagrania rozmowy, ale nie chciał tego zrobić. Podobno na początku rozmowy Čalfa powiedział Havlowi, że pokój, w którym się znajdują w kancelarii premiera, ma zabezpieczenia przed podsłuchem, a rozmowa nie jest nagrywana.

Przed spotkaniem Havel był poirytowany samym faktem zaproponowania mu tajnej rozmowy z premierem. Zgodził się jednak na nią za namową jednego ze swoich współpracowników, choć było to trochę sprzeczne z jego postulatami o jawności, moralności i bezpartyjnej polityce. Z drugiej strony była to szansa na odsunięcie komunistów od władzy, osiągnięcie pokoju społecznego i zwycięstwo toczącej się rewolucji. Późniejsi krytycy jego zachowania będą potem podnosili argument, że w grudniu 1989 roku pozycja komunistów była już tak słaba, że jakiegokolwiek negocjacje z nimi były błędem. Zwolennicy Havla z kolei twierdzą, że po latach łatwo go krytykować, jednak w tamtym czasie sytuacja nie była pewna, zwłaszcza

biorąc pod uwagę istnienie Związku Sowieckiego i stacjonowanie w Czechosłowacji wojsk radzieckich.

| To podobne zarzuty jak wobec okrągłego stołu, Solidarności i Lecha Wałęsy.

To prawda. To przykłady sporów, które nigdy nie zostaną ostatecznie wyjaśnione. Čalfa nigdy nie chciał wracać do rozmowy z Havlem i odmawiał udzielania wywiadów. Raz tylko zgodził się na rozmowę na ten temat, w której powiedział, że Havel dopytywał go o konsekwencje niezagłosowania na niego przez komunistycznych deputowanych zasiadających w Zgromadzeniu Federalnym. Miał mu odpowiedzieć, że zagłosują, bo nie są małymi Jasiami i rozumieją sytuację. Nie wiemy jak, ale Čalfa przekonał deputowanych komunistycznych, żeby zagłosowali na Havla na prezydenta, a na Alexandra Dubčeka na szefa parlamentu. Jednomyślnie. Wielu z nich nie znało wcześniej Havla, a od swoich partyjnych towarzyszy słyszało o nim jedynie rzeczy negatywne.

| Z pewnością ten brak jawności posłużył później jako pożywka do różnego rodzaju teorii spiskowych mówiących o tym, że chodziło o uzgodnione przekazanie władzy z zachowaniem przywilejów komunistów i o ich bezkarność.

Takie spekulacje się pojawiały. Prawdą jest, że siedemnastego listopada 1989 roku bezpieka zorganizowała prowokacje wymierzone w protesty studentów w Pradze, które stały się preludium aksamitnej rewolucji. Na czele pochodu siedział tajny agent – porucznik Ludvik Zifčák, wyszkolony w dziedzinie kierowania tłumem demonstrantów, psychologicznie przygotowany, jak podburzać uczestników demonstracji. Miał rozkaz w pewnym momencie paść na ulicy i udawać zabitego. Celem tej prowokacji było wywołanie paniki i „moralnego wzmożenia”. Współpracownicy Zifčáka mieli rozpowszechniać informację o zabiciu studenta przez milicję, a w szczególności powiadomić o tym zachodnich dziennikarzy. Być może miał to być wstęp do jakiejś prowokacji politycznej na szczytach władzy komunistycznej. Można oczywiście zastanawiać się, w jakim celu to zrobiono i z czyjej inicjatywy. Pojawia się tu wiele koncepcji. Mogło chodzić o przetasowania wewnątrz obozu komunistów, a być może o sytuację w całym obozie komunistycznym i spowodowanie opóźnienia przemian w Czechosłowacji. Może Rosjanie mieli w tym swój udział? To już tylko dywagacje, zadanie dla historyków do badań i rozważań.

Havel zostaje prezydentem Czechosłowacji, potem Czech. Ze świata intelektualistów przechodzi do świata twardej polityki, w której trzeba podejmować decyzje, a nie wiecznie dywagować. Jaki jest jego stosunek do takich kwestii, jak prywatyzacja, reformy gospodarcze, lustracja czy dekomunizacja?

Havel zachowywał rezerwę w wypowiedzaniu się na te tematy. Zostawił te kwestie premierowi i rządowi, specjalistom – prawnikom i ekonomistom. Sam skoncentrował się na społeczeństwie obywatelskim, na pewnych symbolicznych gestach, takich jak słynne pojawienie się w Pradze członków zespołu The Rolling Stones, którzy publicznie manifestowali swoją przyjaźń z Havlem. Podkreślał ogromne znaczenie społeczeństwa obywatelskiego, co spotkało się z kpiną ze strony jego głównego politycznego przeciwnika i ówczesnego premiera Václava Kłausa, który pytał, czymże jest to społeczeństwo obywatelskie. Podkreślał, że Havel nigdy nie zdefiniował tego pojęcia, i ironicznie dodawał, że społeczeństwem obywatelskim zapewne są ci, którzy popierają Václava Havla.

Najważniejsza rzecz, jaka pozostała z myśli Havla, to kwestia „bezpartyjnej polityki” i znaczenie społeczeństwa obywatelskiego.

Częścią koncepcji społeczeństwa obywatelskiego, według Havla, była „bezpartyjna polityka”. Krytkował struktury partyjne, grupowanie się ludzi wokół polityki. Klaus wysuwał kontrargumenty, że koncepcje Havla są utopijne, bo demokracja polega właśnie na tworzeniu klubów politycznych i zdobywaniu w ten sposób władzy. Havel chciał być ponad codzienną rywalizacją partyjną, ponieważ dla niego ważniejsza niż prace nad poszczególnymi regulacjami prawnymi była wartość w postaci bycia obywatelem i rozwoju człowieka. Tak też rozumiał rolę prezydenta – jako skupienie się na sprawach ideowych, pryncypialnych, a nie na bieżącej polityce. Takie podejście można oczywiście nazwać pięknoduchostwem. Havla krytykowano zresztą za zbyt duży idealizm, przejawiający się m.in. w ogłoszonej po 1989 roku amnestii (oprócz dysydentów z więzień wypuszczono wielu poważnych przestępców) czy deklarowanym pacyfizmem, co miało wpływ na likwidację przemysłu zbrojeniowego na Słowacji i pozostawienie wielu ludzi bez pracy i środków do życia.

Havel, zdaniem niektórych, nie palił się do drugiej kadencji na Hradzie. Miało go przekonać jedynie to, że stał się na Zachodzie twarzą prozachodnich Czech,

dążących do członkostwa w Unii Europejskiej i NATO, i trzeba było tę kwestię doprowadzić do szczęśliwego końca.

Uważam tego typu narrację za lekko przesadzoną. Madeleine Albright czy Bill Clinton utrzymywali dobre relacje ze wszystkimi liderami w Europie Środkowo-Wschodniej. Gdyby Havel nie został ponownie prezydentem, prowadziliby rozmowy o integracji Czech z innym liderem państwa. Havel z czasem stawał się bardziej popularny poza granicami kraju niż w samych Czechach. W Polsce pojawiło się nawet hasło – „Havel na Wawel”. My mieliśmy zupełnie innego prezydenta. Nie intelektualistę, ale kogoś z ludu, kto dał sygnał do „wojny na górze” i zaczął przejawiać tendencje autorytarne. My, jako Polacy, tęskniliśmy za bardziej spokojnym sposobem sprawowania prezydentury.

Od dwóch lat żyjemy w cieniu rosyjskiej agresji na Ukrainę. W związku z tym nasuwa się pytanie, jaki był stosunek Havla jako prezydenta do niepodległej Federacji Rosyjskiej i byłych republik radzieckich.

Havel ani nie wykazywał zbytniego zainteresowania tymi państwami, ani nie wypowiadał się za często na ich temat. Jak już wspominałem, miał inne obszary zainteresowań. Koncentrował się na integracji europejskiej oraz NATO jako gwarancie bezpieczeństwa dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Ponadto zajmowała go kultura zachodnia, piosenki Beatleśów, Boba Dylana, a nie kultura rosyjska, Okudźawa, Wysocki itd.

Jako ambasador RP w Pradze miał Pan okazję poznać Václava Havla osobiście. W jakich okolicznościach?

Składałem u niego listy uwierzytelniające, kiedy był prezydentem. Później odbyłem z nim kilka formalnych rozmów, w tym w ramach dorocznych spotkań prezydenta z korpusem dyplomatycznym oraz podczas polskich wizyt oficjalnych. Ponadto miałem też okazję spotkać się i rozmawiać z prezydentem w mniej formalnych okolicznościach. Dwukrotnie przyjął moje zaproszenie do rezydencji i, chyba również dwukrotnie, zaprosił mnie do siebie z okazji wizyty w Pradze jego przyjaciela, redaktora „Gazety Wyborczej”, Adama Michnika.

Składając mu listy uwierzytelniające, odbyłem z nim też kurtuazyjną rozmowę trwającą około kwadransa, która nie była protokołowana. Spotkanie to było zaplanowane zgodnie z czeskim protokołem dyplomatycznym jako rozmowa w cztery oczy towarzysząca uroczystej procedurze

i niemająca określonego tematu. Szef kancelarii prezydenta powiedział mi wcześniej, że w rzeczywistości spotkanie to powinno zakończyć się w około dziesięć minut. Zastanawiałem się wówczas, o czym rozmawiać z prezydentem. Byłem tym oczywiście przejęty. Zdecydowałem się opowiedzieć historię swojego zatrzymania przez czechosłowacką

bezpiekę pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy przekraczałem granicę z nielegalnymi wydawnictwami w plecaku. W związku z tym przez około dwa lata byłem persona non grata w tym kraju. Podzieliłem się z prezydentem swoimi refleksjami na temat drogi, jaką przeszedłem od osoby niepożądanej do ambasadora w tym samym państwie. Václav Havel, kiwając głową, odpowiedział, że w sumie ta historia aż tak go nie dziwi, ponieważ on sam w swoim kraju był uznawany za kryminalistę i siedział w więzieniu, a teraz jest jego prezydentem.

Możemy wskazać na dwóch ojców transformacji w Europie Środkowo-Wschodniej. Byli nimi Václav Havel i Lech Wałęsa, co podkreśla też zróżnicowanie regionu i procesu transformacji.

I Jakie jest dziedzictwo Václava Havla? Jak dzisiaj jest postrzegany w Czechach?

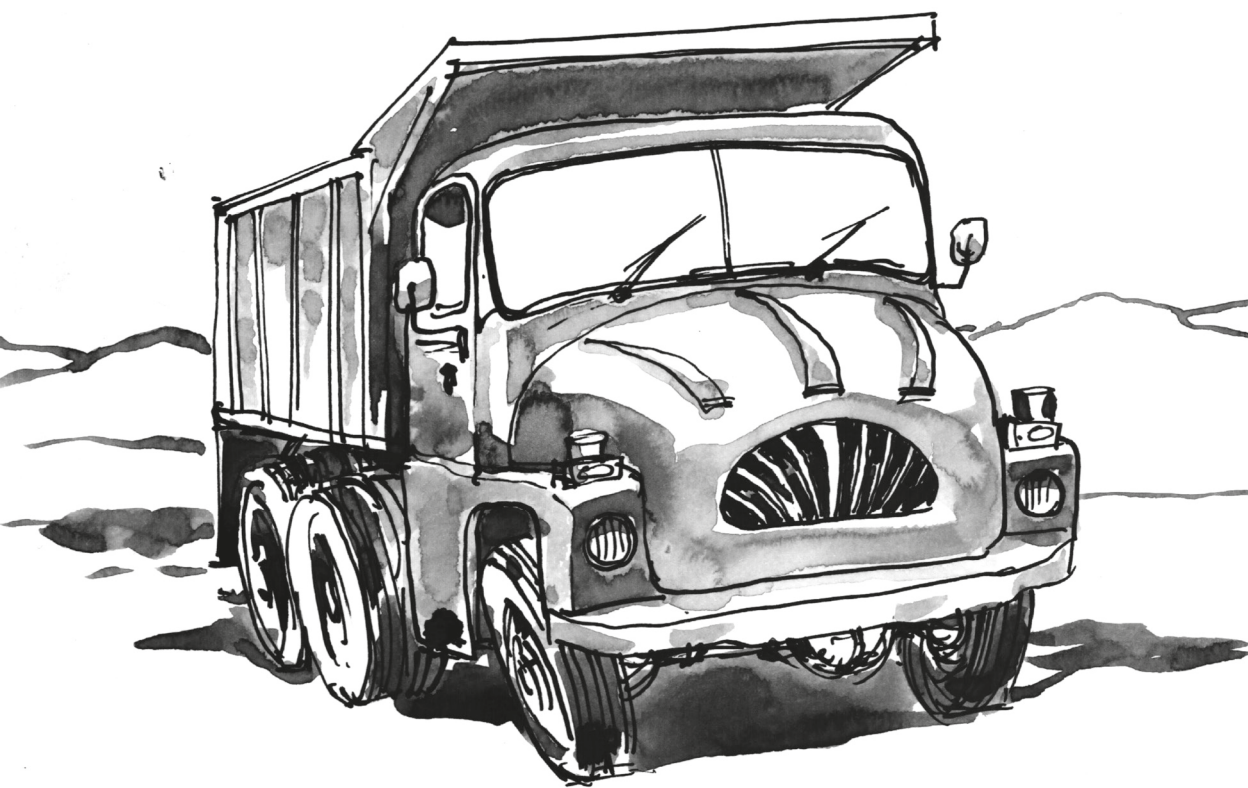
Z pewnością najważniejsze elementy, jakie pozostały z myśli Havla, to kwestia „bezpartyjnej polityki” i znaczenie społeczeństwa obywatelskiego. Jednak nie można tego uznać za całościowo sformułowaną koncepcję polityczną. Istnieje też wiele anegdot o niestandardowym zachowaniu głowy państwa. Na przykład, podpisując się, obok swojego imienia i nazwiska rysował serduszko, co wprowadzało współpracowników i prawników w konsternację, bo nie wiedzieli, jak to interpretować. Wbrew zasadom jeździł w prezydenckiej limuzynie obok kierowcy, zmuszając tym samym funkcjonariusza ochrony do zajęcia miejsca z tyłu. Jego współpracownicy w kancelarii – przynajmniej na początku – byli zachęceni do przychodzenia do pracy na luzie, w jeansach. Czesi byli zachwyceni tym luzem Havla, jego pojawieniem się w oknie na Hradzie z Mickiem Jagerem i tym podobnymi zachowaniami.

Czy Havel nie rozmienił swojego autorytetu na drobne pod koniec życia, kiedy do opinii publicznej zaczęły dochodzić informacje na temat różnego rodzaju skandali związanych z jego prywatnym życiem?

Nie miał na to wpływu. Nie miał kontroli nad wszystkimi wypowiedziami, jakich udzielała mediom jego druga żona Dasza. Również nie od

niego zależało to, że opinia publiczna dość powszechnie uznała za nieprzyzwoite to, że poślubił aktorkę Daszę Veškrnovą przed upływem roku po śmierci swojej pierwszej żony Olgi. Jedną z pierwszych prywatyzacji przejętego przez komunistów majątku przeprowadzona w Czechach dotyczyła kompleksu restauracyjno-rozrywkowego Lucerna w centrum Pragi. Beneficjentem był on i jego brat. Mimo że wszystko odbyło się zgodnie z prawem, zostało źle przyjęte. Może to była zwykła zawiść wobec bogatego człowieka? Pod koniec życia jego popularność bardzo spadła – był wtedy bardziej nielubiany niż lubiany. Szanowano go poza granicami kraju, ale nie w Czechach, podobnie jak w przypadku Lecha Wałęsy.

Obecnie pozycja Havla w Czechach wyraźnie się odbudowuje. Rośnie poczucie dumy, że Czesi są obywatelami kraju, który wydał Václava Havla. O dawnych błędach raczej się zapomina. Czesi starają się dziś pamiętać tylko o dobrych rzeczach z nim związanych. Moim zdaniem, możemy wskazać na dwóch ojców transformacji w Europie Środkowo-Wschodniej: byli nimi Václav Havel i Lech Wałęsa, co podkreśla też zróżnicowanie regionu i procesu transformacji.





Łesia Ukrainka.

Nieznane oblicze damy ukraińskiej literatury

Z Anielą Radecką
rozmawia Tomasz Kobylański

Aniela Radecka jest doktorką nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, absolwentką studiów magisterskich w Katedrze Ukrainoznawstwa oraz w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Aktualnie pracuje w Zakładzie Studiów Polsko-Ukraińskich UJ na stanowisku badawczo-dydaktycznym. Wśród jej zainteresowań badawczych znajdują się współczesna ukraińska proza kobieca oraz literacka (auto)biografia kobiet w kontekście kulturowym, społecznym i politycznym.

Tomasz Kobylański jest absolwentem ukrainoznawstwa i europeistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na tematy związane z Europą Wschodnią publikował m.in. w tygodnikach „Przekrój”, „Newsweeku” i „Wprost”, portalu Eastbook, polsko-niemiecko-ukraińskim magazynie „Radar”. Jego teksty ukazywały się też w ukraińskim tygodniku „Dzerkało Tyżnia”. Aktualnie współpracownik „Nowej Europy Wschodniej”. Zaangażowany w działania na rzecz wsparcia uchodźców z Ukrainy, za co był nominowany do tytułu Krakowskiego Ambasadora Wielokulturowości.

Tomasz Kobylański: W 2023 roku, gdy rozmawiamy, mija sto dziesięć lat od śmierci wybitnej ukraińskiej poetki i pisarki Łesi Ukrainki. Łarysa Kosacz (później: Kosacz-Kwitka), bo tak właściwie nazywała się twórczyni, zajmuje szczególne miejsce w ukraińskiej literaturze. Dlaczego?

Aniela Radecka: Spójrz, jakie to ciekawe, na potrzeby tomu dotyczącego upadku komunizmu rozmawiamy o pisarce żyjącej i tworzącej na przełomie XIX i XX wieku. Nie jest to jednak przypadek, bo to właśnie upadek ZSRR i lata dziewięćdziesiąte przynoszą nowe odczytanie i reinterpretację twórczości Łesi Ukrainki. Znaczącą rolę odegrała w tym procesie ukraińska literaturoznawczyni Sołomija Pawłyyczko, liderka innowacyjnego, jak na standardy wczesnych lat dziewięćdziesiątych, seminarium feministycznego w Instytucie Literaturoznawstwa Narodowej Akademii Nauk Ukrainy. Z tego właśnie seminarium wywodzą się takie współczesne badaczki literatury i kultury ukraińskiej, jak Tamara Hundorowa, Wira Ahejewa czy Niła Zborowska.

Pisarka Oksana Zabuzko określa Sołomiję Pawłyyczko centralną postacią ukraińskiego literaturoznawstwa lat dziewięćdziesiątych, inicjatorką i propagatorką ukraińskiego przekładu naukowego, kulturową rzeczniczką Ukrainy na Zachodzie. To wybitna badaczka ukraińskiego modernizmu, prekursorka *gender studies* i feminizmu w ukraińskiej humanistyce. Pawłyyczko w latach dziewięćdziesiątych podjęła się rewizji ukraińskiego

kanonu i zainspirowała grono badaczek do reinterpretacji utworów pisarek i pisarzy ukraińskiego modernizmu. I tu właśnie wracamy do postaci Łesi Ukrainki, która znajduje się, jako jedyna kobieta, w panteonie ukraińskich twórców narodowych, wraz z Tarasem Szewczenką i Iwanem Franką.

Do roli Łesi Ukrainki w ukraińskiej kulturze jeszcze wrócimy. Zatrzymajmy się teraz przy temacie kobiet istotnych dla ukraińskiej literatury, bo tym zajmujesz się w swojej pracy badawczej. Także jej matka, Ołena Pczilka, była pisarką, krytyczką literacką, animatorką życia społeczno-literackiego. Jej spuścizna wydaje się jednak mniej znana. A przecież Pczilka należała do pierwszych ukraińskich wydawczyń. Wraz z Nataliją Kobryńską były twórczyniami almanachu pisarek „Pierwszy wianek” [„Perszaj winok”].

Tak, pierwszy ukraińskojęzyczny almanach feministyczny to zbiór tekstów: artykułów, opowiadań, wierszy, których autorkami były kobiety. Został wydany w 1887 roku i do dziś świadczy o tym, że ukraińska literatura kobieca rozwijała się w tym samym czasie co w Europie Środkowej i Wschodniej oraz dotyczyła podobnych tematów. Percepcja i opisywanie świata z perspektywy kobiety, która doświadczała nierówności wobec dominującej patriarchalnej kultury, a także konieczność jednoczenia się w celu osiągnięcia pełniejszego wpływu i wzmocnienia postulatów dotyczących praw kobiet stanowią kluczowy element almanachu „Pierwszy wianek”. Już na samym początku Natalija Kobryńska porusza kwestię praw kobiet, w tym prawa do samostanowienia o sobie i konieczność równouprawnienia. Podkreśla, że jest to zbiór tekstów autorek – ukraińskich kobiet, które chcą przemówić we własnym imieniu (z perspektywy zarówno kobiecej, jak i narodowej). W jednym z kolejnych tekstów zawartych w tomie Kobryńska przywołuje historię powstania i rozwoju międzynarodowego ruchu kobiet, którego celem jest przyznanie kobietom należnych im praw. Tym samym wprowadza ukraińskie ruchy i wspólnoty kobiet w kontekst globalny, europejski, podkreślając podobieństwo celów i widząc w tym możliwość współdziałania.

„Pierwszy wianek” to także tytuł wiersza-manifestu Ołeny Pczilki, czyli Olhy Kosacz (z domu Drahomanow), umieszczonego w almanachu zaraz po wstępie autorstwa Kobryńskiej. To wezwanie do kobiet – twórczyń, działaczek, ale też do budowania wspólnoty i działania w duchu siostrzeństwa na rzecz narodu ukraińskiego. Współcześnie wpływ tego tomu jest nie do przecenienia z perspektywy kobiecej i narodowej (ukraińskiej), stwarza bo-

wiem możliwości zakorzenienia współczesnego ukraińskiego feminizmu i kobiecego pisarstwa w tradycji i kulturze o najwyższych walorach. Stanowi on świadectwo dojrzałości ukraińskiego feminizmu w tamtym okresie i przynosi ze sobą uzasadnione pytanie „co by było, gdyby...” tenże ruch mógł rozwijać się bez przeszkód w kolejnych dziesięcioleciach.

Wróćmy do Łesi Ukrainki. Pochodziła ze szlachty. Mimo że nie uczęszczała do ogólnodostępnych szkół, dobrze poznała w trakcie nauki dorobek literatury i kultury światowej. Doskonale znała języki obce, w tym język polski. Nie tylko miała ogromny wpływ na ukraińską literaturę, ale też zajmuje ważne miejsce w świecie europejskiej kultury. Publikowała chociażby artykuły poświęcone dawnej i współczesnej literaturze europejskiej, w tym polskiej...

Faktycznie, pochodziła ze starej kozackiej rodowej szlachty, a wykształcenie uzyskała dzięki temu, że uczyła się w domu, przechodząc razem z bratem ten sam program gimnazjalny. Dzięki temu, że nie realizowała programu szkolnego, jej nauka była wolna od wpływów rosyjskiej kultury. To głównie dzięki determinacji swojej matki, Ołeny Pciłki, Łesia Ukrainka zdobyła ponadprzeciętne wykształcenie. Świadczy o tym przede wszystkim poziom jej twórczości, przewyższający możliwości (również interpretacyjne) większości jej współczesnych, a także motywy, do których sięgała. Inspiracje czerpała z historii pierwszych chrześcijan, średnio-wieczna, ludowych wierzeń. Dopiero przełom XX i XXI wieku przynosi właściwe odczytanie jej twórczości oraz biografii, czego przykładem jest m.in. monografia Tamary Hundorowej „Łesia Ukrainka. Księgi Sybilli” (2022/2023). Badaczka podąża śladem przeplatających się dualizmów: choroby i twórczości, Ukrainy i „obczyzny”, polityki i literatury, klasyki i współczesności, miłości i śmierci. Rekonstruuje także wpływ na pisarstwo Łesi Ukrainki poszczególnych utworów literackich i nurtów filozoficznych, przedstawiając wątki dotąd marginalizowane, a jakże istotne w biografii i twórczości tej pisarki.

Wyobraźmy sobie Kijów we wczesnych latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Napięcie i ekscytację, które towarzyszyły pokoleniu mającemu budować niepodległe ukraińskie państwo. Na jakich fundamentach? Gdzie szukać korzeni? Najszybciej rozwijała się i rozkwitała ukraińska kultura. Zniesienie cenzury umożliwiło sięgnięcie do zabronionej dotąd twórczości ukraińskich autorów i autorek, a upadek żelaznej kurtyny otworzył drzwi na kulturowe zdobycze Zachodu.

Łesia Ukrainka – wraz z Tarasem Szewczenką i Iwanem Franką – uznawana jest za jedną z najważniejszych postaci ukraińskiej literatury. Wcześniej powiedział nawet, że jest „jedyną kobietą w panteonie ukraińskich twórców narodowych”. Tadeusz Chróścielewski określił ją jako „jakże ukraińską i europejską zarazem” (cytat za tekstem Marceliny Obarskiej w portalu culture.pl). Zgadzasz się z tym stwierdzeniem?

Wróćmy jeszcze na chwilę do przeszłości i wyobraźmy sobie Kijów we wczesnych latach dziewięćdziesiątych XX wieku – tę atmosferę, szczylinę czasów, która musi wypełnić się nowymi znaczeniami i treścią. Napęcie i ekscytacja, które towarzyszyły pokoleniu mającemu budować niepodległe ukraińskie państwo. Na jakich fundamentach? Gdzie szukać korzeni? Najszybciej rozwijała się i rozkwitała ukraińska kultura. Zniesienie cenzury umożliwiło sięgnięcie do zabronionej dotąd twórczości ukraińskich autorów i autorek, a upadek żelaznej kurtyny otworzył drzwi na kulturowe zdobycze Zachodu. W takiej właśnie atmosferze zapoczątkowano reinterpretację dzieł Łesi Ukrainki. Owocami tej reinterpretacji, rzetelnej pracy badawczej, nie tylko nad tekstami literackimi, ale także nad korespondencją, którą intensywnie prowadziła, są liczne publikacje i opracowania jej dzieł.

Pamiętam, że ogromnym wydarzeniem i jednym z najważniejszych

punktów programu podczas lwowskich targów książek „Forum Wydawców” w 2016 roku była prezentacja pierwszego z trzech tomów listów Łesi Ukrainki. Redaktorką tomów jest Wałentyna Prokip z Instytutu Ukrainoznawstwa NAN Ukrainy. To była premiera na wielką skalę, wzbudziła entuzjazm odbiorców. Natomiast w 2021 roku ukazało się pełne wydanie utworów Łesi Ukrainki w czternastu tomach, nad czym pracowało czternaście zespołów składających się z trzydziestu badaczek i badaczy.

Korzenie twórczości Łesi Ukrainki są zarówno europejskie, jak i ukraińskie, osadzone w realiach folkloru, ale także modernizmu; antykolonialne, feministyczne, sięgające do uniwersalnych wartości. Jej twórczość była

Korzenie twórczości Łesi

Ukrainki są zarówno europejskie, jak i ukraińskie, osadzone w realiach folkloru, ale także modernizmu; antykolonialne, feministyczne, sięgające do uniwersalnych wartości. Jej twórczość była pozornie obecna w dyskursie czy kanonie w okresie istnienia Związku Sowieckiego. Później, gdyż była przeinaczona i wymaga powtórnego opracowania.

pozornie obecna w dyskursie czy kanonie w okresie istnienia Związku Sowieckiego. Pozornie, gdyż była przeinaczona i wymaga ponownego opracowania: pisarka istniała oficjalnie w kanonie ukraińskich twórców, nie jako modernistka i feministka na skalę europejską, ale jako symbol narodnictwa (o czym wspomina Oksana Zabuzko i o czym świadczy chociażby utrwalony wizerunek twórczyni – dziewczyna z włosami upiętymi w koronę z warkocza) czy socjalizmu. Znana jest każdemu Ukraińcowi przede wszystkim

Oficjalnie Łesia Ukrainka istniała w kanonie ukraińskich twórców, nie jako modernistka i feministka na skalę europejską, ale jako symbol narodnictwa, o czym świadczy chociażby utrwalony wizerunek twórczyni (dziewczyna z włosami upiętymi w koronę z warkocza), czy socjalizmu.

z kanonu lektur szkolnych – jej zinfantylizowany wizerunek pojawia się na stronach ukraińskich podręczników szkolnych, utrwalając stereotyp Łesii Ukrainki jako autorki wierszy i opowiadań dla dzieci, „chorobliwej” pisarki, która zmarła na gruźlicę. Dlatego tak ważne jest współcześnie sięgnięcie do pełnego wydania jej utworów, odtworzonego także z rękopisów, uzupełnionego w stosunku do ostatniego wydania z lat siedemdziesiątych.

W ramach swojej pracy doktorskiej zajmowałaś się badaniem ukraińskiej literatury kobiecej po 1991 roku. Łesia Ukrainka jest coraz częściej punktem odniesienia dla współczesnych twórczyni i badaczek, o czym świadczy też praca Wałentyny Prokip, o której wspomniałaś przed chwilą. Ale nie tylko?

Ukraińskie pisarki debiutujące w latach dziewięćdziesiątych XX wieku i później, w latach dwutysięcznych, nie tworzą w próżni. Ich utwory stanowią kontynuację i rozwinięcie sztucznie zatrzymanego modernizmu, są w nim zakorzenione. I to jest coś, na co powinniśmy zwrócić szczególną uwagę, analizując twórczość współczesnych ukraińskich autorek. Tworzą w epoce *post* – postmodernistycznej, postsowieckiej, postkolonialnej; w momencie pełnego upadku dotychczasowych paradygmatów, męskiego karnawału patriarchalnych wartości i upodmiotowienia kobiet. To oczywiście uproszczenie, bo każde z dziesięcioleci niepodległości Ukrainy po 1991 roku można szczegółowo scharakteryzować i przypisać do poszczególnych nurtów. Jednak to, co łączy pisarstwo współczesnych ukraińskich autorek, to proces odwrotny do sowieckiego „wykorzenia” – pozbawiania narodowej historii, tożsamości, tradycji. To właśnie zakorzenianie i odnajdywanie ciągłości, przedłużenie tradycji kobiecego pisar-

stwa, reinterpretacja i odtworzenie głosu poprzednich pokoleń pisarek. Dzięki temu zabiegowi udaje się odzyskać własny, autorski, kobiecy głos, rozpocząć proces twórczego poszukiwania tożsamości (kobiecej i narodowej) i dookreślenia miejsca w społeczeństwie.

Biogram i twórczość Łesi Ukrainki powinny także dziś pozostać istotne dla europejskiej kultury?

Odczytanie biografii i twórczości Łesi Ukrainki pomoże współczesnemu odbiorcy w zrozumieniu sytuacji zależności i relacji Ukrainy i Rosji, wytłumaczy genezę ukraińskiego oporu oraz dążenia do osiągnięcia pełni niezależności od „mocarnego” sąsiada, który dalej postrzega się w kategoriach imperialnych.

Zdecydowanie! Przede wszystkim odczytanie jej biografii i twórczości pomoże współczesnemu odbiorcy w zrozumieniu sytuacji zależności i relacji między Ukrainą a Rosją. To także wyjaśni genezę ukraińskiego oporu oraz dążenia do osiągnięcia pełnej niezależności od „mocarnego” sąsiada, który dalej postrzega się w kategoriach imperialnych. Ukraina kontynuuje sztucznie przerwany szlak ku Europie. Tu warto wspomnieć, że podczas Euromajdanu – rewolucji godności w latach 2013-2014, to właśnie portret Łesi Ukrainki i cytat z jej utworu „Kto sam się wyzwoli, ten będzie wolny” (ukr. „Хто визволиться сам, той буде вільний”) znalazły

się na ulicznym graffiti jako jedno z haseł dodających otuchy protestującym. Wira Ahejewa, pisząc o głównej bohaterce poematu Łesi Ukrainki „Bojarynia” (1914), Oksanie, podkreśla, że ta na własnym tragicznym doświadczeniu przekonała się, że Rosja i Ukraina to antagonistyczne światy, o odmiennych tradycjach kulturowych. Szczególnie znamienne jest to dla nas teraz, ponad sto lat później, kiedy cały świat przekonał się, jaki stosunek do Ukrainy i jej obywateli ma Rosja, która nieustająco dąży do podporządkowania sobie tego kraju i której nic nie powstrzyma przed próbą osiągnięcia tego celu.

Co według Ciebie można robić, aby twórczość Łesi Ukrainki popularyzować – nie tylko w Ukrainie, ale też w innych krajach?

Przede wszystkim należy tłumaczyć i starać się odczytywać, interpretować w kontekście procesów dziejących się w tamtych czasach w Europie i na świecie: modernizmu, przełomu wieków, feminizmu, dążenia do

wyzwolenia się spod władzy upadających imperiów. Ponadczasowe motywy, dylematy i wątki obecne w jej twórczości warte są tego, aby przybliżyć je także polskim odbiorcom.

Z twórczością Łesi Ukrainki do szerszego grremium odbiorców stara się dotrzeć chociażby ukraińska diaspora mieszkająca w Polsce. W tym roku Fundacja Zustricz oraz Staromiejskie Centrum Kultury Młodzieży w Krakowie przygotowały spektakl „Łesia Ukrainka”. Powstał za sprawą teatru amatorskiego NEW DAY, który jest charytatywnym projektem stawiającym sobie za cel rozwijanie kultury ukraińskiej i angażowanie dzieci w tworzenie przedstawień. Jak widać, literacka twórczość Łesi Ukrainki może być prezentowana także przez inne dziedziny kultury i sztuki.

Kluczowe w tym pytaniu wydaje mi się nie tylko to, jakie inne dziedziny kultury i sztuki mogą być wykorzystywane do prezentacji twórczości Łesi Ukrainki, ale też jak robić to we współpracy z ukraińskimi organizacjami (jak inicjatywy wspomniane przez Ciebie) czy diasporą, aby umożliwić odbiorcom zapoznanie się z jej twórczością w szerszym kontekście. Wymagałoby to przede wszystkim wydania jej dzieł dotychczas nieprzetłumaczonych, a także odświeżenia istniejących tłumaczeń na język polski z lat osiemdziesiątych.

Kilka przykładów z zagranicy: w 2024 roku ukaże się nowe tłumaczenie dramatu „Kassandra” na język angielski – tłumaczką jest Nina Murray. W 2023 roku w Londynie odbyła się natomiast premiera spektaklu „Kassandra”, opartego na dramacie Łesi Ukrainki w tłumaczeniu Murray, a jego powstanie było efektem wspólnych starań Ukraińskiego Instytutu w Londynie i inicjatywy Live Canon. W przygotowaniach brało udział wiele organizacji i instytucji, w tym Instytut Polski w Londynie. Obecnie we Lwowskim Akademickim Teatrze Dramatyczny im. Łesi Ukrainki można zobaczyć spektakl „Łesia. Heristoria” („Леся. Історія”) w reżyserii Lenki Udovički, który pokazuje inne oblicze Łesi, nie tej „chorobliwej, wątłej dziewczyny, która śmieje się przez łzy”, ale buntowniczkę i feministkę, która stawiała opór rosyjskiemu kolonizatorowi.

Podczas Euromajdanu – rewolucji godności w latach 2013-2014, to właśnie portret Łesi Ukrainki i cytat z jej utworu „Kto sam się wyzwoli, ten będzie wolny” znalazły się na ulicznym graffiti jako jedno z haseł dodających otuchy protestującym.

Łesia Ukrainka jest dziś jedyną kobietą, której wizerunek znajduje się na ukraińskich banknotach. Czy jest jakaś inna ukraińska twórczyni, która według Ciebie oczekuje na adekwatne docenienie jej zasług dla europejskiej kultury?

Postać Łesi Ukrainki jest „oswojona” i kanoniczna w Ukrainie – mamy nagrody i medale jej imienia, place, bulwary, ulice. I tak, jako jedyna kobieta ma swój wizerunek na banknocie o nominale dwustu hrywien.

Gdyby w telewizyjnym teleturnieju zapytano o jedną z najwybitniejszych ukraińskich twórczyń, odpowiedź najpewniej brzmiałaby: „Łesia Ukrainka!”. Jej działalność literacka stała się niezwykle ważna dla Ukrainek i Ukraińców zwłaszcza po upadku ZSRR, a przełom XX i XXI wieku przyniósł odczytanie jej twórczości oraz biografii.

Jednak jestem przekonana, że proces odkrywania i poznawania ukraińskich twórczyń, zarówno tych z przeszłości, jak i współczesnych, już się rozpoczął i to nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. To zainteresowanie można dostrzec w ramach ośrodków akademickich zajmujących się zarówno ukraińską literaturą, jak i literaturą kobiecą. Powstaje coraz więcej przekładów, na podstawie twórczości ukraińskich pisarek wystawiane są spektakle teatralne. Warto w tym kontekście wspomnieć przykłady z naszej rodzimej sceny, między innymi monodram na podstawie „Badań terenowych nad ukraińskim seksem” Oksany Zabużko, który wyreżyserowała Małgorzata Szumowska, czy monodram „Słodka” na podstawie utworu „Słodka Darusia. Dramat na trzy życia” Marii Matios, opracowany przez Martę Pohrebny oraz Małgorzatę Paszkier-Wojcieszonek.

Współczesne ukraińskie autorki zdobywają coraz większą popularność w Europie i na świecie, co potwierdza rosnąca liczba przekładów na języki obce, angielski, niemiecki, szwedzki i oczywiście polski. Nie zatrzymujemy się więc, raczej podążajmy za tłumaczkami i tłumaczami oraz wydawnictwami. Bądźmy otwarci na twórczość ukraińskich pisarek. Z pełnym przekonaniem można stwierdzić, że znajduje się ona w okresie rozkwitu, stanowiąc świadectwo także obecnych wydarzeń.





Stus.

Etyczne imię poety

Z Bohdanem Tokarskim,
badaczem życia i twórczości Wasyła Stusa,
rozmawia Urszula Pieczek

Bohdan Tokarski jest badaczem, pisarzem i tłumaczem specjalizującym się w literaturze i kulturze Ukrainy XX wieku i współczesnej. Obronił doktorat z poezji Wasyla Stusa na Uniwersytecie w Cambridge, gdzie wykładał także jako wykładowca stowarzyszony w zakresie ukrainistyki. Obecnie pracuje nad swoją anglojęzyczną książką o poetyce autentyczności Stusa. Jego wspólne przekłady poezji Stusa na język angielski ukazały się – lub wkrótce się ukazą – w międzynarodowych czasopiśmie literackich, takich jak „Apofenie”, „Asymptote”, „Los Angeles Review of Books”, „Modern Poetry in Translation” i „Two Lines”. Obecnie jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu w Poczdamie w ramach projektu „Europäische Zeiten / European Times”.

Urszula Pieczek jest ukrainistką i polonistką. Obroniła doktorat poświęcony tożsamościom środkowoeuropejskim. Redaktorka kwartalnika „Nowa Europa Wschodnia”, wydawczyni i producentka podcastów „Gazety Wyborczej”. Autorka licznych artykułów o tematyce społeczno-kulturalnej, tłumaczka z języka ukraińskiego.

Urszula Pieczek: Zacznę od końca, czyli od dziewiętnastego listopada 1989 roku. Wówczas w Kijowie na cmentarzu Bajkowa odbył się pogrzeb zmarłego w 1985 roku Wasyla Stusa.

Bohdan Tokarski: Dodam na wstępie, że to wydarzenie, o które Pani pyta, to ponowny pochówek (ukr. перепоховання) nie tylko Wasyla Stusa, który zmarł w więzieniu Perm-36, czyli obozie pracy radzieckiego Gułagu...

... kogo jeszcze?

Pochowano wtedy również poetę, pisarza i obrońcę praw człowieka Jurija Łytwyna, który został skazany na dziesięć lat, oraz Ołeksę Tycheho, obrońcę praw człowieka i założyciela Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Łytwyn i Tychy, tak jak Stus, byli dysydentami, obaj zmarli w 1984 roku w obozach pracy w obwodzie permskim.

Ciała tych trzech więźniów politycznych sprowadzono z Uralu do Kijowa dzięki staraniom m.in. Dmytra Stusa (syna Wasyla, który do dziś opiekuje się jego spuścizną i jest jej aktywnym promotorem), Wołodymyra Tycheho (syna Ołeksy) oraz Borysa Gurdzana, który reprezentował matkę Łytwyna.

Dlaczego to wydarzenie jest tak ważne dla współczesnej historii Ukrainy?

Była to pierwsza sytuacja, kiedy ciała więźniów politycznych sprowadzono do Ukrainy. Dmytro Stus szczegółowo opowiada, na czym w ogóle polegała akcja sprowadzenia ciał, do końca nie było wiadomo, czy to się uda.

| Dlaczego?

Zgodnie z prawem sowieckim szczątki zmarłych więźniów nie były wydawane rodzinom w celu pochowania w ojczyźnie.

Ponowne pochowanie tej trójki więźniów politycznych okazało się przełomowe dla przywracania sprawiedliwości dziejowej. Dla ludzi, którzy stracili bliskich w obozach, było to niezwykle ważne.

| Ile osób uczestniczyło w tej ceremonii?

Mówi się o stu, czasami ponad stu tysiącach obywateli. Warto podkreślić, że ludzie, którzy wzięli udział w tym pogrzebie, nie wiedzieli, kim byli Stus, Tychy, Łytwyn.

| Jak to?!

Rozumiem zdziwienie, ale ludzie nie wiedzieli, że byli to wybitni poeci czy działacze. Informacji o dysydentach nie ujawniano szerokiej publiczności. W związku z ponownym pochówkiem po raz pierwszy do ludzi dotarła informacja o tym, co tak naprawdę się działo, za co ludzie byli skazywani. Dlatego też uczestnicy ceremonii dziewiętnastego listopada 1989 roku o Stusie, Tychym i Łytwynie myśleli głównie w kategorii męczenników za wolność.

To wydarzenie jest znaczące przede wszystkim z powodu, który zauważył Dmytro Stus. Ponowny pochówek stał się pierwszą dużą manifestacją wolnościową jeszcze w Związku Radzieckim! Jeszcze przed rozpadem ZSRR odbyła się demonstracja, w której nie chodziło o świętowanie sztucznej radzieckiej historii, jak np. podczas pochodów pierwszomajowych.

| Rozumiem, że nie niesiono czerwonych radzieckich flag...

Nie! Proszę sobie wyobrazić, że w czasie demonstracji morze żółto-niebieskich flag przetoczyło się przez Kijów jeszcze za czasów ZSRR. To było wydarzenie bezprecedensowe.

| W przedmowie do książki „Czas twórczości i listy do syna” (tłum. Jacek Podsiadło i Katarzyna Kotyńska), która ukazała się niedawno w Polsce nakładem

Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie, nazwał Pan tę manifestację protomajdanem.

Z pewną dozą ostrożności można powiedzieć w ten sposób. W pamięci zbiorowej funkcjonują dwa tzw. majdany – pomarańczowa rewolucja i rewolucja godności, czyli Euromajdan. Czasem wspomina się jeszcze trzeci zryw, czyli rewolucję na granicy w 1990 roku. Te trzy wydarzenia utożsamiamy z Majdanem Niepodległości w Kijowie, który był głównym miejscem protestów.

Z ceremonią ponownego pochówku Stusa, Tycheho i Łytwyna było inaczej – trumny przywieziono na plac Sofijski i tam zaczęły się uroczystości. Później kondukt poprowadzono przez ulicę Wołodymyrską, obok gmachu KGB, żeby w końcu złożyć ich ciała na cmentarzu Bajkowa. Mimo że nie odbyło się to na centralnym placu Kijowa, to wymiar symboliczny i znaczenie tego wydarzenia, moim zdaniem, stały się fundamentem dla kolejnych ukraińskich zrywów rewolucyjnych. Dmytro Stus postrzega ten protomajdan nie tylko jako moment uczczenia pamięci więźniów, ale też jako wyraźny sprzeciw i opór wobec systemu radzieckiego. Można więc powiedzieć, że uroczystość ponownego pochówku była momentem przebudzenia świadomości politycznej, kulturalnej i narodowej.

Chciałabym, żebyśmy chwilę porozmawiali o Stusie i o tym, co sprawiło, że stał się wrogiem reżimu. Zaliczany jest do tzw. sześćdziesiątników. Co może Pan powiedzieć o doświadczeniu tego pokolenia?

Wasył Stus jest obecnie twarzą pokolenia sześćdziesiątników, choć to tylko jeden z wielu twórców tego okresu. Kiedy patrzę z dzisiejszej perspektywy na to pokolenie, zdaję sobie sprawę z tego, jakie znaczenie mieli i mają sześćdziesiątnicy dla naszej przeszłości i teraźniejszości. Dostrzegli zagrożenie dla ukraińskiej kultury i państwowości i na swój sposób próbowali z nim walczyć, przeciwiwając się i stawiając opór.

Kim byli? Jakie wartości wyznawali?

Sześćdziesiątnicy to nieoficjalne określenie grupy ukraińskich twórców, którzy stworzyli nieformalny ruch na rzecz odrodzenia języka i kultury ukraińskiej oraz obrony przed rusyfikacją. Powstał Klub Młodzieży

Wasył Stus jest w tym momencie twarzą pokolenia sześćdziesiątników, ale to tylko jeden z wielu twórców. Kiedy patrzę z dzisiejszej perspektywy na to pokolenie, zdaję sobie sprawę z tego, jakie znaczenie mieli i mają sześćdziesiątnicy dla nas i naszej obecnej historii.

**Stus był taką osobą, że im
bardziej na niego naciskano,
tym większy stawiał opór.
Poeta wręcz patologicznie
wyszczał się kłamstwa
i niesprawiedliwości.**

Twórczej, do którego należały takie osoby, jak Lina Kostenko, Iwan Dziuba czy Iwan Swiłyczny. W latach sześćdziesiątych organizowali oni wieczory pamięci poświęcone np. Łesi Ukraince, ale przede wszystkim twórcom ukraińskiego renesansu kulturalnego lat dwudziestych, który znany jest jako „rozstrzelane odrodzenie”.

Sześćdziesiątnicy reprezentują pokolenie, które pragnęło wolności. Zależało im na przywróceniu sprawiedliwości historycznej, domagali się wyjaśnienia zbrodni stalinowskich i przekazania informacji na temat ofiar. Ich celem było odkrycie nazwisk wszystkich pisarzy, których złamał ustrój sowiecki. W 1964 roku ten klub został zdelegalizowany z powodu neototalitarnych rządów Leonida Breżniewa. Już w następnym roku przez Ukrainę przeszła fala aresztowań, największa od czasów Stalina.

I w tym czasie na celowniku władzy znalazł się Wasyl Stus.

Tak, podobnie jak wielu jego przyjaciół, np. wspomniany już Iwan Swiłyczny. Warto tu przypomnieć wydarzenia z 4 września 1965 roku podczas premiery w kinie Ukraina filmu Siergieja Paradżanowa „Cienie zapomnianych przodków”, zrealizowanego na podstawie opowiadania Mychajła Kociubińskiego. W trakcie prelekcji do tego filmu Iwan Dziuba wykorzystał swoją przemowę, aby powiadomić publiczność o aresztowaniach inteligencji w Kijowie. Gdy tajni agenci podjęli próbę zagłuszenia tłumy, Stus zdobył się na symboliczny z naszej perspektywy gest – wstał i krzyknął: „Kto przeciw tyranii – niech wstanie!”. Już wtedy zwracał uwagę, że milczenie jest przestępstwem. To był jeden z pierwszych jawnych aktów oporu w przestrzeni publicznej od czasów rządów Stalina.

Stusa wtedy nie aresztowano, ale znalazł się na cenzurowanym. Poeta, który był doktorantem w kijowskim Instytucie Literatury, został z niego wyrzucony kilka dni po tym incydencie. Pracował w Centralnym Archiwum Historycznym, później podejmował pracę fizyczną: w kopalni, w metrze, na budowie... Po jego wystąpieniu w kinie Ukraina cały czas obserwowało go KGB. Na początku 1972 roku został uwięziony i skazany na pięć lat łagru i trzy lata zesłania za „antysowiecką agitację i propagandę”. Spędził dziewięć miesięcy w izolacji, a następnie do 1979 roku pracował w Mordowii.

W 1980 roku ponownie go aresztowano oraz skazano na dziesięć lat przymusowych robót i pięć lat zesłania. Zmarł w 1985 roku w jednym z najcięższych łagrów.

Nie widział się z rodziną od 1981 roku, jednak wciąż pisał listy.

Chcę Pana jeszcze zapytać o ten okres od 1965 roku. Stus był pod stałą obserwacją KGB, ale sam także śledził losy ludzi ze swojego środowiska – mam na myśli aresztowania, morderstwa. W 1970 roku wstrząsnęła nim śmierć jego przyjaciółki Ałły Horskiej. Czy mógłby Pan powiedzieć coś więcej na temat łączącej ich relacji?

Cieszę się, że wspomina Pani Ałłę Horską, która była niezwykle utalentowaną plastyczką, twórczynią monumentalnych witraży, m.in. „Szewczenko. Matka”, witrażu zniszczonego przez władze radzieckie. Ałła była córką Ołeksandra Horskiego, jednego z twórców kina radzieckiego, który nie pochwałał dysydenckich zapędów córki.

Historia przyjaźni Horskiej i Stusa rozpoczęła się w latach sześćdziesiątych, kiedy Stus przeprowadził się do Kijowa. Ich więź była wyjątkowa na wielu poziomach. Łączyły ich wspólne zainteresowania – Stus interesował się sztuką, pewne sygnały tej fascynacji wciąż odnajduję w jego poezji, warto zwrócić uwagę choćby na sposób, w jaki dobierał słowa i używał metafor. W swoich dziennikach i pamiętnikach poruszał ten temat wielokrotnie.

Łączyła ich przede wszystkim głęboko etyczna postawa i poczucie solidarności. Niektórzy badacze nazywają Horską prawdziwą duszą sześćdziesiątництва, podkreślają jej niezachwianą stabilność i gotowość do niesienia pomocy, porównując ją przy tym do latarni morskiej, która jest trwałym punktem odniesienia. Podobnie Stus kierował się jednoznacznym imperatywem moralnym. Mówimy więc o przyjaźni dwójki wybitnych intelektualistów, nietuzinkowych postaci, ale przede wszystkim osób reprezentujących niesłuchanie etyczną postawę. Śmierć Ałły Horskiej wstrząsnęła Stusem. Zachowało się zdjęcie z pogrzebu artystki, na którym Stus, idąc w kondukcje pogrzebowym, niesie fotografię z jej portretem. Na jego twarzy malują się wielki żal i smutek. Mowę pogrze-

Rodzina Stusów na Donbasie musiała czuć się wyobcowana – nawet przez język, bo zawsze mówili po ukraińsku.

To postawa niewielu osób, choć mimo rusyfikacji realizowanej przez ZSRR istniała kultura ukraińskojęzyczna. Nie bez powodu tak wielka liczba dysydentów pochodzi z Donbasu.

bową rozpoczął od słów: „Dzisiaj – ty, jutro – ja”. Stus często wspominał Horską w swoich utworach, zadedykował jej wiele wierszy, m.in. „Яриї, душе. Яриї, а не ридаї”.

Wielokrotnie zwracał Pan uwagę na etyczną postawę Stusa. Skąd u niego aż tak silny imperatyw moralny?

Po pierwsze, to kwestia psychologiczna. Z informacji, jakie posiadamy, wynika, że Stus należał do osób, które tym większy stawiają opór,

im bardziej się na nie naciska. Poeta wręcz obsesyjnie wystrzegał się kłamstwa i niesprawiedliwości. Po drugie, moim zdaniem, chodzi o warunki, w jakich dorastał. Stus urodził się w styczniu 1938 roku, czyli rok przed rozpoczęciem wojny. Miał siedem lat, kiedy się skończyła, ergo jego okres formacyjny, pierwsze wspomnienia, przypadają na czas wojny. W listach, pisanych z łagrow do swego syna Dmytra, często wracał do swojego dzieciństwa. Mimo że nie było one łatwe, określał je jako dobre. W przedmowie do „Zimowych drzew” (1970), pierwszego tomu

poetyckiego, który nie został wówczas wydany w Ukrainie, ale ukazał się na Zachodzie, pisze o tym, jak jako nastolatek ciągnął taczki z węglem...

...W tym miejscu warto zaznaczyć, że Stus dorastał na Donbasie.

Tak, tam dorastał, choć urodził się w Rachniwce niedaleko Winnicy. Kiedy miał roczek, jego rodzice postanowili poszukać szczęścia na Donbasie, należącym wówczas do Stalina. Dorastający Stus robił wszystko, by wesprzeć rodzinę. Mówił wprost o biedzie. Swoich rodziców darzył niezwykłym szacunkiem, często dzielił się z nimi jedzeniem. Chciał za wszelką cenę polepszyć ich los.

Wydaje mi się, że przebywając na Donbasie, Stusowie musieli czuć się wyobcowani chociażby pod względem językowym, ponieważ zawsze posługiwali się językiem ukraińskim. Taka postawa nie była powszechna, choć muszę podkreślić, że mimo rusyfikacji realizowanej przez ZSRR istniała tam kultura ukraińskojęzyczna. Nie bez powodu tak wielu dysydentów pochodziło właśnie z Donbasu.

Stus od najmłodszych lat był człowiekiem o dużej świadomości moralnej, starał się ze wszystkich sił wspierać swoją rodzinę w tych niezwykle trudnych okolicznościach historycznych. Od zawsze była w nim wrażliwość na niesprawiedliwości wobec innych i on ją w sobie pielęgnował.

I Kto na przykład?

Iwan Dziuba, Iwan Switłychny czy Wasyl Hołoborodźko, jeden z głównych przedstawicieli kijowskiej szkoły poetyckiej. To są ludzie dorastający w warunkach ucisku kulturowego.

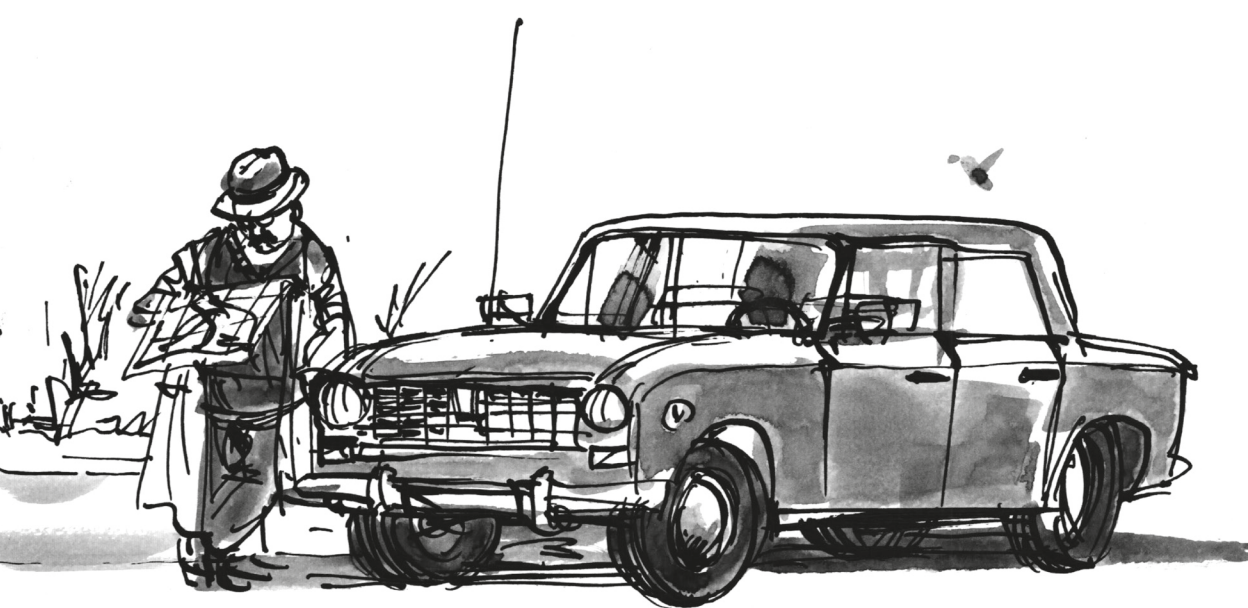
Wracając jednak do Wasyla Stusa, przywołam to, co powiedziała mi kiedyś jego siostra Maria. Od najmłodszych lat przejawiał on dużą świadomość moralną, starał się ze wszystkich sił wspierać swoją rodzinę w tych niezwykle trudnych okolicznościach historycznych. Cała rodzina wyznawała etykę pracy. Wasyl Stus zawsze szanował swoich

rodziców. Wiele razy pisał o tym w wierszach i listach. Nawet kiedy zwracał się do żony i syna, nie zapominał o matce i siostrze. Od zawsze była w nim wrażliwość na niesprawiedliwości wobec innych i on ją w sobie pielęgnował.

I Muszę przyznać, że często czuję się postawą Stusa onieśmielona.

Chciałbym podkreślić, że podczas badań, przekopywania archiwów i analizowania tych materiałów sam zacząłem odkrywać Stusa jako człowieka, który świadomie kształtował swoją tożsamość i w tym znaczeniu – był w ciągłym ruchu. Rozumiem Pani uwagę – Stus urósł do rangi pomnika, chociaż zmarł stosunkowo niedawno. Zwłaszcza jego dzieła są dziś istotne. On sam zaś opowiada historię samostanowienia.

Podczas swoich badań, przekopywania archiwów, mierzenia się z materiałami zacząłem odkrywać dla siebie Stusa jako człowieka, który o sobie stanowił, który był w ciągłym ruchu. Stus urósł do rangi pomnika, choć zmarł stosunkowo niedawno. Jego dzieła zwłaszcza dziś są istotne. Opowiada on historię samostanowienia.



Gorbaniewska. Natasza. nie potrafiła skłamać

Z prof. Nikołajem Iwanowem,
historykiem i dysydentem,
rozmawia Zbigniew Rokita

Prof. Nikołaj Iwanow – były radziecki dysydent pochodzenia białoruskiego, historyk, autor m.in. książek „Zapomniane ludobójstwo. Polacy w państwie Stalina. »Operacja polska« 1937-1938” (Znak Horyzont, Kraków 2014) czy „Ludzie Kremla nad Wisłą. Ideowcy czy zdrajcy?” (Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023).

Zbigniew Rokita jest dziennikarzem. Laureat Literackiej Nagrody Nike. Autor książek, m.in. „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” i „Odzyskanie. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”.

Zbigniew Rokita: Za początek ruchu dysydenckiego w ZSRR uznaje się rok 1966 oraz proces Julija Daniela i Andrieja Siniawskiego. Dlaczego akurat wówczas ów ruch się rodził?

Nikołaj Iwanow: Cofnijmy się kilka lat. W 1956 roku odbywa się XX Zjazd KPZR, Nikita Chruszczow przejmuje władzę i rozpoczyna się chruszczowska odwilż. Ludzie zdają sobie sprawę, że skończył się już zamordyzm i terror stalinowski, podczas którego za najmniejsze przewinienie można było stracić wolność lub życie.

Nie obawialiście się, że stalinizm wróci?

Rozstrzelanie Ławrientija Berii, w którym wszyscy widzieli następcę Stalina, utwierdziło wielu, że coś się zmieniło. Tak samo podziałał fakt, że od władzy zostali odsunięci inni wysoko postawieni bolszewicy-stalinowcy, jak Władysław Mołotow, Gieorgij Malenkov, Łazar Kaganowicz, osoby ponoszące osobistą odpowiedzialność za terror wobec własnego narodu. O tym, że coś się zmieniło, świadczył również właśnie proces Julija Daniela i Andrieja Siniawskiego – to rzeczywiście był proces, oni mieli obrońcę, próbowali się bronić, pisano o tym w „Prawdzie”. Dysydenci reagowali. Podpisywano listy protestacyjne. Organizowano protesty w obronie oskarżonych. Na placu Majakowskiego w Moskwie każdej nocy gromadzili się ludzie, czytali wiersze, byli tam m.in. Jewgienij Jewtuszenko i Andriej Wozniesiński, uważani za najwybitniejszych poetów „odwilży”. Choć było też wielu neoleninowców, którzy lojalnie kwestionując politykę władz, upomi-

nali się jednocześnie o powrót do „ideałów Lenina”. I nikt tych mitingów nie rozpędzał, władza przymykała oczy.

Dodajmy, że Daniel i Siniawski zostali zatrzymani za publikowanie swoich utworów na Zachodzie.

I nikt ich nie rozstrzelał. Wcześniej oskarżeni zawsze przyznawali się do niepopętnionych czynów, a Siniawski i Daniel nie przyznawali się do niczego. Ludzi to dziwiło. Nie aż tak wiele osób wiedziało o procesie, ale ci, którzy wiedzieli, zaczęli sobie powoli zdawać sprawę, że w systemie pojawiła się wyrwa, że można w nią wejść i walczyć z reżimem. I dlatego rozpoczął się ruch dysydencki. Ale nadzieje na prawdziwe złagodzenie reżimu okazały się iluzją.

Gdyż?

Władze nie mogły już wrócić do dawnych form represji, ale wymyśliły nowe – jak psychuszki. Sam Chruszczow zdał sobie sprawę, że liberalizacja poszła za daleko, a Breżniew częściowo cofnął reformy Chruszczowa, m.in. po cichu rehabilitował Stalina.

Na czym polegał ów paradoks: dysydenci rodzą się nie wówczas, gdy system odkręca śrubę, w 1956 roku, ale dziesięć lat później, gdy zaczyna ją dokręcać?

Ruch dysydencki to pokłosie kilku lat odwilży. Ludzie musieli z jednej strony uwierzyć w możliwość zmian, a z drugiej przekonać się, że zamordyzm może wrócić. Choć na Aleksandrze Sołżenicynie czy Wałamie Szalamowie nowe represje – w porównaniu z piekłem stalinowskim, którego doświadczyli – nie robiły już takiego wrażenia jak na naszym pokoleniu. Poza tym wiatr zmian naprawdę się wyczuwało. Szło się ulicą i z wielu okien słyszało się pieśni Władimira Wysockiego. Ponoć nawet Biuro Polityczne zbierało się słuchać jego muzyki, zachwycało się jego poezją. Była wtedy nadzieja.

Dziesiątki, a wkrótce setki osób przystępują do ruchu dysydenckiego. Władimir Bukowski opowiadał mi kiedyś: „Kiedy człowiek po raz pierwszy głośno wyrażał swój sprzeciw wobec systemu, wówczas następował dla niego trudny okres przejściowy – większość dotychczasowych przyjaciół odsuwała się od niego, a na zaufanie nowych trzeba było sobie jeszcze zasłużyć”. Jak to się stało, że Natalia Gorbaniewska została dysydentką?

W jednym z wywiadów odpowiedziała na to pytanie z przymrużeniem oka: „Byłam młoda i głupia”. Wydaje mi się, że są ludzie – i Natasza do nich należała – którzy genetycznie nie potrafią kłamać. Nawet w drobnych rzeczach, oni potrzebują prawdy. Mówiła prawdę tak w życiu, jak i w swojej poezji. Prawdziwy poeta i prawdziwa poetka nie mogą kłamać.

Czy był jakiś jeden moment zderzenia z kłamstwem, który ukształtował ją jako dysydentkę?

Myślę, że nie było jednego momentu, to w niej dojrzewało. Początkowo pomagała ludziom w ramach struktur radzieckich organizacji, funkcjonowała w tym systemie.

Pochodziła z inteligenckiej moskiewskiej rodziny.

To nie było takie proste. Natasza została wcześniej osierocona. Gdy miała pięć lat, jej ojciec zginął na froncie II wojny światowej. Jej matka pracowała jako urzędniczka, mieszkali razem z babcią w suterenie, żyli ubogo. Widziała w szkole dzieci, które jadły kanapki, których ona nigdy w życiu by nie dostała. Wywodziła się z rodziny inteligenckiej – tak, ale skromnej. Wśród dysydentów pierwszej fali, po procesie Daniela i Siniawskiego, przeważała inteligencja wyższego szczebla, robotników było tu niewielu. Należeli do niej pisarze, poeci, muzycy, naukowcy, którym w tym systemie żyło się nieźle, ale dusili się z braku wolności duchowej. Nie sposób porównać tego z wielomilionową polską Solidarnością, która łączyła robotników i inteligencję. W ZSRR początkowo było to kilkadziesiąt osób, później kilkaset.

Dwudziestego piątego sierpnia 1968 roku wraz z siedmioma innymi osobami wychodzi na plac Czerwony, aby pod Kremlm protestować przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Trzymają m.in. plansze z hasłami: „Uwaga na okupantów”, „Ręce precz od CSRR!” czy „Za wolność waszą i naszą!”. Protestowała tylko przeciwko inwazji?

Gorbaniewska nie zgadzała się na żaden rodzaj zakłamania, w tym w kontekście inwazji, którą rządowe środki masowego przekazu przedstawiały

Kiedy Natasza wyszła na plac Czerwony, studiowałem historię w Mińsku, moja reakcja była czysto sowiecka. Zdziwiłem się – jak można protestować przeciwko naszej ojczyźnie, tej potędze? Co to za odszczepieńcy, wariaci? Nie mieściło mi się to w głowie. Podobnie zareagowali zwykli Rosjanie.

jako braterską pomoc czechosłowackim robotnikom i chłopom. Sprzeciwiała się również wszelkim nierównościom społecznym i biedzie, której sama doświadczyła. To również był protest na tle socjalnym, dopominanie się o godność.

| Wówczas usłyszał Pan o Gorbaniewskiej po raz pierwszy?

Tak. Radzieckie media nie nagłaśniały protestu, ale usłyszałem o nim w audycji w Głosie Ameryki czy Radiu Wolna Europa.

| Jaka była Pana pierwsza reakcja?

Studiowałem wówczas historię w Mińsku. Byłem trochę naiwnym studentem pierwszego roku i moja reakcja była czysto sowiecka, zdziwiłem się

Władimir Bukowski i Aleksandr Podrabinek napisali książkę o psychuszkach, władze nieco się wystraszyły. Schizofrenie bezobjawową „leczono” jednak do końca istnienia ZSRR, ale już nie tak radykalnie.

– jak można protestować przeciwko naszej ojczyźnie, tej potędze? Co to za odszczepieńcy, wariaci? Nie mieściło mi się to w głowie. Podobnie zareagowali zwykli Rosjanie przebywający wówczas na placu Czerwonym. Natalia opowiadała mi, że milicja aresztowała ich dopiero po kilku minutach, ale wcześniej otoczyli ich zwykli ludzie, krzyczeli na nich, a później nawet zaczęli ich bić – Wiktorowi

Fajnbergowi jakiś przechodzień wybił cztery zęby. To zresztą było symboliczne – protestowali na placu Czerwonym, który był symbolem tak bestialstwa, jak i pokuty, był miejscem straceń. Teraz przekształcił się w wielki cmentarz, na którym jest pochowanych kilkaset osób, głównie wybitnych działaczy komunistycznych.

Dopiero rok czy dwa później zdałem sobie sprawę ze znaczenia tych demonstracji. Słuchałem zagranicznych stacji radiowych i wiedziałem, ile tych protestów miało miejsce: tu Krymscy Tatarzy, tu robotnicy, tu ormiańscy obrońcy praw człowieka, tu litewscy obrońcy chrześcijaństwa. Chyba tylko na mojej Białorusi nie było protestów.

| A jakie było znaczenie protestu Gorbaniewskiej? Ktoś mógłby powiedzieć: kilka osób wyszło na kilka minut, nic się nie zmieniło.

Wtedy, w 1968 roku, protest nie odegrał zbyt dużej roli. Większość z tych, którzy się o nim w ogóle dowiedzieli, zareagowała podobnie jak ja. Poza tym skupialiśmy się na tym, co stanie się w Czechosłowacji – czy dojdzie

do walk, do wojny? Okazało się jednak, że Czesi to nie Polacy czy Węgrzy, a większość zabitych w Czechosłowacji żołnierzy sowieckich zginęła wskutek pijaństwa, wypadków samochodowych czy z innych przyczyn. Ale znaczenie protestu Gorbaniewskiej rosło z każdym rokiem, przy każdej rocznicy. Ludzie mówili o nim, wspominali też o innych protestach, toczyło się to jak kula śnieżna.

O ile osądzono w pewnym momencie zbrodnie stalinowskie, o tyle wciąż nie wiemy, ile osób zginęło w psychuszkach.

I Bo dysydenci rośli w siłę.

Oczywiście. Niebawem pojawiła się, tak to nazwijmy, „legalna opozycja” – ludzie, którzy jak Aleksander Sołżenicyn czy Andriej Sacharow, głośno protestowali, a nikt ich nie wsadzał do więzienia. Mieszkanie Sacharowa było w Moskwie bezpieczną przystanią – jeśli groziło ci niebezpieczeństwo, mogłeś się tam schronić, a wtedy włos ci z głowy nie spadł. Choć to były wyjątkowe przypadki. To samo można powiedzieć o mieszkaniu słynnego rosyjskiego muzyka polskiego pochodzenia, Mścislawa Rostropowicza, u którego przebywał i pisał swe antysowieckie książki Sołżenicyn.

Na ogół jednak kontestujących system surowo karano. Za protest na placu Czerwonym Gorbaniewska zostaje „skazana” na szpital psychiatryczny. Na czym polegała psychiatria represyjna, psychuszki?

Najstraszniejsze było to, że osadzonych próbowano „leczyć”.

Gorbaniewskiej podawano substancje, które wywoływały u niej objawy choroby Parkinsona.

A wspomnianego Fajnberga poddawano wstrząsom elektrycznym – to jak średniowieczne tortury. Fajnberg czy Bukowski ciągle wysyłali listy z prośbą, żeby przenieść ich do łagru, bo warunki w łagrze były wielokrotnie lepsze.

Zwłaszcza że kiedy ktoś trafiał do więzienia, znano długość kary. A do psychuszki trafiało się aż do wyzdrowienia, co w praktyce oznaczało, że można było tam zostać na zawsze. Gorbaniewska w zakładzie psychiatrycznym spędziła dwa lata, a następnie przeniesiono ją do więzienia.

To prawda. W 1975 roku ZSRR podpisał Akt końcowy KBWE w Helsinkach i przez jakiś czas musiał udawać, że przestrzega praw człowieka. W związ-

Gorbaniewska była niesamowitą polonofilką. Tłumaczyłem jej, że inaczej patrzyłaby na Polskę, gdyby tu mieszkała na stałe, a nie tylko przyjeżdżała z Paryża, ale ona nie słuchała. Uważała, że jest to kraj ludzi odważnych i sprawiedliwych. Polska była dla niej symbolem demokracji i wolności.

ku z tym najzagorzalszych przeciwników reżimu Kreml deportował lub wymieniał. Ludzie często wyrażali dezaprobatę wobec tego, co się działo, śpiewając czastuszki: „Gdzie możemy na świecie znaleźć takiego skurwysyna, żeby wymienić go na Breżniewa?”. Znana była wówczas sprawa wymiany Bukowskiego na sekretarza generalnego komunistycznej partii, czyli Luisa Corvalana. Nataszę zmuszono do opuszczenia ZSRR w 1975 roku.

Bukowski powiedział mi: „Deportacje były absurdalne. W Związku Sowieckim były dziesiątki tysięcy ludzi, którzy gotowi byli sprzedać duszę diabłu, byleby się stamtąd wydostać. Tymczasem nas, którzy często chcieli zostać i dalej walczyć, wyrzucali na siłę”.

Najpierw Bukowski, a później Aleksandr Podrabinek napisali książki o psychuszkach, co zaniepokoiło władze i choć stosowały te metody do końca istnienia ZSRR, to już nie tak radykalnie. Jednak mimo tego, że osądzono w pewnym momencie zbrodnie stalinowskie, to nadal nie wiemy, ile osób zginęło w psychuszkach. Z całą pewnością wielu „hospitalizowanych” nigdy stamtąd nie wyszło. W Instytucie Psychiatrii Sądowej im. Serbskiego w Moskwie wciąż wisi portret Daniła Lunca, uważanego za założyciela sowieckiej „psychiatrii”. A to on na polecenie KGB i Biura Politycznego skazywał dysydentów na pobyt w zakładach psychiatrycznych. Niestety, w dzisiejszej Rosji pod rządami Putina wciąż jest czczony.

| Co dzieje się z Gorbaniewską na emigracji?

Trafia do Paryża, ale we Francji nigdy się nie odnalazła, nie podobał się jej ten kraj. Mieszkała tam jakby z przymusu. Mówiła czasem: „Paryż – tak, ale Francja – nie”. Gdyby istniało obywatelstwo paryskie, to by go przyjęła, ale francuskiego nie chciała. Dlatego później przyjęła polskie obywatelstwo. Była niesamowitą polonofilką. Tłumaczyłem jej, że inaczej patrzyłaby na Polskę, gdyby tu mieszkała na stałe, a nie tylko przyjeżdżała z Paryża, ale ona nie słuchała. Uważała, że to kraj ludzi odważnych i sprawiedliwych. Polska była dla niej symbolem demokracji i wolności. Mówiła, że poezja polska jest jedyną poezją, która może się równać z rosyjską. Była też wy-

bitną tłumaczką polskiej poezji, przekładała m.in. Czesława Miłosza czy Wisławę Szymborską. I Polska ją doceniła. Została przewodniczącą jury Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus”, otrzymała tu, nad Wisłą, wiele nagród i odznaczeń.

I A po jej śmierci Wrocław ustanowił Nagrodę Czytelników im. Gorbaniewskiej.

W Polsce miała też wielu przyjaciół. Blisko była np. z Kornelem Morawieckim, byli bardzo podobni. Żadne z nich nie przywiązywało zbyt dużej wagi do pieniędzy. Na emigracji Natasza pracowała w wielu mediach, m.in. w Wolnej Europie, była jednym z wydawców gazety „Nowaja Ruskaja Mysl”, redagowała czasopismo „Kontynent”, miała mnóstwo innych zajęć. Teoretycznie były to dochodowe zajęcia, ale ona nie zgromadziła żadnego majątku. W Paryżu żyła w jednopokojowym mieszkaniu. Dysydentką pozostawała nawet na emigracji.

Gorbaniewska w Paryżu żyła w jednopokojowym mieszkaniu. Dysydentką pozostawała nawet na emigracji.

I Czuła się przede wszystkim poetką?

Tak, czuła się przede wszystkim poetką. Sama o sobie mówiła, że nigdy nie czuła się politykiem – nawet w polityce zachowywała się jak poetka. Angażowała się także we Francji, wychodziła na protesty, podpisywała listy protestacyjne, np. przeciwko wojnie w Czeczenii, ale nie to było najważniejsze – najważniejsza była poezja. Założyła wirtualną szkołę poezji dla młodych rosyjskich poetów i ich uczyła. Pod swoimi skrzydłami miała wielu wybitnych współczesnych twórców i twórczyń. Widziałem to – wchodzi mała Natasza, bo mierzyła półtora metra, a oni chcą ją brać na ręce, przytulać. Była dla nich bożyszczem.

Podobnie jak kiedyś sama była pod skrzydłami Anny Achmatowej, której spodały się jej wiersze. Gorbaniewska wspominała: „Ona naprawdę mnie kochała. Czasem dzwoniła do mnie do pracy, a koledzy podśmiewali się: »Ty nawet przy telefonie stoisz przed nią na baczność«. To prawda, ja za każdym razem, kiedy ją widziałam, czułam się tak, jakbym dostawała order, w dodatku za nic, niezasłużony”. Dobrze się znaliście z Gorbaniewską?

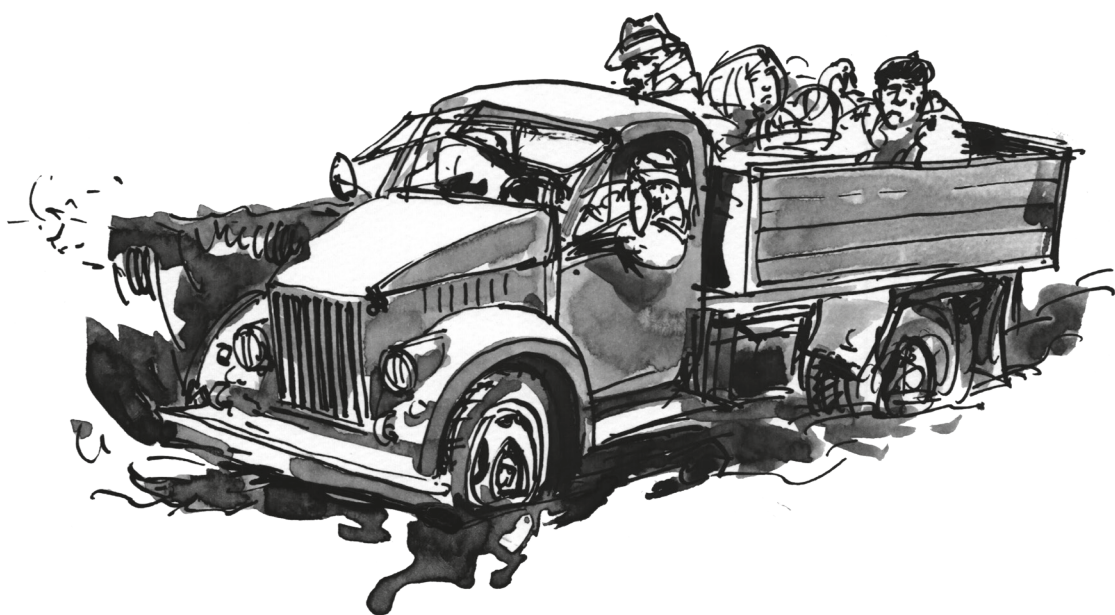
Przyjaźniliśmy się. Gdy Natasza przyjeżdżała do Wrocławia, gdzie bywała bardzo często, mieszkala u mnie. Potrafiła zatrzymać się na kilka miesięcy.

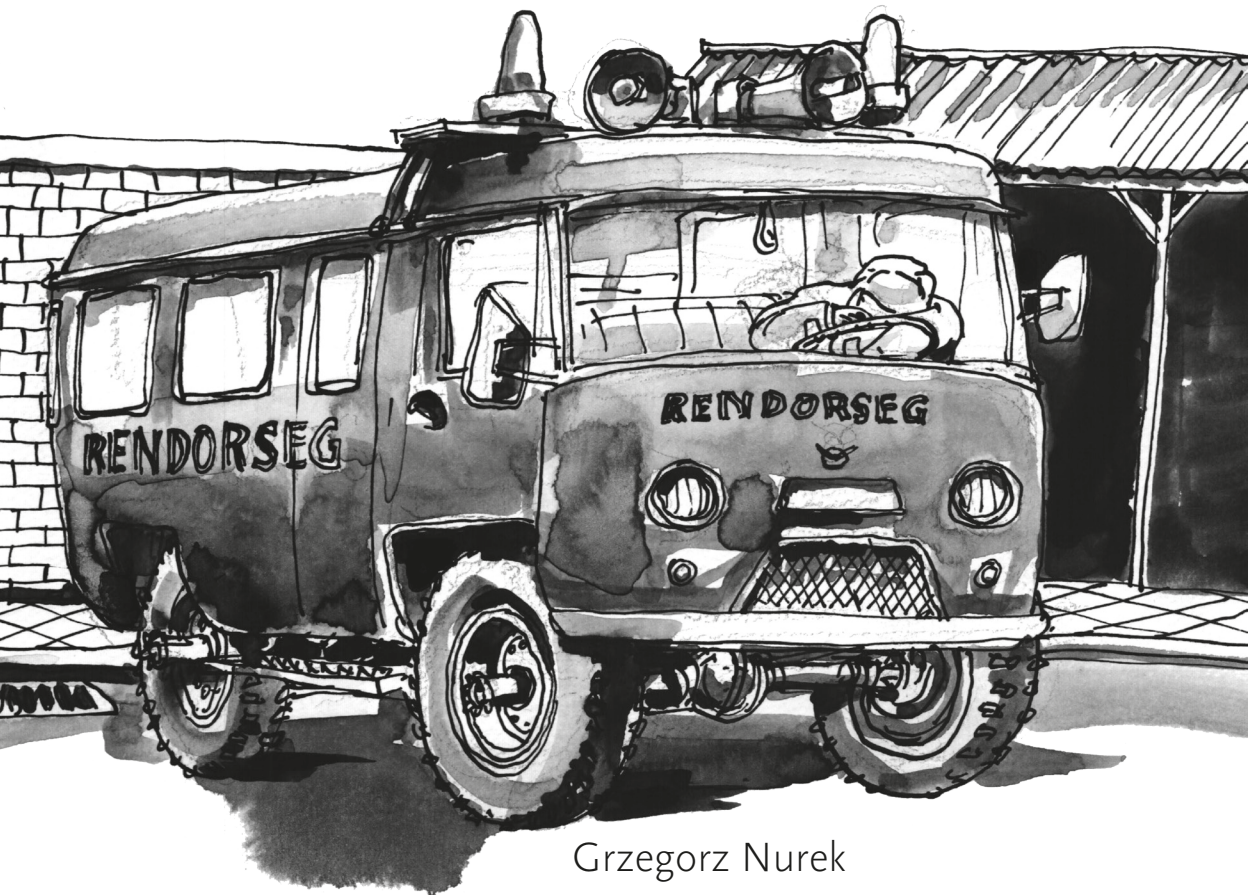
| Jaką była osobą?

Czarującą, wspaniałą. I ciągle paliła papierosy. Zatrzymywała się więc u nas w czasach, gdy w hotelach nie można już było palić. Mamy w domu mansardę, gdzie siedziała całymi dniami i bez przerwy paliła i pisała.

| Rosjanie pamiętają dziś o Gorbaniewskiej?

Pamięć o niej wśród inteligencji polskiej i rosyjskiej jest porównywalna. Paradoksalnie jednak Rosjanie bardziej pamiętają ją jako dysydentkę niż jako poetkę – niestety. Choć z drugiej strony, do dzisiaj nikt w Rosji nie wyrzucił z bibliotek jej książek. Byłem w Moskwie na spotkaniu poświęconym jej książce „Poldien” (Południe), będącej wspomnieniem o proteście na placu Czerwonym. Sala pękała w szwach. Chciałbym, żeby na placu Czerwonym pojawiła się płyta pamiątkowa o ich akcie odwagi – ale na to będziemy musieli jeszcze poczekać.





Grzegorz Nurek

Márai.

Pisarz-prorok

z „kraju stojącego
w przedsionku piekła”

Grzegorz Nurek – redaktor i dziennikarz krakowskiej „Gazety Wyborczej”, stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej”, „New Eastern Europe” i „Tygodnika Powszechnego”.

„Dopóki kraj jest satelitą Sowietów i łupem chciwej i okrutnej rozbójniczej bandy krajowych bolszewików, pisarz węgierski nie może uwierzytniać tego faktu, żyjąc i pozostając tam. Sprawy już zaszły tak daleko, że nawet nie da się milczeć; musiałem więc udać się na wygnanie, dobrowolnie z rodziną” – napisał o sobie Sándor Márai.

Losy jednego z najwybitniejszych węgierskich twórców, bezwzględного przeciwnika radzieckiej władzy, który piórem walczył o „wolne Węgry”, odtworzyć możemy, posiłkując się jego literaturą. Pomocne będą powieści oraz nade wszystko dzienniki. W Polsce doczekaliśmy się niedawno tłumaczenia pięciotomowego dziennika Sándora Máraiego. Zapiski obejmują lata 1943-1989.

Ta opowieść daleka będzie od bezstronności. Nie będę ukrywać, że w panteonie znakomitych XX-wiecznych twórców to jeden z najbardziej cenionych przeze mnie pisarzy. Podejrzewam, że jednym z warunków zostania wybitnym pisarzem jest dar pisania dzienników. Wśród polskich pisarzy-diarystów w czołówce umieściłbym Witolda Gombrowicza, Andrzeja Bobkowskiego („Szkice piórkiem”), Jarosława Iwaszkiewicza, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego („Dziennik pisany nocą”), Mirona Białoszewskiego („Tajny dziennik”), Marię Dąbrowską, Zofię Nałkowską, Leopolda Tyrmanda („Dziennik 1954”), Józefa Czapskiego, Jana Józefa Szczepańskiego oraz Józefa Hena. Zdecydowanie słabsze na ich tle wydają się dzienniki Sławomira Mrożka czy Jerzego Pilcha.

Wśród pisarzy spoza Polski, Węgier Sándor Márai nie miał sobie równych.

Oryginały dzienników, tysiące rękopisów wróciło z Kanady do Budapesztu dopiero w 2005 roku. Trafiły do Muzeum Literatury imienia Sándora Petöfiego. Całość zapisków liczy kilkanaście tomów. Tłumaczka dziennika Máraiego, Teresa Worowska, dokonała wyboru zapisków z wszystkich tych tomów.

Dwie wojny światowe

Moja fascynacja twórczością pisarza zaczęła się w 2000 roku, od lektury pierwszej jego powieści przetłumaczonej na polski, małego arcydzieła – „Żaru”. Z każdym kolejnym tłumaczeniem dzieł Máraiego admiracja dla niego jedynie rosła. W 2004 roku w wydawnictwie Czytelnik ukazał się jednotomowy wybór z dzienników węgierskiego twórcy. Publikacje Máraiego miały dobrą prasę, rosło grono ich entuzjastów. O Sándorze pisali m.in. Krzysztof Varga, Andrzej Stasiuk i Adam Zagajewski. Wielu czytelników, podążając śladami autora „Żaru”, odwiedzało rodzinne strony pisarza – obecne słowackie Koszyce (niegdyś węgierską Kassę). Przypominają tu o nim pomnik i tablice.

Márai urodził się w Kassie 11 kwietnia 1900 roku. Rodzina miała korzenie niemieckie, Sándor od młodości wychowywał się w węgierskim i niemieckim. Jego ojciec był prawnikiem i pracował w banku, matka opiekowała się domem i wychowywała rodzeństwo przyszłego pisarza. Sándor miał dwóch braci i siostrę. Rodzina należała do patrycjatu, dość majątnych mieszczan. Stać ich było na zatrudnianie guwernantek i prywatnych nauczycieli. Márai kształcił się także w szkole średniej w Kassie. Zaczął publikować pierwsze wiersze i artykuły w prasie.

Po rozpadzie monarchii austro-węgierskiej (w wyniku I wojny światowej) Budapeszt zajęły oddziały rumuńskie. W Wersalu, w pałacu Grand Trianon 4 czerwca 1920 roku przedstawiciele Węgier podpisali z państwami ententy traktat pokojowy. Węgry jako spadkobierca dawnej monarchii habsburskiej poniosły konsekwencje przegranej wojny. W dniu podpisania traktatu w całym kraju odprawiano nabożeństwa żałobne. Trudno się było obywatelom pogodzić z utratą dwóch trzecich obszaru państwa oraz dostępu do morza. Kassa włączona została do Czechosłowacji.

W 1919 roku Márai wyjechał do Niemiec, a następnie do Francji. Studiował dziennikarstwo, rozpoczął współpracę z europejskimi gazetami,

pisał sztukę teatralną, podróżował i zwiedzał. Ożenił się z krajanką z Kassy Iloną Metzner, zwaną Lolą.

Do kraju Máraiowie wrócili dopiero w 1928 roku. W 1939 roku urodził się im synek Kristof. Po kilku miesiącach, na skutek krwotoku wewnętrznego zmarł. Małżeństwo bardzo mocno przeżyło stratę długo wychowywanego dziecka.

Márai publikował kolejne książki, w których krytykował ideały mieszczańskie. Szybko stał się na Węgrzech rozpoznawalnym i cenionym pisarzem.

W latach trzydziestych narastające nastroje rewizjonistyczne zbliżały Węgry do sojuszu z III Rzeszą. W 1938 roku Kassa i tereny południowej Słowacji wróciły do Węgier.

Wraz z wybuchem II wojny światowej z roku na rok sytuacja rodzinna, osobista i zawodowa pisarza coraz bardziej się komplikowała. Podobno nawet jego młodszy bracia sympatyzowali z ruchami profaszystowskimi. Lola, żona Máraia, tak jak jej siostra i córka siostry były z kolei Żydówkami. Márai mieszkał w Budapeszcie, coraz większa obawa o życie żony i jej bliskich zmusiła go do przeprowadzki do wioski pod Budapesztem zwanej Leányfalu (trzydzieści kilometrów od stolicy). Kursował między prowincją i Budapesztem, zdobywał żywność, obserwował i notował.

Wydawnictwo, w którym Márai publikował książki, znacjonalizowano, a dopiero co wydrukowaną jego nową książkę dano na przemiał. Jednocześnie w komunistycznych gazetach twórczość pisarza uznano za „literaturę szkodliwą”.

Ofensywa Rosjan

W 1941 roku węgierski minister spraw zagranicznych bez zgody parlamentu wypowiedział wojnę Związkowi Radzieckiemu i Stanom Zjednoczonym. Rok 1943 to ważna data dla pisarza. Porzuca publikowanie w gazetach („nie ma wolnej prasy”) i rozpoczyna pisanie dziennika. Zarekwirowano mu samochód. Nacjonalistyczna groza i widmo wojny narastały, każdy dzwonek do drzwi mógł oznaczać niebezpieczeństwo. Dziewiętnastego kwietnia 1944 roku na Węgry wkracza armia niemiecka. Kilka dni później Márai zanotował w dzienniku: „Dziś odebrano Żydom wszelką własność. Zamknięto wszystkie uczciwe gazety. Budapeszt jest metodycznie bombardowany”. W miastach Niemcy tworzą dla Żydów getta. Márai tak to opisywał: „Wszędzie, w każdym mieście węgierskim liczącym przynajmniej dziesięć tysięcy mieszkańców, obowiązkowo powstają getta, do których

spędzają Żydów z sąsiednich wsi”. Jakiś czas potem: „W sobotę o północy zamknięto peszteńskie getto. Ponad dwieście tysięcy osób gnieździ się w tych potwornych, zatłoczonych kwaterach i czeka, żeby pociągami wyjechać do Polski, do obozów. Nie wolno tam już nikogo odwiedzać”. Po Budapeszcie krążą bojówki strzałokrzyżowców; trwa grabież majątku polonijowskiego, odbywają się polowania na ukrywających się Żydów. Przez sześć miesięcy trwają wywózki węgierskich Żydów do Auschwitz. „Kraj stoi w przedsionku piekła” – pisze Márai.

Márai notuje w dzienniku:
„Uważam, że bolszewizm to
dzieło Diabła, jego najbardziej
osobisty wynalazek”.
„Nie wrócę do ojczyzny,
dopóki panują w niej Rosjanie
i komuniści” – deklaruje.

Niewiele czasu potrzeba, a Budapeszt staje się miastem frontowym. Na ulicach pojawiają się niemieckie działa artyleryjskie. Trwają przygotowania do oblężenia. Ofensywa Rosjan, nieustanne bombardowania i ciągły ostrzał. Kto tylko może ucieka do piwnic i schronów. Márai pisze z końcem grudnia 1944 roku o tym, że w stolicy przebywa „półtora miliona głodnych i zmarzniętych mieszkańców”.

„Drugiego dnia po zajęciu Leányfalu przez Rosjan w południe zjawia się u nas trzech Rosjan. (...) Kapitan ukraiński jest »politrukiem«, Kaukazyk regularnym żołnierzem. Ukraińiec mówi, że oni walczą z Niemcami, idą do Austrii i na Berlin; Węgry są dla nich terenem przemarszu, ale ponieważ Węgrzy stawili opór, musieli z nimi walczyć, lecz kiedy stąd odejdą, »Węgrzy mogą sobie żyć jak chcą«” – relacjonuje pierwsze spotkanie z czerwonoarmistami pisarz. Tymczasem „w Budapeszcie znalazło się w okrażeniu siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy niemieckich, którzy wraz z hordami strzałokrzyżowców walczą o każdy dom; wszystkie mosty na Dunaju zostały wysadzone”.

W ogródku domku w Leányfalu Rosjanie urządzają warsztat naprawczy aut i czołgów dla armii, a do dwuizbowej chatki, w której mieszka Márai z żoną, adoptowanym chłopczykiem Jánosem, kuzynką z dzieckiem, wprowadza się na dwa tygodnie szesnastu rosyjskich żołnierzy.

Po zdobyciu Budapesztu przez Rosjan pisarz udaje się na ulicę Mikó w Starej Budzie, gdzie w jednej z kamienic znajdowało się ich mieszkanie. „Przez otwór po oknie widzę książki i żyrandol; reszta to zawalony dach i sufit, zerwany balkon, ogromne dziury w murze od strony ulicy. Dom jest całkowicie zrujnowany, do wyburzenia” – notuje Márai.

Pociechą dla Máraiów przez wiele kolejnych dekad będzie zaadoptowany przez nich czteroletni chłopczyk János, którego matka porzuciła, gdy był dwumiesięcznym niemowlęciem. Pisarz bardzo zżył się z małżeństwem („Jesteśmy samotni, a on tę samotność wypełnił nam życiem” – pisał w dzienniku).

Sowieckie rozgrywki

Po zakończeniu wojny na Węgrzech nastają nowe porządki. „Zwracają się do mnie – pisze Márai – bym przyjął prezesurę »Towarzystwa Węgiersko-Czechosłowackiego«. A planują je powołać akurat w chwili, w której Słowacy zmuszają zamieszkałą tam ludność węgierską do noszenia znaków odróżniających i masowo deportują z rodzinnych stron. Nie przyjmuję prezesury”.

Pisarz kupuje mieszkanie w Budzie, dwa pokoje w kamienicy przy ulicy Klasztornej. Publikuje dziennik z lat 1943-1944, za co spotykają go ataki ze strony komunistycznych pismaków. Rada Artystów chce przydzielać domy po wysiedlanych Szwabach pisarzom węgierskim. Márai publicznie ten pomysł krytykuje.

Po wprowadzeniu nowej waluty, forintów, wszystko kilkukrotnie drożeje. Trwa czystka polityczna. Niewygodni i nie dość aprobujący nowe porządki, niekwapiący się wstępować do partii usuwani są z urzędów, a nawet deportowani do Związku Radzieckiego. W 1947 roku pisarz rzuca: „W Boże Narodzenie będzie trzy lata, odkąd żyjemy pod rosyjską okupacją”.

Jego zasoby finansowe dramatycznie się kurczą. „Nie mam pieniędzy. Jeszcze kilka tygodni w tych warunkach i zapuka do nas niedostatek, znacznie się okres wyprzedawania się, biedowania. Wydawanie książek zbankrutowało. (...) Prasa to śmietnisko, nadaje się tylko dla szmaciarzy. (...) Teatry stały się partyjnymi budami kuglarskimi” – żali się Márai.

Pisarzowi wizytę składa żona premiera Węgier w latach 1921-1931, Margit Bethlen. Nie wie, czy jej mąż żyje. (Był przeciwnikiem sojuszu z Niemcami. W 1945 roku został aresztowany przez Rosjan. Zmarł w moskiewskim więzieniu).

Wydawnictwo, w którym pisarz publikował swoje książki, znacjonalizowano, a dopiero co wydrukowaną nową książkę Máraiego dano na przemiał. Jednocześnie w komunistycznych gazetach twórczość pisarza uznano za „literaturę szkodliwą”.

Następuje nacjonalizacja przedsiębiorstw, banków i fabryk. Ich dawni właściciele rano dowiadują się z gazet, że nie mają już do nich wstępu. Całe rodziny fabrykantów zmuszane są do emigracji.

Emigrant

Pisarz nie ma wyboru. Też decyduje się na opuszczenie kraju. Pisze w dzienniku: „Dopóki kraj jest satelitą Sowietów i łupem chciwej i okrutnej rozbójniczej bandy krajowych bolszewików, pisarz węgierski nie może uwierzytelniać tego faktu, żyjąc i pozostając tam. Sprawy już zaszły tak daleko, że nawet nie da się milczeć; musiałem więc udać się na wygnanie, dobrowolnie z rodziną”.

Márai przewiduje szybkie ogołocenie przez Sowietów państw satelickich z towarów, surowców i maszyn.

„Nadchodzi okres, w którym na scenie pozostaną tylko oddelegowani z Moskwy komuniści, w większości Żydzi, którzy mają za zadanie przygotować w okupowanych krajach przejście do statusu republiki sowieckiej” – pisze w 1948 roku, kiedy na zawsze opuści Węgry.

Rodzina pisarza dociera do Neapolu, gdzie przyjmuje ich pomocny wuj Loli, Lajos Marton.

W grudniu 1948 roku na Węgrzech aresztowano prymasa Józsefa Mindszentyego, który sprzeciwiał się nacjonalizacji szkół katolickich. Po torturach i sądowym procesie został skazany za „zradę stanu” na dożywocie. Papież Pius XII ekskomunikował wszystkich odpowiedzialnych za prześladowanie duchownego. Dalsze losy Mindszentyego to temat na niejeden film.

Nowy węgierski minister kultury zwalcza niezależnych artystów. Urzędy notariuszy, knajpy i restauracje też zostają „upaństwowione”. Márai (już bezpieczny) śledzi z Włoch uważnie, co dzieje się w ojczyźnie. Listy z Budapesztu – od rodziny i przyjaciół – otrzymuje na przybrane nazwisko. Słucha codziennie wieczorem węgierskiej rozgłośni radiowej.

Notuje w dzienniku: „Uważam, że bolszewizm to dzieło Diabła, jego najbardziej osobisty wynalazek”. „Nie wrócę do ojczyzny, dopóki panują w niej Rosjanie i komuniści” – deklaruje.

W lutym 1951 roku „budapesztański rząd bolszewików kazał usunąć ze wszystkich bibliotek książki »niesłusznych« autorów krajowych i zagranicznych (...). Dwieście tysięcy tomów wysłano na przemiał, żeby uzyskać z nich nowy papier. (...) Na liście usuniętych książek jest także moich

czterdzieści tomów: praca całego życia. Ten zbiorowy pogrzeb literatury węgierskiej odbył się w milczeniu” – pisarza oburza zupełny brak reakcji świata na dokonujące się barbarzyństwo.

Na Węgrzech zostają wprowadzone kartki na żywność i mydło, otrzymują je jedynie osoby pracujące. Siedemdziesięciosiedmioletniej matce pisarza nie przysługują. Pozostaje jej zdobywanie żywności po zawyżonych cenach na czarnym rynku. Syn wysyła jej paczki żywnościowe.

Trwają masowe wysiedlenia ziemian i procesy księży.

Pisarza oburza brak reakcji świata na dokonujące się na Węgrzech barbarzyństwo, którym jest „walka z niezależną i »niesłuszną« kulturą. (...) Dwieście tysięcy tomów wysłano na przemiał, żeby uzyskać z nich nowy papier. (...) Na liście usuniętych książek jest także moich czterdzieści tomów: praca całego życia. Ten zbiorowy pogrzeb literatury węgierskiej odbył się w milczeniu”.

Współpraca z RWE

Radio Wolna Europa tworzy sekcję węgierską i zaprasza pisarza do współpracy. Márai przystaje na propozycję i odtąd przez kolejne lata z Rzymu, Nowego Jorku i Monachium będzie regularnie przemawiał do rodaków. Znacząco poprawi to sytuację finansową prozaika, w sytuacji gdy zagraniczni wydawcy jego książek będą zwlekać z płaceniem honorariów.

Márai powraca do pisania, pływa w morzu, odżywa. Mimo to stara się o wizy emigracyjne do Stanów Zjednoczonych. Otrzymuje je po ponad trzech latach pobytu we Włoszech.

Mając pięćdziesiąt dwa lata, w 1952 roku, statkiem z żoną i Jánosem wyruszają do Ameryki. „Jedyną rzeczą, jaką mogę dać Jánosowi, jest obywatelstwo amerykańskie. Reszta już będzie należała do niego” – pisze.

Żyją skromnie, ale nie biedują. Nadal głównym źródłem dochodów pisarza są audycje dla Radia Wolna Europa.

Dwudziestego trzeciego października 1956 roku na Węgrzech wybuch powstanie. Uczestnicy wielotysięcznych demonstracji w Budapeszcie domagają się wolnej prasy, niezależności od ZSRR, wolności. Węgrzy obalają pomnik Stalina na placu Bohaterów. Márai leci do Monachium. Dwieście tysięcy Węgrów emigruje. W dziennikach pisarza pojawiają się dramatyczne relacje i świadectwa uchodźców. Premier Węgier Imre Nagy ogłasza neutralność Węgier i wystąpienie z Układu Warszawskiego. Czwartego listopada na Węgry wkracza Armia Radziecka. W powstaniu

Radio Wolna Europa tworzy sekcję węgierską i zaprasza pisarza do współpracy. Przez kolejne lata z Rzymu, Nowego Jorku i Monachium będzie regularnie przemawiał do rodaków. W ten sposób znacząco przyczyni się do szerzenia wolnego słowa w rodzimym kraju.

krwawo stłumionym przez Sowietów zginęło 2,5 tysiąca Węgrów, 20 tysięcy aresztowano. Szacuje się, że zginęło 740 radzieckich żołnierzy. W 1958 roku Imre Nagya skazano na karę śmierci i powieszono.

Pisarz spotyka się w Monachium z bratem, którego nie widział dziesięć lat. Wraca do Ameryki. Robi sobie wyrzuty, że jednak nie został w ojczyźnie dekadę temu.

Po kilku latach wraca do Włoch, na starość znów z żoną przeprowadzają się do Stanów Zjednoczonych.

Umierają wszyscy jego bliscy. Żona i nawet przybrany syn János. Zostaje sam.

Zabrania publikować swoich książek w kraju do czasu, kiedy ostatni radziecki żołnierz nie opuści Węgier, a one odzyskają niezawisłość.

Ma osiemdziesiąt dziewięć lat, jest autorem czterdziestu sześciu książek. Dwudziestego pierwszego lutego 1989 roku w San Diego popełnia samobójstwo, strzelając sobie w głowę.

Rok później (marzec/kwiecień 1990 roku) na Węgrzech odbyły się demokratyczne wybory.

Obawy o Europę i marzenie o niej

W zapiskach wybitnych diarystów: Máraiego, Herlinga-Grudzińskiego czy Bobkowskiego można odnaleźć podobny ton – całkowity brak złudzeń co do charakteru porządków, które planowali i wprowadzali w życie Sowietci w krajach Europy Środkowo-Wschodniej po zakończeniu II wojny światowej.

Dar wnikliwej obserwacji, analizy faktów, krytycyzm i celność sądów pozwalały pisarzom przewidywać bieg wydarzeń.

To nie dotyczyło jedynie sowietyzacji Polski czy Węgier.

Jakże celnie, proroczo i z mistrzowską swadą o wiele wcześniej, bo w wieku trzydziestu trzech lat, Márai opisał chociażby sympatyków Hitlera w Berlinie. W zapiskach „Mesjasz w Pałacu Sportu”, odwołujących się do 1933 roku, oddaje nastrój panujący na wiecu nazistów. Jako zagranicznemu dziennikarzowi przydzielono mu funkcjonariusza („zwyczajnego nazistę”, w cywilu karczmarsza – dopowiada Márai). „W Sportpalast mie-

ści się dwadzieścia pięć tysięcy widzów. Wstęp kosztuje markę. Biletów nie można dostać na wiele dni wcześniej. W dniu wiecu zwołanego na godzinę ósmą już o trzeciej rozpoczyna się w mieście wędrówka w kierunku ogromnej betonowej areny. Ze stacji kolejki podziemnej przy ulicy Bülowa przez kilka godzin wylewa się rzeka nazistów w mundurach i z rodzinami. Wejścia oficjalnie zostaną otwarte dopiero o szóstej, ale o tej porze, nie wiadomo, jakim sposobem, miejsca siedzące na parterze i galerii są już zajęte” – zauważa pisarz. I dodaje z ironią: „Na ogół naziści w hali są bardzo uprzejmi. Z ludźmi tego rodzaju zawsze tak jest: jeśli akurat nie mordują, są niemal sympatyczni. Trzeba tylko wybrać odpowiednią chwilę do kontaktów z nimi”. Podczas przemowy Hitlera Márai przypatruje się twarzom bojówkarzy i słuchaczy. „Pozbawione wyrazu wodniste oczy, czerwone, opuchłe od piwa twarze, wygolone karki, postury trzeciej kategorii. Co dzieje się w głowie, która takimi oczyma spogląda na świat? Jaki chaos się w niej kłębi, jaka natrętna mania? (...). To zuniformizowany motłoch, zorganizowana ograniczoność, zmobilizowany instynkt stadny, utrzymywana i opłacana brutalność, wymuszone kijem posłuszeństwo i entuzjastyczne oddanie wyegzekwowane kolbą. To typowa nazistowska twarz, jaką może ukształtować tylko społeczeństwo o chorych ideach” – konkluduje pisarz. „Zaczynam odczuwać dyskomfort, jakbym był zamknięty w jednej sali z dwudziestoma pięcioma tysiącami obłąkanych. Nieprzyjemne uczucie”. „Niemcy są wielkim narodem i mają rozmaite poglądy. Tylko jedna piąta słucha – z przekonania, wyrachowania czy bezradnej rozpacz – Mesjasza, który wśród gęstych błysków magnetyzacji stoi przed swymi wyznawcami na podium w Sportpalast. (...) Ta jedna piąta sześćdziesięciu milionów przysporzy jeszcze Niemcom, Europie i światu niewyobrażalnych szkód, chaosu i zagrożenia. Póki ta jedna piąta jest zwarta i trzyma się razem, póty nie ma mowy o pokoju na świecie. Mówię to, bo widziałem te twarze!” – kończy notować Márai.

Obawy o los Europy towarzyszyły pisarzowi właściwie przez całe życie. W 1942 roku Sándor Márai w tekście zatytułowanym „Polemika w kwestii

Pisarz zabrania druku swoich książek w kraju, do czasu kiedy ostatni radziecki żołnierz nie opuści Węgier, a one odzyskają niezawisłość. Dwudziestego pierwszego lutego 1989 roku w San Diego popełnia samobójstwo, strzelając sobie w głowę. Rok później (marzec/kwiecień 1990 roku) na Węgrzech odbyły się demokratyczne wybory.

wychowania narodu” opublikowanym w „Gazecie Peszteńskiej” przestrzegał: „Siłą Europy są wielobarwność, przeciwieństwa, spieranie się, pamiętanie, sięganie po dowody, istnienie różnic. To właśnie było prawdziwym źródłem znaczącej roli, jaką odgrywała w przeszłości, i tylko to może być nim w przyszłości, a jeśli technika, narzucenie władzy mas lub jakieś formy organizacji społecznej bądź zarządzanej przez władze zmusiłyby żyjące tu narody do jednakowej dla wszystkich formy życia, (...) Europa straciłaby swą historyczną rolę i przekształciłaby się w ogromny zakład przemysłowy i obóz koncentracyjny dla ludzi”. I tu ponownie Márai miał rację, chociaż w środku zawieruchy wojennej żaden polityk go nie słuchał. Pocieszające wydaje się to, że jego marzenie, co prawda, już po jego śmierci, ale się spełniło. Wieszczył bowiem w 1942 roku: „Być może dzisiaj jeszcze wydaje się to nieprawdopodobne, ale za kilka lat wcale nie będzie nierealne takie oto założenie, że w miejsce Europy, tragicznie, na kawałki poszarpanej przez interesy gospodarcze i względy światopoglądowe, powstanie inna, w której obywatel każdego europejskiego narodu będzie mógł bez przeszkód podróżować, a paszport w kieszeni da mu prawo, żeby bez wizy przekraczał granice państw europejskich, w Oslo płacił tą samą walutą co w Neapolu, a towar norweskiego rybaka bezpośrednio i bez specjalnego zezwolenia mógł wystać do bułgarskiego hurtownika”.

Cytaty z dzienników w tłumaczeniu Teresy Worowskiej (Sándor Márai, „Dziennik” t. 1-5, Czytelnik, Warszawa 2016-2020).

Korzystałem także z książek Sándora Máraiego „W podróży” w tłumaczeniu Teresy Worowskiej (Fundacja Zeszytów Literackich, Warszawa 2011), „Porwanie Europy” w tłumaczeniu Ireny Makarewicz (Czytelnik, Warszawa 2022) oraz monografii Tibora Mészárosa „Odyseja XX wieku. Sándor Márai – życie i dzieło” w przekładzie Ireny Makarewicz (Czytelnik, Warszawa 2023).





Miłosz.

Twórca tożsamości Polaków

Z prof. Andrzejem Franaszkiem,
pisarzem, biografem Miłosza i Herberta,
rozmawia Ireneusz Dańko

Andrzej Franaszek jest krytykiem literackim, biografem. Wykładowca Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, laureat Nagrody Miasta Krakowa. Opublikował książki: „Ciemne źródło. Esej o cierpieniu w twórczości Zbigniewa Herberta” (Londyn 1998; wyd. II: Kraków 2008); „Przepustka z piekła. 44 szkice o literaturze i przygodach duszy” (Kraków 2010); „Miłosz. Biografia” (Kraków 2011; otrzymał za nią m.in. Nagrodę Fundacji im. Kościelskich, Nagrodę Nike Czytelników „Gazety Wyborczej”, Nagrodę im. Kazimierza Wyki oraz Nagrodę Ministra Kultury i Edukacji Narodowej); „Herbert. Biografia”, t. 1-2 (Kraków 2018) oraz „Gwiazda Piołun. Opowieści o poezji, podróżowaniu i przyjaźni” (2022). Od kilku lat pracuje nad monografią życia i twórczości Józefa Czapskiego.

Ireneusz Dańko jest dziennikarzem, specjalizuje się m.in. w tematyce historycznej.

Ireneusz Dańko: W swoim kalifornijskim domu Czesław Miłosz miał zawieszoną mapę Wielkiego Księstwa Litewskiego. Czuł się spadkobiercą dawnej wieloetnicznej Rzeczypospolitej?

Andrzej Franaszek: Można tak powiedzieć, choć dla wielu zapewne zabrzmiałoby to dziś zbyt patetycznie. Miłosz był współtwórcą opowieści o tej części Europy, która przez kilkadziesiąt lat stanowiła fenomen kulturowo-polityczny, zwany Rzeczypospolitą Obojga Narodów. Choćby w książce „Rodzina Europa” budował mit miejsca łączącego elementy różnych tożsamości: polskiej, ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej, ale także żydowskiej, ormiańskiej czy niemieckiej. W tym tyglu etnicznym – jak pisał Miłosz – potrafił, raz lepiej, raz gorzej, ale jednak się porozumiewać. Jego myślenie szło zdecydowanie na przekór XIX- i XX-wiecznym nacjonalizmom, triumfującym ideom państw jednolitych narodowościowo, co zresztą przysparzało mu kłopotów przez całe życie. W okresie, gdy dojrzewał, a więc w latach dwudziestych minionego stulecia, nie było już miejsca na realizację takiej wizji, czego dowodem jest upadek federacyjnej koncepcji Józefa Piłsud-

skiego. Mimo to Miłosz pozostał wierny swoim przekonaniom, które na emigracji zbliżyły go choćby do Jerzego Giedroycia, redaktora naczelnego paryskiej „Kultury”, głoszącego potrzebę współpracy i pojednania narodów dawnej monarchii Jagiellonów. To przecież właśnie krąg intelektualny „Kultury” podnosił prawo, a nawet konieczność istnienia suwerennej Ukrainy, Litwy (i szerzej: państw bałtyckich) oraz Białorusi, wyzwolenia ich spod hegemonii Związku Sowieckiego. Już w latach pięćdziesiątych myślano tu o nowej Europie – federacji wolnych podmiotów, ojczyzn, a więc o czymś na kształt dzisiejszej Unii...

Miłosz pochodził ze szlacheckiego rodu na Litwie. Czuł się Polakiem, ale obcy był mu jakikolwiek narodowy szowinizm.

Uważał się przede wszystkim za przedstawiciela pewnej formacji pogranicznej, wyrosłej na styku kilku kultur, narodów, języków, wyznań. Jego ojczyzną była w pierwszym rzędzie dolina rzeki Niewiaży na Litwie, okolice Szetejń, gdzie się urodził i spędził dzieciństwo, oraz Wilno, miasto burzliwego formowania się, wyborów politycznych i pierwszych dzieł poetyckich. Wychował się w polskim języku i w polskiej kulturze, ale – co lubił podkreślać – oprócz rdzennie polskich antenatów ze strony ojca, miał także litewskie korzenie – jego matka wywodziła się ze starych rodów Syrucuów i Kunatów, które przed wiekami uległy spolonizowaniu. Tej mieszanke krwi nadawał wymiar wręcz mitologiczny. Polska część miała odpowiadać za romantyczne porywy, fascynację duchowością i kulturą, ale także za skłonność do depresji czy nawet chorób psychicznych, które dotykały członków najbliższej rodziny. W litewskich przodkach widział źródło sił witalnych, solidności i pracowitości, które pomagały mu przezwyciężać życiowe tragedie.

W czasach międzywojennych ostry spór o Wilno toczyły nacjonalizmy polski i litewski. Pierwszy z nich Miłosz głośno piętnował przez całe życie, wobec drugiego wydawał się mniej surowy.

Litewski nacjonalizm reprezentował po prostu znacznie mniejszy naród i nie zagrażał mu tak jak polski, którego nieszczęsny rozwój obserwował w latach trzydziestych. Warto jednak przypomnieć, że np. w powieści „Dolina Issy”, inspirowanej swoim dzieciństwem, Miłosz opisał, jak do polskiego, przyjaznego Litwinom dworu litewski nacjonalista wrzuca granat. Chłopiec – bohater powieści, tylko przypadkiem unika śmierci, bo granat

ów nie wybucha. Zdarzenie takie, jak twierdził Miłosz, nie było jego wymysłem, lecz realnym przeżyciem.

Niechęć do nacjonalizmu zbliżyła go do przeciwniej ideologii – komunizmu, a po wojnie zaowocowała nawet kilkuletnią pracą dla władz zainstalowanych przez Stalina w Polsce. Chciał jedną totalitarną chorobę wyleczyć drugą?

Miłosz na pewno nie był komunistą, natomiast niewątpliwie był – użyję niezręcznego słowa – „antyprawicowcem”. Faktycznie na krótko zbliżył się ideowo do komunizmu, ale jego młodzieńcze i nieprzemyślane pochwały pod adresem dynamiki zmian społecznych w Związku Radzieckim można policzyć na palcach jednej ręki. W latach trzydziestych wycofywał się z takich fascynacji, walczył o samodzielną pozycję intelektualisty – przeciwnego obu totalitaryzmom, nigdy nie wstąpił do partii komunistycznej. Ale przede wszystkim odczuwał wręcz cielesną niechęć, wstręt wobec endecji, jej nacjonalizmu, szowinizmu, antysemityzmu. Był też zdecydowanym krytykiem takich rysów pol-

skiej kultury, jak katolicyzm w jego narodowym, politycznym wydaniu. W latach trzydziestych widział antyżydowskie manifestacje narodowców, które gromadziły tłumy młodzieży akademickiej wspieranej przez księży i prasę katolicką. Istniało getto ławkowe na uczelniach, organizowano bojkoty sklepów żydowskich, takie pisma jak „Prosto z Mostu” nawoływały przynajmniej do przymusowej emigracji Żydów z Polski. Oczywiście bardzo zła była też polityka wobec mniejszości ukraińskiej. Polskę z późnych lat trzydziestych Miłosz uważał za kraj zmierzający wprost do dyktatury. Określenie ówczesnych rządów faszystowskimi byłoby zbyt mocne, ale z pewnością rządy te flirtowały z nacjonalistycznym obozem i ideologią. Tak zresztą byliśmy postrzegani w Europie; choćby we Francji o Polskę po zamachu majowym mówiono jako o państwie autorytarnym, co dodatko-

Miłosz pozostał wierny swoim przekonaniom, które na emigracji zbliżyły go choćby do Jerzego Giedroycia, redaktora naczelnego paryskiej „Kultury”, głoszącego potrzebę współpracy i pojednania narodów dawnej monarchii Jagiellonów. To przecież właśnie krąg intelektualny „Kultury” podnosił prawo, a nawet konieczność istnienia suwerennej Ukrainy, Litwy (i szerzej: państw bałtyckich) oraz Białorusi, wyzwolenia ich spod hegemonii Związku Sowieckiego. Już w latach pięćdziesiątych myślano tu o nowej Europie – federacji wolnych podmiotów, ojczyzn, a więc o czymś na kształt dzisiejszej Unii...

wych kłopotów przysporzyło nam po wojnie. O żołnierzach armii Andersa jako wprost o faszystach pisali oczywiście komuniści – francuscy czy włoscy, ale niestety także znacznie szersze kręgi w tych krajach postrzegały polskich emigrantów jako pogrobowców państwa niedemokratycznego i niesprawiedliwego.

Wydawać by się mogło, że Miłoszowi, z racji pochodzenia, bliżej było do klasy rządzącej niż do lewicy.

Szczyił się szlachetnie urodzonymi przodkami, ale żadną miarą nie był snobem. W latach studenckich zwyczajnie klepał biedę. Oceniał rzeczywistość nie z pozycji członka ziemiańskiej elity, lecz młodego człowieka z cokolwiek zdeklasowanej rodziny, który – oględnie mówiąc – z trudem wiąże koniec z końcem. Jako lewicowiec, a zarazem jako poeta bliski awangardzie, czuł się niejako podwójnie wyrzucony na margines ówczesnego życia. W „Rodzinnej Europie” wspominał, że jego sytuacja w młodości była podobna do Żyda, który pragnął wyrwać się z getta i dla którego jedyną ideologią dającą nadzieję na wyższy status społeczny był marksizm. Pod koniec dwudziestolecia czuł się zaś bezradny wobec przeczuwanej katastrofy. W takim nastroju zastał go wrzesień 1939 roku.

Nie chciał być „kamieniem rzuconym na szaniec” jak wielu jego rówieśników, nie angażował się w podziemną walkę. Większość okupacji spędził w Warszawie, posługując się litewskim paszportem, który umożliwił lepsze życie, co później wytykali mu przeciwnicy. Jak uzasadniał taką postawę?

Może należałoby tu zacząć od kryterium... wieku. Miłosz był zwyczajnie starszy od „pokolenia Kolumbów”, a więc generacji AK-owskiej, która zresztą wydała również wspaniałych poetów – Baczyńskiego, Gajcego, Różewicza. To głównie młodzi ludzie, zresztą procentowo, w stosunku do całości społeczeństwa, niezbyt liczni, angażowali się w walkę podziemną, w tym także w nieraz straceńcze akcje sabotażowe, przynoszące przede wszystkim ofiary. To oni następnie ginęli w powstaniu warszawskim, którego rozpoczęcie było dla kondycji narodu decyzją przynajmniej fatalną, jeśli nie wprost zbrodniczą, niewątpliwie zaś tragiczną w skutkach. Z punktu widzenia powiedzmy Gajcego – Miłosz, Andrzejewski, czy jeszcze starszy od nich Iwaszkiewicz, to cywile i zarazem „panowie intelektualści”, którzy podczas okupacji chcą pisać, myśleć, nie zaś odkręcać niemiecką tablicę z pomnika Kopernika... Myślę, że – mimo wszystkich trudnych

do rozstrzygnięcia odcieni i emocji – Miłosz miał rację, jego przetrwanie przyniosło polskiej kulturze nieporównanie więcej niż np. tragiczna śmierć Baczyńskiego. Mówiąc o kulturze, nie mam na myśli jedynie opublikowanych tomów wierszy, ale coś o wiele bardziej fundamentalnego – tożsamość, samoświadomość. O ile gorzej my, Polacy, rozumielibyśmy samych siebie, gdyby wojny nie przeżyli Miłosz i Gombrowicz?

W okupowanej Warszawie Miłosz miał m.in. litewski dowód osobisty – z wpisaną narodowością polską, zachował go z krótkiego pobytu w Kownie i Wilnie w roku 1940, jeszcze przed zajęciem Litwy przez ZSRR. Przypomnijmy, że z Wilna przekradał się do Warszawy przez zielone granice. Ten dowód, który zresztą kazał mu zatrzymać jego przełożony z niewielkiej polskiej socjalistycznej organizacji podziemnej, nie umożliwiał żadnego „lepszego życia”. Być może, ale tylko być może – wyratowałby z łapanek. Poza tym Miłosz żył jak inni polscy pisarze w tym czasie – biorąc udział w podziemnym życiu kulturalnym, nielegalnie publikując i równie nielegalnie zarabiając na życie. Powstanie przeżył podobnie jak setki tysięcy cywilów, trafił do obozu, stamtąd zaś – pod koniec roku 1944 – do dworu rodziny Jerzego Turowicza w Goszycach pod Krakowem. Turowicza, czyli – przypomnijmy – przyszłego twórcy „Tygodnika Powszechnego”.

Po wejściu Armii Czerwonej włączył się w budowę nowej „ludowej” Polski. Nie wiedział o represjach politycznych, mordach na akowcach, wywózkach, aresztowaniach? A może godził się na nie w imię ideologicznych racji?

Trudno dokładnie ustalić, co w tamtym czasie Miłosz wiedział, a czego mógł się tylko domyślać. Znane są np. jego wspomnienia z roku 1945, którego większość spędził w Krakowie, zanim wyjechał na placówkę dyplomatyczną do Stanów Zjednoczonych. Pracował wtedy ze swoim przyjacielem, wspomnianym już pisarzem Jerzym Andrzejewskim, nad scenariuszem filmu „Robinson warszawski”, który ostatecznie, po wielu – zakłamujących oryginalny zamysł – zmianach cenzorskich został zrealizowany jako „Miasto nieujarzmione” (już bez nazwiska Miłosza jako scenarzysty). Po latach poeta opowiadał, że podczas tej pracy przez okno widział żołnierzy AK uwięzionych w sąsiednim budynku Urzędu Bezpieczeństwa. Z jakiegoś powodu jednak przechodził do porządku dziennego nad tą sytuacją. Niewątpliwie popierał hasła nacjonalizacji przemysłu, reformy rolnej czy powszechnej edukacji. Ta nowa Polska, przy różnych zastrzeżeniach, jawiła mu się początkowo jako coś lepszego od tej sprzed wojny. Zdawał

sobie też jasno sprawę, że nie ma tu alternatywy, nie będzie kolejnej wojny, która pozwoli wyrzucić Armię Czerwoną z Europy Środkowej. Podobnie uważało zresztą wielu ludzi z elity intelektualnej, w tym jego koledzy z czasów wileńskich, którzy wstąpili do partii komunistycznej. Poza tym trzeba pamiętać, że zaraz po wojnie rzeczywistość była bardzo złożona, że istniało całe spektrum zachowań wobec nowej władzy, a nie tylko stanowczy opór społeczeństwa przeciw reżimowi narzuconemu przez Moskwę. Nawet środowisko przywołanego przed chwilą „Tygodnika Powszechnego” zawierało różne kompromisy – aż do roku 1953. Sam jednak muszę przyznać, że podczas pisania biografii Miłosza najbardziej zmęczył mnie właśnie ten rozdział – poświęcony latom 1945-1951. A więc opisujący jego życie do chwili, gdy na początku roku 1951 Miłosz „wybrał wolność” we Francji, na pewien czas trafiając pod opiekę „Kultury” – Giedroycia czy Józefa Czapskiego...

„Lawina bieg od tego zmienia, / Po jakich toczy się kamieniach” – napisał w „Traktacie moralnym” opublikowanym w 1947 roku. Chciał w jakimś minimalnym stopniu być takim kamieniem, który łagodzi skutki komunistycznej lawiny?

Możliwe, że tak. Był przy tym dzieckiem tamtej epoki, długo wierzył w determinizm historii i nieuchronne zwycięstwo komunizmu na świecie. Nie był też takim artystą, który zamyka się w „wieży z kości słoniowej”, przeciwnie – w miarę możliwości chciał kształtować dostępny mu świat. Co ciekawe jednak, wspomniany fragment „Traktatu...” interpretował później w dwojaki sposób. Raz jako wskazówkę: staraj się robić, co możesz, aby w czasach politycznej opresji wynikało z twoich działań jakieś dobro lub chociaż – mniejsze zło. Kiedy indziej przyznawał, że tego rodzaju swoisty wallenrodyzm mógł być podszyty nieszczerą wiarą. Kto bowiem jedynie trwa niczym kamień – może uzasadniać oportunizm rzekomym dobrem, wynikającym z jego postawy.

Jako attaché ds. kulturalnych ambasady PRL w Waszyngtonie żył całkiem wygodnie przez kilka lat z dala od zrujnowanego kraju. Firmował swoim nazwiskiem komunistyczny rząd, dla którego sporządzał m.in. szczegółowe analizy i raporty.

To prawda, ale podejmował też wiele sensownych działań. Zbierał np. książki dla bibliotek w Polsce, pisał do krajowej prasy o literaturze amerykańskiej i to nie w sposób propagandowy, lecz obiektywnie, w oparciu o własny gust literacki, przekładał i publikował taką zachodnią poezję, którą

uważał za odtrutkę na sowiecki socrealizm. Także spośród własnej twórczości zdołał wtedy opublikować choćby ów „Traktat moralny”, w późniejszych latach dzieło legendarne, ręcznie przepisywane i potajemnie czytane – choćby przez, co może nieco zaskakiwać, Zbigniewa Herberta.

Oczywiście wszystko to robił dopóty, dopóki było możliwe. Z czasem czuł coraz mocniej przykręcaną śrubę w polityce i kulturze, zobaczył wyraźnie, że znalazł się w sytuacji moralnie dwuznacznej. Jerzy Putrament, kolega z czasów wileńskich, a po wojnie wpływowa partyjna figura, powiedział mu nawet, że podejmując pracę w dyplomacji – podpisuje diabelski cyrograf... Po latach Miłosz nie miał dla siebie litości, wprost stwierdził, że

się prostytuował. Z ostatniej wizyty w kraju na przełomie 1950/1951 roku zapamiętał między innymi, jak wracał nad ranem z bankietu i po drodze spostrzegł więźniów jadących odkrytą ciężarówką. Byli jedynie w koszulach czy marynarkach i trzęśli się z zimna, a może i ze strachu, on przypatrywał im się wolny, stojąc na chodniku w ciepłym kożuchu. To mu ostatecznie uprzytomniło, po jakiej się znajduje stronie.

Polskę z późnych lat trzydziestych Miłosz uważał za kraj zmierzający wprost do dyktatury. Określenie ówczesnych rządów faszystowskimi byłoby zbyt mocne, ale z pewnością rządy te flirtowały z nacjonalistycznym obozem i ideologią. Tak zresztą byliśmy postrzegani w Europie; choćby we Francji o Polsce po zamachu majowym mówiono jako o państwie autorytarnym, co dodatkowych kłopotów przysporzyło nam po wojnie.

Rozliczeniem z tamtym czasem była książka „Zniewolony umysł”, w której opisał proces uzależnienia inteligencji od totalitarnej władzy i ideologii. Przyznał mu rozgłos i etykietę politycznego pisarza, ale nie czuł się z tym dobrze. Na początku emigracji Miłosz wpadł w depresję, czuł się opuszczony niemal przez wszystkich. Znalazł schronienie w redakcji paryskiej „Kultury”, nie mógł jednak wrócić do Stanów, gdzie urodził się właśnie jego drugi syn, bo Amerykanie nie chcieli mu dać wizy – traktując go jako „ekskomunistę”, do czego zresztą wydatnie przyczynili się polscy emigracyjni politycy, piszący nań donosy. W kraju był piętnowany za zdradę „ludowej” ojczyzny, a wśród dużej części emigracji – traktowany jako przynajmniej ktoś, kto popierał wrogi reżim, a może wręcz – agent. Wpływowe środowiska intelektualne na zachodzie Europy, zwłaszcza we Francji, fascynowały się Związkiem Radzieckim, uciekinier z „obozu postępu” był więc

Miłosz należał do tej dawnej formacji pisarzy, która mimo wszystkich wątpliwości wierzyła jeszcze, że poezja ma realny wpływ na rzeczywistość.

dla nich faszystą. W dodatku sam Miłosz, jak już wspomniałem, był przekonany, że przyszłość należy do komunizmu, że to Związek Sowiecki na być może stulecia podbije świat, a w każdym razie – Europę. Nie był zresztą w tych prognozach odosobniony, zgoda przeciwnie. Na Zachodzie czekano na Ro-

sjan: z lękiem lub nadzieją. Nie przypadkiem zatem pierwszy tekst, który Miłosz opublikował po zerwaniu z rządem w Warszawie, zaczyna się od stwierdzenia, że decyzja o pozostaniu na Zachodzie jest samobójcza. Emigrując, Miłosz wbrew swym jeszcze przedwojennym niechęciom dołączał do ludzi, których uważał za przegranych epigonów II RP. Wyzwolenie się z wiary w marksistowski determinizm zajęło mu dobrych kilka lat. Wtedy właśnie otworzył się mocniej na kwestie religijne, pisząc po drodze m.in. „Dolinę Issy” i „Traktat poetycki”. To był czas wygasania, jak sam mógłby powiedzieć, choroby, czy „intoksykacji” ideologicznej.

Jego stosunek do religii ewoluował przez całe życie. W młodości nonkonformista, surowy krytyk kościelnej praktyki, bez mała ateista, później – pod wpływem swojego krewnego Oskara Miłosza – zainteresował się chrześcijańskim mistycyzmem, aby w końcu stać się prawowiernym katolikiem, zawierającym Bogu swoje życie w oczekiwaniu na zbawienie.

Religijność Miłosza to skomplikowana, niejednoznaczna sprawa. Niewątpliwie miał naturę głęboko religijną, nią odczuwał świat, a w nim – swoje życie. Zmaganie się z pytaniem o obecność czy nieobecność Boga było dla niego jedną z podstawowych kwestii, może nawet najważniejszą. Już pierwsze młodzieńcze wiersze, częściowo polityczne i społeczne, ujawniały metafizyczny niepokój. Postrzeganie religii przez pryzmat przedwojennego Kościoła, mocno związanego z prawicą, zbliżyło go jednak do ateizmu. Widział, jak pojęciowa zbitka „Polak-katolik”, ukształtowana w czasach zaborów, stała się w Polsce międzywojennej orężem walki politycznej. I wtedy, w połowie lat trzydziestych, pojawił się Oskar Miłosz, poeta i mistyk, który uświadomił młodemu krewniakowi z Wilna zupełnie inną perspektywę – religijności indywidualnej, połączonej z doznaniem mistycznymi. Pamięci tamtego spotkania Czesław Miłosz był wierny do końca życia, przypomnijmy choćby, że poświęcił Oskarowi jeden z najpóźniejszych swoich utworów – poemat „Czeladnik”.

Jak to wszystko zrozumieć w kontekście listu, który kilka miesięcy przed śmiercią wysłał Miłosz do Jana Pawła II z prośbą o błogosławieństwo i potwierdzenie, że mieścił się w katolickiej doktrynie?

Tę tajemnicę zabrał z sobą do grobu. Jak zdecydowana większość Polaków tamtego czasu fascynował się postacią Jana Pawła II. Była to jednak epoka, kiedy w Polsce nie mówiło się jeszcze lub mówiło bardzo mało o ciemnych stronach pontyfikatu. Na Miłoszu, zanurzonego głęboko w historii i chrześcijańskim mistycyzmie, musiało wywrzeć wielkie wrażenie, że oto spadkobierca polskich romantyków, także poeta, zasiada na tronie Piotrowym w Rzymie. Przy tym Miłosz, przez większość życia indywidualista i – jak mówił – manichejczyk, pod koniec swej doczesnej drogi coraz częściej nazywał siebie „parafianinem” – czuł się częścią wspólnoty może nie tyle kościelnej, ile po prostu wspólnoty ludzi wierzących. Wspólnoty, w której razem z innymi, tak samo słabymi, niesie bagaż cierpienia w oczekiwaniu na śmierć, ale może również – życie pośmiertne.

Mimo to część polskiej prawicy uważała go za niegodnego pochówku w krypcie zasłużonych w klasztorze Paulinów na Skałce.

To było zachowanie haniebne, ale też wpisujące się w długie pasmo prawicowej niechęci do Miłosza. Z tego, co wiem, Miłosz sam nie wskazywał miejsca swego pochówku, myślę jednak, że nie miałby nic przeciwko właśnie Skałce, a nawet – Wawelowi. Nie wynikało to z jego pychy, miłości własnej (choć właśnie ją uważał za najgorszy grzech wielu artystów, w tym i własny), ale z przekonania, że jako poeta odgrywa ważną rolę w życiu zbiorowości. Należał bowiem do tej dawnej formacji pisarzy, która mimo wszystkich zwątpień wierzyła jeszcze, że poezja ma realny wpływ na rzeczywistość.

W krypcie katedry wawelskiej leży jego wielki poprzednik z Litwy – Adam Mickiewicz. Rok po otrzymaniu literackiej Nagrody Nobla, Miłosz odwiedził Polskę pierwszy raz po trzydziestu latach i był witany niemal jak nowe wcielenie wileńskiego wieszczka. Czuł się następcą?

Nie sądzę. Trudno obarczać go odpowiedzialnością za odczucia innych ludzi. Sam o sobie nie pisał, że jest wieszczem czy nowym wcieleniem autora „Dziadów”. Oczywiście, czuł silny związek z regionem, z którego razem pochodzili, obydwu poetów łączył też nieco podobny los emigrantów. Charakterystyczne jednak, że Miłosz najwyżej cenił wczesne klasycy-

zujące utwory Mickiewicza, nie zaś najsłynniejsze utwory romantyczne. Romantyzmu jako takiego w dużej mierze nie lubił, nie mówiąc już o może poruszającej, ale jednak na poły obłąkanej towiańszczyźnie. Ważny był dla Miłosza „Pan Tadeusz”, które to dzieło traktował co prawda dość wyjątkowo: jako utwór metafizyczny, wyraz pochwały bytu, a nie – jak chce szkolna tradycja – poemat „arcynarodowy”.

| Nagroda Nobla wzmocniła w Miłoszu poczucie siły i wartości własnej poezji?

Zapewne. Dała też satysfakcję, co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę także to, że przez wiele lat Miłosz miał niezwykle ograniczony kontakt z czytelnikami i zmagał się z dojmującym poczuciem samotności. Z drugiej strony jednak po Noblu czuł się manipulowany, angażowany do roli zdecydowanie mu obcej. Tak było w roku 1981, gdy odwiedził Polskę i zobaczył tłumy, które oczekiwały od niego nie czytania wierszy o nieobecności Boga, ale zagrzewania do solidarnościowej rewolucji. W jego archiwum znalazłem m.in. ulotkę z lat osiemdziesiątych, na której są wymienieni „trzej wielcy Polacy” – Jan Paweł II, Lech Wałęsa i Czesław Miłosz. Był tam też podpis: „wiara, nadzieja, miłość”. Dostał ją od Zofii Hertz z „Kultury” z ironicznym dopiskiem: „Miłość to chyba ty, Czesiu”... Miłosz miał nieraz świadomość dysonansu w odbiorze jego twórczości. Kiedy np. w latach siedemdziesiątych pisał o nędzy duchowej Ameryki, o bezwzględnej, okrutnej rywalizacji, pogoni za pieniądzem czy dominacji bezrefleksyjnej rozrywki, to jego rodakom w PRL-u ta sama Ameryka jawiła się jako ziemia obiecana, do której pragną dążyć.

| Po upadku komunizmu często bywał w Polsce. Jak oceniał przemiany?

Jego stosunek do Polski po 1989 roku był ogólnie akceptujący, ale też niewolny od zastrzeżeń i wątpliwości. Nie podobało mu się np. zaangażowanie Kościoła w politykę. W obrębie kultury masowej dostrzegał te same zagrożenia, które wcześniej krytykował za oceanem. Do tego niepokoiły go demony polskiego nacjonalizmu, które po kilkudziesięciu latach uwolniły się z komunistycznej zamrażarki. Co tu kryć: we wszystkim miał rację.

Mimo to postanowił wrócić w latach dziewięćdziesiątych z emigracji i zamieszkał w Krakowie. Jego starszy syn Antoni mówił nawet z uśmiechem, że ojciec tak naprawdę nigdy nie opuścił Polski.

Bo Miłosz faktycznie cały czas żył Polską. Był też jednym z tych ludzi, którzy budowali pojęcie, a może mit Europy Środkowej. Po Nagrodzie Nobla, kiedy jego głos zyskał wielką siłę, wypowiadał się w imieniu tej części kontynentu, która dotąd prawie nie istniała w świadomości Zachodu. Już zresztą w mowie noblowskiej upominał się o kraje bałtyckie, które wtedy były częścią Związku Radzieckiego. Gdy upadł komunizm, uczestniczył w debacie o odradzającej się tożsamości naszego regionu, który nie jest do końca Zachodem, ani też nie stanowi części Wschodu, tym bardziej zaś – Rosji.

Co dziś można by uznać za największe dokonanie Miłosza?

Zostawił nam przede wszystkim około 1400 stron mądrych, poruszających i zwyczajnie pięknych wierszy. Oraz tysiące stron prozy i esejów. To olbrzymi kapitał duchowy i intelektualny, z którego naprawdę mogą czerpać pokolenia. Teksty Miłosza budują tożsamość Polaków, która co prawda powoli, ale na szczęście zmienia się jednak w stosunku do tego, co on sam widział w latach trzydziestych minionego wieku. Stworzył dzieła, które prowadzą nas w różne, wciąż aktualne, kierunki. „Rodzinna Europa” idealnie wpisuje się np. we współczesne uprzytamnianie sobie realiów międzywojennej Polski. Możemy spojrzeć oczami jej autora na tamtą rzeczywistość, także na ówczesną biedę, aby lepiej rozumieć obecne czasy. Mamy Miłosza piszącego o relacji człowieka z naturą, w czym odnajdujemy podobieństwo z Olgą Tokarczuk. Przyroda pojawia się w mowach noblowskich ich obojga. I jest też Miłosz religijny, np. jako autor „Ziemi Ulro”, którego możemy czytać i dziś, gdy tak wiele z tradycyjnej religijności najwyraźniej odchodzi do przeszłości.

Sam Miłosz na starość zastrzegał, że nie czuje się mędrce ani autorytetem, lecz małym chłopcem, któremu tylko posiwiały włosy. Kokietował?

Nie. Kategoria dzieciństwa, a raczej dziecięcości w jej pozytywnym znaczeniu była dla niego bardzo ważna. Olbrzymią ciekawość świata zachował niemal do końca życia, może poza ostatnim rokiem, kiedy oczekiwał już na śmierć. Jako chłopiec obiecał sobie, że nigdy nie dorośnie, czyli nie stanie się kimś, komu brakuje pasji. I tego słowa dotrzymał.

Stosunek Miłosza do Polski po 1989 roku był ogólnie akceptujący, ale też niewolny od zastrzeżeń i wątpliwości. Nie podobało mu się np. zaangażowanie Kościoła w politykę. W obrębie kultury masowej dostrzegał te same zagrożenia, które wcześniej krytykował za oceanem. Do tego niepokoiły go demony polskiego nacjonalizmu, które po kilkudziesięciu latach uwolniły się z komunistycznej zamrażarki.



Tadeusz Mazowiecki. „Spieszmy się powoli”

Z dr. hab. Aleksandrem Hallem, historykiem, działaczem opozycji demokratycznej w PRL i ministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, rozmawia Ireneusz Dańko

Aleksander Hall jest publicystą, historykiem oraz wykładowcą akademickim, specjalizującym się m.in. w dziejach Francji. Był aktywnym działaczem opozycji demokratycznej w czasach PRL oraz ministrem w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Ireneusz Dańko jest dziennikarzem, specjalizuje się w tematyce historycznej.

Ireneusz Dańko: Pamięta Pan pierwsze spotkanie z Tadeuszem Mazowieckim?

Aleksander Hall: Oczywiście. Było to wiosną 1972 roku w kościele Dominikanów w Gdańsku. W kaplicy św. Jacka wygłaszał prelekcję na zaproszenie o. Ludwika.

I Jakie zrobił wrażenie?

Styl mówienia, powaga wzbudzały szacunek. Wydawał się znacznie starszy, niż wskazywałyby wiek. Przekonywał, że katolicy powinni być aktywni i prowadzić dialog z marksistami. Kończyłem wtedy liceum i nie przyjąłem tego dobrze. Akurat tego dnia odbyła się rewizja w klasztorze Dominikanów. Milicja zjawiła się po tym, jak grupa osób związana z naszym duszpasterstwem rozrzuciła ulotki przed wyborami do Sejmu. Dopiero później zrozumiałem, że Mazowiecki nie miał na myśli komunistycznych władz, ale rewizjonistów, czyli ludzi z lewicy, którzy kontestowali rządy PZPR.

Mazowiecki po wojnie mocno wspierał władzę „ludową”. Działał w ruchu PAX, który pomagał od środka rozbijać Kościół w Polsce. Nie miało to wpływu na jego odbiór przez Pana?

W latach siedemdziesiątych Mazowiecki zbliżał się już mocno do opozycji. Wiedziałem, co robił, czytałem „Więź”, „Tygodnik Powszechny”, w którym też publikował. Sam przyznawał się do błędów w młodości. Kiedy zaczynała się Polska Ludowa, miał osiemnaście lat i był głęboko wierzącym katolikiem, któremu bliskie były także idee socjalistyczne. Nie sądzę, aby

kierował się konformizmem czy oportunizmem. Wrażliwość społeczna stanowiła ważny element jego przekonań przez całe życie, a nauczanie Kościoła, poczynając od encykliki papieskiej „Rerum novarum”, mocno podnosiło kwestię sprawiedliwego podziału dóbr i pracy. To mogło rodzić przekonanie, że nowy ustrój głoszący awans społeczny klas niższych przynosi jakieś dobro. Pamiętajmy, że powojenne porządki w Polsce, w takiej lub innej formie, wspierało wielu ludzi, w tym byli akowcy. Robili to, bo chcieli działać dla kraju, a w ówczesnej sytuacji geopolitycznej innej Polski po prostu być nie mogło.

Po październikowej „odwilży” Mazowiecki współtworzył, a potem kierował miesięcznikiem „Więź”, był też postem koła świeckich katolików „Znak”. Wierzył, że katolicyzm i sprawiedliwość społeczną da się pogodzić z realnym socjalizmem.

Kiedy zrozumiał, że to niemożliwe?

Ten proces trwał długie lata. Przełomową rolę, jak sądzę, odegrał marzec 1968 roku i późniejsza antysemicka nagonka, którą rozpętały władze PRL. Mazowiecki był poruszony brutalną akcją milicji i ORMO przeciw studentom, którzy domagali się m.in. większych swobód obywatelskich. Razem z kołem poselskim „Znak” przygotował w tej sprawie interpelację w Sejmie kontrolowanym przez PZPR. Kolejne wydarzenia, w tym masakra robotników w grudniu 1970 na Wybrzeżu, wzmacniały tylko jego krytyczne spojrzenie na komunistyczne rządy.

W połowie lat siedemdziesiątych rodziła się w Polsce demokratyczna opozycja. Mazowiecki nawiązał z nią kontakt, aby w końcu stać się jej częścią. Cały czas uważał jednak, że konieczny jest dialog z władzą.

W tamtych warunkach to była konieczność. Jako redaktor naczelny „Więzi” i lider Klubu Inteligencji Katolickiej starał się chronić te instytucje, stanowiły one bowiem istotny element niezależnego życia intelektualnego i społecznego. Miesięcznik, którym kierował od 1958 roku, był miejscem debaty nie tylko o religii. Publikowało w nim wielu opozycyjnych autorów, w tym Leszek Moczulski i Adam Michnik, który pisał pod pseudonimem. Teksty często ukazywały się pokieraszowane przez cenzurę. W warszawskim KIK-u Mazowiecki współorganizował m.in. sesję poświęconą prawom człowieka. Cieszył się dużym zaufaniem ludzi, dlatego poproszono go, aby reprezentował uczestników głódówki protestacyjnej w kościele św. Marcina w Warszawie, podczas której żądano uwolnienia członków

i współpracowników Komitetu Obrony Robotnika, aresztowanych po śmierci Stanisława Pyjasa. To już był prosty kurs na stanie się opozycjonistą.

W 1980 roku jako lider opozycyjnego Ruchu Młodej Polski wspierał Pan strajk w gdańskiej stoczni. Dwudziestego drugiego sierpnia zjawiał się tam Tadeusz Mazowiecki z Bronisławem Geremkiem. Jak zostali przyjęci?

Przyjechali z własnej inicjatywy. Mieli z sobą apel 64 intelektualistów, by znaleźć pokojowe rozwiązanie, bez rozlewu krwi. Lech Wałęsa miał nosa do ludzi. Podziękował za przybycie i od razu poprosił, aby obaj zostali w stoczni i wspierali radą strajkujących. Mazowiecki stanął na czele Komisji Ekspertów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Miał istotny wpływ na końcowe sformułowania porozumień sierpniowych, które otworzyły drogę do powstania Solidarności.

Łagodził niektóre radykalne postulaty strajkujących i proponował kompromisowe rozwiązania, które były do „przełknięcia” przez stronę rządową.

To prawda. Mazowiecki był przeciwnikiem działania na zasadzie – wszystko albo nic. Wraz z innymi ekspertami zdawał sobie sprawę, że gra toczy się o wielką stawkę, dlatego szukali takiej formuły porozumienia, która pozwoliłaby stronie rządowej zachować twarz i jednocześnie zapobiegłaby siłowemu rozwiązaniu. Za najważniejsze uważał dokonanie wyłomu w systemie. Zgoda władz na powstanie legalnego niezależnego związku zawodowego i zagwarantowanie mu prawa do strajku była warta – jego zdaniem – kompromisu w niektórych zapisach.

Stąd uwzględnienie w porozumieniu „kierowniczej roli partii w państwie”?

Oczywiście. Zgoda na to – jak tłumaczył mi później – nie oznaczała przecież akceptacji kierowniczej roli partii w społeczeństwie. Kolejne miesiące w Polsce pokazały, że miał rację.

W warszawskim KIK-u Mazowiecki współorganizował m.in. sesję poświęconą prawom człowieka. Cieszył się zaufaniem ludzi, dlatego poproszono go, aby reprezentował uczestników głódówki protestacyjnej w kościele św. Marcina w Warszawie, podczas której żądano uwolnienia członków i współpracowników Komitetu Obrony Robotnika aresztowanych po śmierci Stanisława Pyjasa. To już był prosty kurs na stanie się opozycjonistą.

| Jaka była rola Mazowieckiego po porozumieniach sierpniowych?

Obok Geremka pozostał najbliższym doradcą przewodniczącego Solidarności, który liczył się z jego zdaniem, choć trzeba pamiętać, że Wałęsa to człowiek żywiół, którego tak naprawdę nikt w pełni nie kontroluje. Mazowiecki od początku 1981 roku kierował „Tygodnikiem Solidarność”, uważał, że trzeba unikać – jak długo się da – frontального starcia z komunistyczną władzą. Chciał kontynuować pokojową rewolucję, a największą szansę na to dawał Wałęsa, urodzony trybun ludowy i niekwestionowany przywódca Solidarności. Frakcja radykalna w związku twierdziła, że komuniści już właściwie leżą na łopatkach i nie trzeba się z nimi cackać. Mazowiecki przekonywał, że nie należy rzucać władzy na kolana, bo wcale nie jest taka słaba, jak się wydaje. Różnice te ujawniły się m.in. w czasie kryzysu bydgoskiego w marcu 1981 roku, kiedy część działaczy związkowych parła do strajku generalnego w odpowiedzi na pobicie przez milicję szefa regionu Jana Rulewskiego. Działo się to akurat w czasie manewrów wojsk Układu Warszawskiego w Polsce. Mazowiecki z innymi ekspertami był przeciwny eskalacji konfliktu, który mógł spowodować zbrojną interwencję. Ostatecznie udało się przeforsować zawarcie ugody z rządem, który wyraził ubolewanie, deklarując postawienie winnych przed sądem.

| Z tych samych powodów Mazowiecki krytycznie oceniał „Pośłanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”, przyjęte jesienią 1981 roku przez I Zjazd Delegatów Solidarności?

Oczywiście. Zgadzał się z moralnym wydźwiękiem tego pośłania, ale uważał jego uchwalenie za szkodliwe, niepotrzebne prowokowanie Moskwy. Był przekonany, że im dłużej Solidarność działa, tym skuteczniej – samym swoim istnieniem – może wpływać na to, co dzieje się wokół Polski.

| Ciągłe obawiał się sowieckiej interwencji?

W tamtym czasie każdy rozsądny człowiek musiał się z nią liczyć. Nie było poważnego polityka czy działacza solidarnościowego, który nie brał by tego pod uwagę.

Wprowadzenie stanu wojennego całkiem zaskoczyło Solidarność. Mazowiecki – podobnie jak tysiące działaczy – został internowany, ale nie przestał wierzyć w odrodzenie związku.

Przez całe lata osiemdziesiąte konsekwentnie stał na stanowisku, że Solidarność nie jest zamkniętą kartą. Powrót do jej legalnej działalności uznawał za zasadniczy warunek jakiegokolwiek pozytywnej zmiany politycznej w Polsce. Z tego powodu, jak sądzę, był jedną z osób najdłużej internowanych po trzynastym grudnia 1981 roku. Zaraz po odzyskaniu wolności nawiązał kontakt z Wałęsą, starał się w nowych warunkach spełniać podobną rolę jak przed stanem wojennym. Był jednym z czołowych polityków podziemnej Solidarności. Gdy w maju 1988 roku wybuchł strajk w stoczni gdańskiej, przyjechał

z Andrzejem Wielowieyskim jako przedstawiciel episkopatu. I został do końca protestu, który pokazał, że Solidarność wciąż ma poparcie wielu Polaków i należy się z nią liczyć. Symboliczne są kadry, na których opuszcza stocznnię razem z Wałęsą na czele pochodu strajkujących.

Mazowiecki był przeciwnikiem działania na zasadzie – wszystko albo nic. Z innymi ekspertami zdawał sobie doskonale sprawę, że gra idzie o wielką stawkę, dlatego szukali takiej formuły porozumienia, która pozwoliłaby stronie rządowej zachować twarz i zapobiegłaby siłowemu rozwiązaniu. Za najważniejsze uważał dokonanie wyłomu w systemie.

Niecały rok później był już jednym z uczestników rozmów okrągłego stołu. Mimo to nie zdecydował się kandydować do parlamentu czwartego czerwca 1989 roku w częściowo wolnych wyborach, które przyniosły miażdżące zwycięstwo Solidarności. Dlaczego?

Mazowiecki, obok Geremka, należał do głównych architektów porozumienia okrągłego stołu. Im jednak bliżej było końca rozmów, tym bardziej rosło w nim poczucie, że pewne decyzje zapadają poza nim. *Post factum* dowiedział się, że redaktorem naczelnym solidarnościowej gazety codziennej zostanie Adam Michnik. Pojawiło się wtedy wyraźne napięcie między nim a środowiskiem KOR-u i Geremkiem, z którym przez długie lata stanowił zgrany polityczny duet. Był przekonany, że ludzie z lewicy laickiej chcą zdominować odradzający się ruch, on zaś widział potrzebę zrównoważonego i pluralistycznego układu. Podobnie jak ja nie startował w wyborach do kontraktowego Sejmu, ale to nie oznaczało, że nie popieraliśmy kandydatów Komitetu Obywatelskiego. Mazowiecki miał poczucie sukcesu, że związek po latach znów może działać legalnie, sam zaś wrócił na stanowisko szefa reaktywowanego „Tygodnika Solidarność”.

W tymże tygodniku skrytykował artykuł „Wasz prezydent, nasz premier” z „Gazety Wyborczej”, w którym Adam Michnik wysunął pomysł współudziału Solidarności w sprawowaniu władzy w kraju. Już sam tytuł „Spiesz się powoli” wyrażał niechęć Mazowieckiego do tej propozycji. Niedługo potem jednak zmienił zdanie i zgodził się objąć fotel premiera. Skąd taka nagła wolta?

Sytuacja polityczna w tamtym czasie była bardzo dynamiczna. Początkowo Mazowiecki uważał, że najpierw trzeba umocnić ważne przyczółki zdobyte przez związek, a dopiero potem myśleć o rządzeniu. Wkrótce jednak, jak sam przyznał, zmieniły się okoliczności. Galopowała inflacja, pogłębiał się kryzys gospodarczy, generał Jaruzelski z łaski Solidarności został wybrany na prezydenta, a mianowany na premiera Kiszczak nie był w stanie utworzyć rządu. W takich warunkach Wałęsa polecił Jarosławowi Kaczyńskiemu, aby spróbował przeciągnąć na stronę Solidarności dotychczasowych sojuszników PZPR – Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne. I to się udało, można było montować koalicyjny rząd.

Z exposé premiera Mazowieckiego pamięta się głównie słowa, że „przeszłość odkreślamy grubą linią”, którą późniejsi krytycy przerobili na „grubą kreskę” i uznali za symbol zbyt wolnego i niedostatecznego rozliczenia z komunistami.

To zarzuty absurdalne i ahistoryczne. „Gruba linia” Mazowieckiego była jedynie stwierdzeniem faktu, że nowy rząd nie odpowiada za to, co było wcześniej, a nie, że odpuszcza wszystkie grzechy komunistom. Pamiętajmy, że Polska jako pierwsza zaczęła wychodzić ze starego systemu. Rząd Mazowieckiego był saperem poruszającym się po polu minowym. Po stronie Solidarności nikt wtedy nie wiedział, jakie są granice tolerancji Kremla wobec przemian politycznych w Polsce, ani też, jakie są możliwości zastosowania wariantu siłowego przez PZPR. Dzisiaj wiadomo, że obóz rządzący znajdował się w rozsypce, ale wciąż istniały plany wprowadzenia stanu nadzwyczajnego. Mazowiecki uznał, że w ówczesnej sytuacji trzeba wciągnąć do współrządzenia krajem wszystkie siły sejmowe, włącznie z PZPR. Nie wyobrażał sobie stanu, w którym zepchnięta do opozycji partia komunistyczna dysponuje wojskiem, milicją i całym aparatem państwowym. To zaś oznaczało, że proces przekształcania Polski musiał być ewolucyjny.

Przyśpieszenia zmian żądał od początku 1990 roku Wałęsa i jego zwolennicy, na czele z braćmi Kaczyńskimi. Nie mieli racji? W Czechosłowacji prezydentem

był już Václav Havel, a u nas jeszcze przez rok głową państwa pozostawał Jaruzelski.

Każdy kraj wychodzący z komunizmu miał swoją specyfikę. Nie zgadzam się z tym, że u nas zmiany dokonywały się wolno. Rząd Mazowieckiego istniał zaledwie kilkanaście miesięcy, a mimo to dokonał wielu przełomowych reform i podjął różne inicjatywy, które finalizowały kolejne ekipy. Gdy składał dymisję w grudniu 1990 roku, był już chyba tylko jeden wojewoda z PRL-u. Wiosną została rozwiązana Służba Bezpieczeństwa, a w lipcu z resortami obrony i spraw wewnętrznych pożegnali się generałowie Kiszcak i Siwicki. W tym czasie powstał też zupełnie nowy, demokratycznie wybrany samorząd lokalny i przede wszystkim panowała nieskrępowana wolność, znikła cenzura, tworzyły się dziesiątki nowych partii i stowarzyszeń. Powstawało normalne zróżnicowane społeczeństwo.

Kłeska Mazowieckiego w wyborach prezydenckich była po części wynikiem reformy Balcerowicza, a właściwie jej kosztów społecznych. Liberalna terapia wstrząsowa nie pasowała do jego wrażliwości, a jednak się na nią zdecydował. Dlaczego?

To właśnie świadczyło o jego formacie jako męża stanu. Mazowiecki musiał pokonać swoje osobiste preferencje, aby jak najszybciej wyprowadzić kraj z katastrofy gospodarczej. Ważną rolę odgrywał w tym jego doradca ekonomiczny Waldemar Kuczyński, z którego opiniami bardzo się liczył. Uważał, że plan Balcerowicza to najskuteczniejsza droga do uzdrowienia postsocjalistycznej gospodarki. Na początku jego realizacji nastąpił spadek produkcji przemysłowej, ale już od 1992 roku obserwowaliśmy systematyczny wzrost, windujący Polskę na pozycję europejskiego lidera wzrostu gospodarczego. Reforma, jakkolwiek bolesna społecznie i kosztowna politycznie, przyniosła więc na dłuższą metę dobre efekty, z których do dziś korzystamy.

Mazowiecki, obok Geremka, należał do głównych architektów porozumienia okrągłego stołu. Im jednak bliżej było końca rozmów, tym bardziej rośnie w nim poczucie, że pewne decyzje zapadają poza nim. *Post factum* dowiedział się, że redaktorem naczelnym solidarnościowej gazety codziennej zostanie Adam Michnik. Pojawiło się wtedy wyraźne napięcie między nim a środowiskiem KOR-u i Geremkiem, z którym przez długie lata stanowił zgrany polityczny duet.

W polityce zagranicznej Mazowiecki był zdecydowanie ostrożniejszy. Starał się nie drażnić Moskwy zbyt szybkim rozluźnianiem „braterskich” stosunków.

W polityce nie da się zrobić wszystkiego naraz. Pamiętamy, że w tamtym czasie Margaret Thatcher, Helmut Kohl czy George Bush senior wiązali wielkie nadzieje z Gorbaczowem, nie chcieli psuć szansy na ułożenie dobrych stosunków z bądź co bądź wciąż potężnym mocarstwem. Nikt nie przypuszczał, że Związek Radziecki rozpadnie się już pod koniec 1991 roku. Mazowiecki starał się zachowywać przyjazne stosunki z ZSRR i jednocześnie otwierać Polskę na Zachód. Świadczyły o tym m.in. jego wizyty w Wielkiej Brytanii, Francji, Włoszech i Stanach Zjednoczonych oraz nawiązanie stosunków dyplomatycznych ze Wspólnotą Europejską. Jesienią 1990 roku zaczęły się też negocjacje dotyczące wyjścia armii radzieckiej z Polski.

Mazowiecki był wielkim orędownikiem pojednania polsko-niemieckiego. Symbolem tego stał się znak pokoju, który podczas mszy św. w Krzyżowej przekazali sobie z kanclerzem Helmutem Kohlem, a następnie podpisanie traktatu, w którym zjednoczone Niemcy uznały granice Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Stosunki polsko-niemieckie od dawna znajdowały się w centrum zainteresowań Mazowieckiego. Tym bardziej kiedy został pierwszym po wojnie niekomunistycznym premierem polskiego rządu i pojawiła się gorąca kwestia zjednoczenia Niemiec. Stawiał sobie za punkt honoru, aby dokonało się ono z podmiotowym udziałem naszego kraju, co budziło czasami szczerą irytację kanclerza Kohla. Niewątpliwie też jego sukcesem był wspomniany polsko-niemiecki traktat graniczny, który został podpisany w ostatnich tygodniach funkcjonowania rządu.

Dlaczego zdecydował się wystąpić przeciw Wałęsie, dzięki któremu otrzymał fotel premiera?

Podział w solidarnościowym obozie był czymś naturalnym, gdy zniknął wspólny wróg w postaci komunistycznego państwa. „Wojna na górze” nie musiała jednak przebiegać tak gwałtownie. Mazowiecki, gdy przyjmował propozycję kierowania rządem, zapowiedział Wałęsie, że nie będzie malowanym premierem. Uważał, że trzeba wykorzenić stary model, w którym rząd jedynie wykonuje polecenia politycznej centrali. Jestem przekonany, że uniknęlibyśmy wyborczego starcia z Wałęsą, gdyby ten wykazał cierpliwość i nie zaczął podjazdowej wojny z rządem już w styczniu 1990 roku.

Wałęsa potrafił doskonale wyczuwać nastroje społeczne i rosnące niezadowolenie, ale też sam je pobudzał. Mazowiecki długo się wahał, czy kandydować, tym bardziej że w jego ustrojowej wizji to rząd, a nie prezydent odgrywał zasadniczą rolę w kierowaniu państwem. Doszedł jednak do wniosku, że musi wystartować, aby bronić demokratycznych przemian w kraju. Nie bez podstaw obawiał się, że istnieje niebezpieczeństwo w postaci pokus autorytarnych i rządów silnej ręki.

W następnych latach – mimo bolesnej porażki w wyborach prezydenckich – odgrywał istotną rolę w polskiej polityce, m.in. jako przewodniczący Unii Demokratycznej i członek sejmowej komisji, która przygotowała konstytucję. Co można uznać za jego największy sukces po opuszczeniu fotela premiera rządu?

Unia Demokratyczna niewątpliwie zasłużyła się dobrze, jeśli chodzi o utrwalenie liberalnych reform i myślenie propaństwowe w pierwszych latach III Rzeczypospolitej. Z perspektywy czasu uważam jednak, że to udział w przygotowaniu, a następnie uchwaleniu Konstytucji RP w 1997 roku był jednym z największych osiągnięć Tadeusza Mazowieckiego. Oczywiście, mogła być ona lepsza i dlatego w referendum – podobnie jak np. Bronisław Komorowski czy Jan Maria Rokita – oddałem głos przeciwko. Niemniej jednak są w historii „momenty konstytucyjne” i dziś nie ulega wątpliwości, że to Mazowiecki miał rację, uznając, że konieczne jest porozumienie się z partiami obecnymi w Sejmie, aby Polska wreszcie miała ustawę zasadniczą z prawdziwego zdarzenia. Choć uchwalona została przez parlament zdominowany przez ugrupowania liberalne i lewicowe, to pod względem ideowym preambuła czy formuły dotyczące np. relacji między państwem a Kościołami stanowią zabezpieczenie przed zbyt gwałtownymi zmianami obyczajowymi czy kulturowymi, lansowanymi dziś przez radykalną lewicę i dużą część środowisk liberalnych. Obawiam się, że gdyby nie przyjęto konstytucji w 1997 roku, to moglibyśmy jej do tej pory w ogóle nie mieć. Należy też pamiętać, że kiedy zastanawiano się, czy nas przyjąć do Unii Europejskiej, to stabilność ustrojowa oparta na konstytucji była jednym

„Gruba linia” Mazowieckiego była jedynie stwierdzeniem faktu, że nowy rząd nie odpowiada za to, co było wcześniej, a nie, że odpuszcza wszystkie grzechy komunistom. Pamiętajmy, że Polska jako pierwsza zaczęła wychodzić ze starego systemu. Rząd Mazowieckiego był saperem poruszającym się po polu minowym.

z ważniejszych atutów. Znacznie gorzej by nam poszło w negocjacjach, gdybyśmy mieli wtedy tylko prowizorkę w postaci „małej konstytucji”.

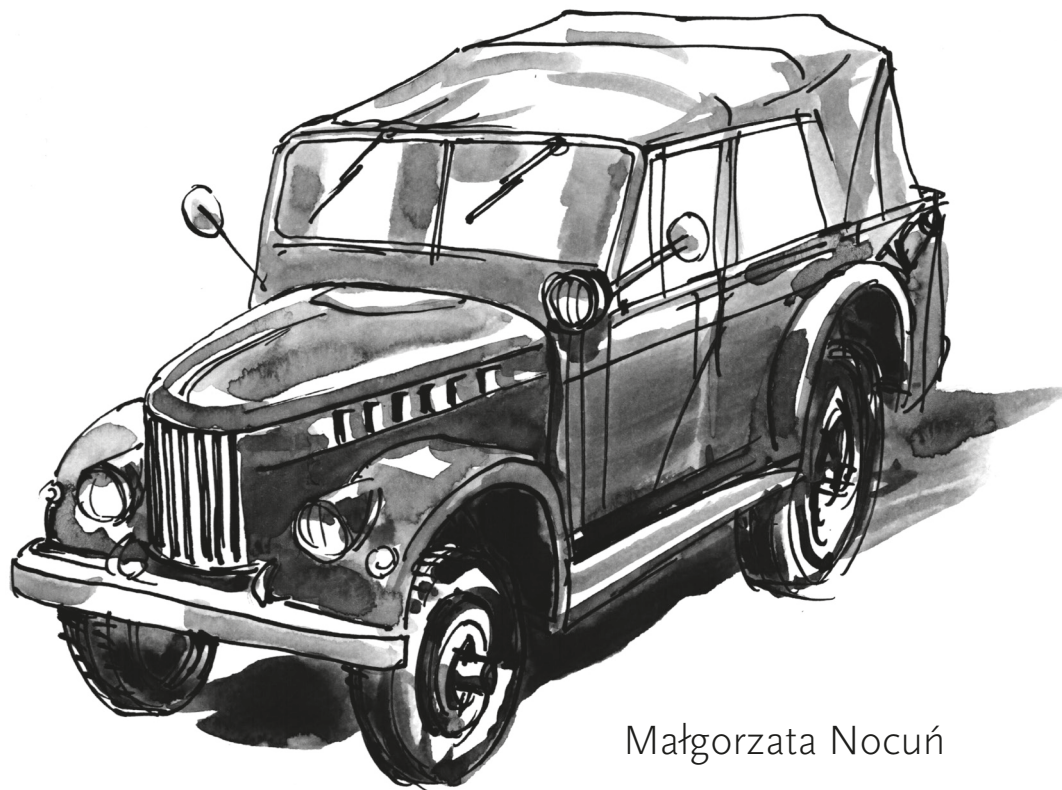
„My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga (...) jak i nie podzielający tej wiary” to fragment preambuły autorstwa Mazowieckiego. Religia katolicka odgrywała w jego życiu zawsze bardzo ważną rolę, ale szanował też ludzi innych wyznań oraz ateistów.

Tadeusz Mazowiecki wzorcowo reprezentował Kościół otwarty, nie obawiał się dialogu z ludźmi myślącymi inaczej. Jako zwolennik personalizmu chrześcijańskiego mocno stawiał na indywidualną więź człowieka z Bogiem, nie lubił ostentacyjnego demonstrowania wiary. Niezwykle ważną postacią był dla niego Jan Paweł II, którego cenił i podziwiał. Drugim takim papieżem był Jan XXIII, za pontyfikatu którego doszło do Soboru Watykańskiego II i przełomowej reformy w Kościele. Kiedy w lipcu 1993 roku rząd Hanny Suchockiej podpisywał konkordat ze Stolicą Apostolską, Mazowiecki kierował Unią Demokratyczną, z której pochodziła premier.

Opowiadał się za „przyjaznym rozdziałem Kościoła od państwa”. Jak to się ma do polecenia, które jako premier wydał ministrowi edukacji, by przywrócić rozporządzeniem lekcje religii w szkole?

Mazowiecki uznawał autonomię państwa i Kościoła. W jego wyobrażeniu to nie miała być jednak jakaś wroga separacja czy całkowite wyparcie religii z życia publicznego. Widział potrzebę współpracy obydwu struktur. Przywrócenie szkolnej katechezy w 1990 roku uważał za akt naprawienia krzywdy z czasów PRL-u, kiedy to padła ona ofiarą walki państwa z Kościołem. Stanowczo sprzeciwiał się bezpośredniemu zaangażowaniu Kościoła w politykę. Bolało go, kiedy księża przed wyborami wskazywali, na jaką partię katolicy mają głosować.





Małgorzata Nocuń

Aleksijewicz.

Literatura
tworzona
ku przestrodze

Małgorzata Nocuń jest dziennikarką „Tygodnika Powszechnego”, w latach 2004-2006 jego korespondentka na Ukrainie i Białorusi, redaktorka „Nowej Europy Wschodniej”. Autorka książek „Miłość to cała moja wina” i „Wczesne życie” oraz – wraz z Andrzejem Brzezieckim – książek „Białoruś. Kartofle i dżinsy”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Armenia. Karawana śmierci”. W 2019 roku ukazał się pod jej redakcją zbiór reportaży o Białorusi „Ojczyzna dobrej jakości”. Za reportaż „Miłość to cała moja wina” otrzymała nominację do Nagrody im. Beaty Pawlak. W 2014 roku została wyróżniona w konkursie Amnesty International „Pióro Nadziei” za reportaż z Kaukazu Północnego.

Swietłana Aleksijewicz twierdzi, że nie ma prawa sądzić swoich bohaterów. Jej rolą jest udzielenie im pomocy w opowiedzeniu ich historii, aby pozostawili po sobie prawdę swojego czasu, a nie „prawdę”, o której pisze się w książkach.

Aleksijewicz pisze przede wszystkim o traumie. W swoich książkach poruszyła najbardziej dramatyczne wydarzenia z historii Związku Radzieckiego: przywołała dzieje II wojny światowej, wojny w Afganistanie, katastrofę w Czarnobylu. W każdej książce poszukuje odpowiedzi na pytanie: „Jak pozostać człowiekiem w nieludzkich czasach”. Udało jej się stworzyć najbardziej poruszający opis społeczeństwa Związku Radzieckiego. Jej literatura powstaje „ku przestrodze”, uczy, czym było przekleństwo totalitarnego państwa. W ostatnich latach twórczyni obserwuje, jak na poradzieckich ziemiach odradza się autorytaryzm, a nawet totalitaryzm. Z przerażeniem śledzi doniesienia z rodzinnej Białorusi i ukraińskiego frontu, wciąż jednak wierzy w ostateczne zwycięstwo demokracji. „Kiedyś jeszcze spotkamy się w Mińsku?” – pytała mnie kilka lat temu, kiedy przeprowadzałam z nią wywiad.

Żywe ludzkie uczucia

Aleksijewicz posiada niezwykle dar: potrafi słuchać opowieści, by dotrzeć do swoich bohaterów, pokonuje tysiące kilometrów. Z każdym rozmawia kilkanaście godzin, uważa, że sama musi także coś swoim rozmówcom dać, więc dzieli się swoją historią i intymnymi doświadczeniami. Roz-

mowa jest dla niej spotkaniem. Przychodzi do bohaterów swoich książek jak człowiek do człowieka. Nigdy nie daje im odczuć, że oto teraz spotyka się z nimi noblistka. Jest szczera. Siada, zaczyna mówić i słuchać. Każda jej książka to zbiór „ludzkich głosów” – krótkich opowieści na wybrany temat, utrzymanych w narracji pierwszoosobowej, bohaterami Aleksijewicz są „zwykli ludzie”. Ich wspomnienia nie pozostawiają Aleksijewicz obojętną. Nie raz po odbytej rozmowie przychodzi do domu zalana łzami. Aleksijewicz, o tym, że lubi słuchać, przekonała się już jako dziewczynka, podczas letnich miesięcy spędzanych na ukraińskiej wsi u babci. Przed każdą wiejską chałupą stała ławeczka, a na niej zasiadały starzejące się bądź już stare kobiety. Mimo że Aleksijewicz była jeszcze dzieckiem i dużo już o wojnie słyszała (była wciąż obecna w państwowej propagandzie), uważała, że nikt nie mówił o niej tak jak one. W tych opowieściach nie było dat, wspomnień wielkich bitew. Nikt nie rysował linii frontu. Tu obecne były żywe ludzkie uczucia. Przyszła noblistka słyszała: „A mojego Iwanka zabrali z samego rana”, „A kiedy idziesz do boju o poranku, widzisz trawę, kwiaty pokryte rosą, to boisz się, że widzisz to wszystko po raz ostatni”. Młodość Swietłany Aleksijewicz przypadła na lata siedemdziesiąte ubiegłego stulecia. Wychowywana była w kulcie zwycięstwa Związku Radzieckiego w II wojnie światowej. Dorastała na Białorusi, gdzie mit „obrońców ojczyzny” oraz mit Białorusina-partyzanta są najważniejszymi elementami narracji historycznej. Dziwiło ją, że w tych opowieściach wojennych kobiety są zupełnie pominięte. Pierwszą książkę postanowiła poświęcić właśnie im. Kobieta na wojnie kojarzyła się z sanitariuszką, kucharką. Propaganda chciała, by była „czysta”, ubrana w elegancki mundur, zadbała i uśmiechnięta. Tymczasem kobiety na froncie zabijały z zimną krwią, tak samo jak mężczyźni. Aleksijewicz zapagnęła udokumentować ich wspomnienia, dlatego wzięła urlop w pracy (była zatrudniona w czasopiśmie „Neman”) i wyruszyła w podróż po Związku Radzieckim. W torbie przewieszzonej przez ramię nosiła ciężki szpulowy magnetofon, kupiony na kredyt. Opowieści weteranek, które złożyła się na książkę „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”, mrozą krew w żyłach. Nic dziwnego, że przesłana do druku książka przez dwa lata nie zostanie wydana i wiele miesięcy przeleży w szufladzie cenzora. Do księgarń trafi dopiero po ogłoszeniu przez Michaiła Gorbaczowa polityki pierestrojki. Sprzeda się w dwóch milionach egzemplarzy i zapewni młodej reporterce rozgłos.

Trudno przeczytać tę książkę, nie roniąc łez. Aleksijewicz wspomina matkę, która dusi swoje niemowlę, ponieważ nie chce, żeby jego płacz wydał miejsce ukrycia oddziału partyzantów. Przytacza wspomnienia snajperki, której ciężko było strzelać do młodych mężczyzn – „takich przystojnych”.

Jest też opowieść o intymności: maszeruje oddział kobiet, trwa bombardowanie. Wiele z żołnerek ma miesiączkę – po ich nogach cieknie krew (na froncie brakowało materiałów opatrunkowych). Kobiety się wstydzą. Zamiast ukryć się przed bombami, biegną do pobliskiego jeziora się umyć. Bohaterki Aleksijewicz cechuje także poczucie humoru. Kiedy przyszła noblistka pyta, co jest najgorsze na wojnie, mówi: „Umrzeć w męskich majtkach”. Kiedy szły na front, wydawano im bowiem męską bieliznę i o kilka numerów za duże buty. Wstydziły się, że oto idą „do boju za ojczyznę” i wyglądają tak karykaturalnie.

Metody pracy reporterskiej Aleksijewicz nauczyła się od Alesia Adamowicza, białoruskiego pisarza i scenarzysty. Jako studentka, Aleksijewicz przeczytała książkę Adamowicza na temat białoruskich wsi spalonych przez hitlerowców podczas II wojny światowej. Była poruszona. Ten styl pisania – wspomnienia świadków, składające się na „opowieść głosów” – uznała za „swój”. Aleksijewicz wyzna: „od razu zrozumiałam: ja tak właśnie słyszę świat – tak nastawione jest moje ucho”. Pisarka uważa, że łatwo opisać wydarzenia, najtrudniejsze jest opisanie myśli – wytłumaczenie, co i w imię czego dzieje się z człowiekiem.

O swoim warsztacie i relacjach z Adamowiczem mówiła mi w następujący sposób w wywiadzie udzielonym dla „Tygodnika Powszechnego”: „Dla Adamowicza najważniejsza były historyczne fakty. Przebieg bitwy i ilość rannych oraz zabitych. W »Ja ze spalonej wsi« i »Księżde blokady« znalazło się dużo odautorskich komentarzy. Powiedziałam Alesiovi, że to najgłupsza strona jego twórczości. Zdziwił się. Odparłam, że opisywane przez niego historie nie potrzebują komentarzy. Na przykład taka opowieść: Adamowicz znalazł dziennik chłopczyka, który podczas wojny został na świecie sam. Umarła jego babcia, mama, siostra i brat. Tuż obok chłopczyka mieszkała kobieta, mówiono, że prowadzi nielegalne interesy. Chyba kradła. Z jej mieszkania dochodził przyjemny zapach. Chłopczyk czuł, że kobieta smaży kotlety. Przez dwa dni się męczył: ukraść kotleta i zjeść?

Niektóre książki Aleksijewicz „nosiła” w sobie kilka lat. Tak było z książką o Czarnobylu. Nie wiedziała, jak tę historię opowiedzieć.

Zanim Aleksijewicz otrzymała literackiego Nobla, jej książki były tłumaczone na kilkanaście języków, na ich podstawie powstawały sztuki teatralne.

Czy nie kraść? Nagle pismo w dzienniku chłopczyka staje się niewyraźne. Nie wiemy, co się z nim dzieje. Zjadł kotleta i zachorował, bo wygłodniały żołądek otrzymał zbyt ciężkostrawny pokarm? Umarł z głodu? Po podobnych opowieściach w książkach Adamowicza zaczynają się dywagacje na temat

roli rosyjskiej inteligencji. Jakie ma tradycje i jaką siłę. Historia »o kotlecie« mówi o wiele więcej niż wszystkie filozoficzne pytania. Dlatego interesuje się szczegółami. Tym, co człowiek nosi w swoich wnętrzu, tym, czego poszukuje”.

Wojny „zastępcze”, prawdziwa krew

Aleksijewicz urodziła się w 1948 roku w mieście Stanisławów na zachodniej Ukrainie (dzisiejszy Iwano-Frankiwsz). Czas dorastania pisarki przypadł na lata sześćdziesiąte ubiegłego wieku. Wychowywała się na książkach radzieckich pisarzy białoruskiego pochodzenia – wspomniany już Adamowicz, Wasyl Bykau. Ich literatura jest m.in. próbą rozliczenia się z II wojną światową. Pisarka uważa, że wojna jest jednym z najważniejszych elementów tożsamości jej pokolenia. Aleksijewicz poświęciła jej kilka książek. Oddała w nich głos kobietom oraz dzieciom – „Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy” to książka, w której noblistka sprawiła, że dorośli ludzie cofnęli się do czasu dzieciństwa i dojrzewania. Podzielili się najwcześniejszymi wspomnieniami – powstała opowieść o wojnie widzianej oczami dziecka.

W książce „Cynkowi chłopcy” Aleksijewicz opisała interwencję ZSRR w Afganistanie. Wojska radzieckie wkroczyły do Afganistanu w Boże Narodzenie 1979 roku. Wojna, którą tam stoczyły, była jedną z najbardziej bezsensownych interwencji w XX wieku – bo żołnierze nie wiedzieli, dlaczego tam w ogóle są.

Aleksijewicz chciała zrozumieć sens tamtej wojny – politolodzy nazywają ją „wojną zastępczą”, ale oddane na niej życie i przelana krew nie były „zastępcze”, były prawdziwe. Pisarka pojechała więc do Afganistanu. W wywiadzie, którego udzieliła mi w 2011 roku (rozmowa została opublikowana w „Nowej Europie Wschodniej”), powie: „Pułkownik odparł, wskazując palcem na minę, że to jest »mina o takim zasięgu, że jak się na niej stanie, to z człowieka zostaje pół wiadra mięsa«. Dzień później zadzwono-

nił z pytaniem, czy chce zobaczyć, co zostało z chłopaka, który stanął na takiej minie. Nie mogłam nie iść. Panował okropny żar. Zobaczyłam, jak łyżkami zeskrobuja resztki tego żołnierza, żeby jego »ciało« wsadzić do trumny i wysłać matce do kraju. Zemdlałam. I jak tu nabrać dystansu?».

Historie, które Aleksijewicz opisała w „Cynkowych chłopcach”, są jak otwarta rana. Lektura niektórych wspomnień fizycznie boli. Na przykład, kiedy żona udaje się na identyfikację ciała męża, mąż „wrócił” z frontu w tytułowej cynkowej trumnie. Kobieta otwiera okienko, przez które widać twarzy. Tak, to on. Ciało się rozkłada, śmierdzi. Kobieta szlocha – jak go pochować takiego? Brudnego, nieogolonego? Albo opowieść o chłopaku, który wrócił z wojny okaleczony, chciał, by oddawała mu się własna matka.

Opowieścią o Afganistanie Aleksijewicz dała głos setkom tysięcy radzieckich mężczyzn, którzy wracali z frontu okaleczeni psychicznie i fizycznie. Władza radziecka nałożyła na nich cenzurę: zabraniała mówić o tym, co widzieli i przeżyli. Dlatego weterani pili, brali narkotyki, a niekiedy nawet mordowali (taki przypadek opisuje Aleksijewicz). Byli pozbawieni pomocy psychologów oraz państwa. Do dziś wielu z nich nie ma z czego żyć, „Afgańców” (jak nazywa się ich w rosyjskim slangu) można zobaczyć w poradzieckich miastach, na przykład przy wejściu do metra. Bez nóg, poruszają się na deskorolkach i żebrzą o jałmużnę.

Aleksijewicz uważa, że Afganistan i późniejsze dwie wojny czeczeńskie miały zupełnie inny charakter niż II wojna światowa. Podczas tych starć z ludzi „wyszedł cały biologizm”. Kiedy po powrocie z frontu wspominali służbę, mówili, że zabijanie podnosi adrenalinę, że zabijanie można polubić.

Po wydaniu „Cynkowych chłopców” Aleksijewicz wytoczono proces, matki weteranów – bohaterki książki – oskarżyły pisarkę o sfalszowanie ich relacji, granie na emocjach, zmyślenia. Ale już zeznając przed sądem, w spazmach przyznawały, że przytoczone opowieści są prawdziwe. Aleksijewicz też płakała, pracując nad tą książką. Słuchanie wspomnień „Afgańców” i ich matek było mierzaniem się z ludzką traumą. Pisarka

Po wydaniu „Cynkowych chłopców” Aleksijewicz wytoczono proces, matki weteranów – bohaterki książki – oskarżyły pisarkę o sfalszowanie ich relacji, granie na emocjach, zmyślenia. Ale już zeznając przed sądem, w spazmach przyznawały, że przytoczone opowieści są prawdziwe.

płacz zresztą często. Gdy na początku października dowiedziała się, że jest laureatką literackiego Nobla, otaczający ją pod jej domem dziennikarze pytali „co czuje?”. „No płaczę” – odparła, szlochając.

To, co pomiędzy słowami

Niektóre książki Aleksijewicz „nosiła” w sobie kilka lat. Tak było z książką o Czarnobylu. Nie wiedziała, jak tę historię opowiedzieć. Po wybuchu reaktora w czarnobylskiej elektrowni trzeba było ewakuować tysiące

Aleksijewicz uważa, że wojna jest jednym z najważniejszych elementów tożsamości jej pokolenia. Poświęciła jej kilka książek. Oddała w nich głos m.in. kobietom oraz dzieciom.

osób zamieszkujących skażone terytorium. Tak powstała „czarnobylska zona” (obejmująca terytoria wokół elektrowni, ale także na Białorusi, bo tam przemieściła się radioaktywna chmura). Ludzie zapadali na chorobę popromienną. Na temat tragedii powstało wiele publikacji i filmów. Po upływie pięciu lat pisarka poczuła, że jest gotowa do pracy nad książką. Aleksijewicz uważa, że historia

Czarnobyla także jest opowieścią o wojnie. Likwidatorzy, czyli radzieccy mężczyźni, którzy budowali sarkofag – konstrukcję „okrywającą” zburzony reaktor, albo „porządkowali” tereny skażone radioaktywnym promieniowaniem zostali wysłani na front. Toczyli wojnę z niewidzialnym wrogiem, na tej wojnie nikt nie wytyczył linii frontu i nikt nie strzelał. W ciągu kilku sekund likwidatorzy otrzymywali dawki promieniowania, które wkrótce odbierało im życie albo czyniło kalekami. Aleksijewicz obserwowała ludzi wysiedlanych ze strefy czarnobylskiej. Świeciło wiosenne słońce, kwitły drzewa, trawa była soczyście zielona, a oni pakowali do tobołków dobytek życia i zanosząc się płaczem, z ikonami w rękach, opuszczali domy. Jak podczas wojny, tylko zabijającego ich promieniowania nie było widać.

Pisarce w pamięć zapadła szczególnie jedna z kobiet. Jej mąż otrzymał dawkę promieniowania kilkakrotnie przewyższającą śmiertelną. Umierał w szpitalu, jego ciało promieniowało. Lekarze prosili kobietę (była w ciąży), aby przy nim nie siedziała, mówili, że on nie jest już człowiekiem, tylko radioaktywnym odpadem. Jak to odpadem? Dla niej wciąż był jej ukochanym. Pielęgnowała go, wyznawała miłość, płakała. Zmarł. Wkrótce po jego śmierci kobieta poroniła i do końca życia pozostała kaleką.

Aleksijewicz opisała nie tylko niewidoczną wojnę, którą człowiek stoczył z radioaktywnym promieniowaniem, opisała wiele procesów, których

nie dostrzegali socjologów, politologów. Jej książki najpełniej przedstawiają historię Związku Radzieckiego. „Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka” to opowieść, która obrazuje, jak niebezpiecznym eksperymentem była próba stworzenia *homo sovieticus* – człowieka radzieckiego. Pisarka przez lata pracy wysłuchiwała opowieści o ludziach, którzy w czasach ZSRR umierali, byli wysyłani do więzień, głodowali. Totalitarne państwo zabierało im godność. Ale kiedy ZSRR upadł, ludzie ci poczuli się osieroceni. Tak było z ojcem pisarki – widział, jak strasznym eksperymentem był komunizm, ale poprosił, żeby do jego trumny włożyć legitymację partyjną. I tak też został pochowany. W „Czasach secondhand” pisarka stara się o obiektywizm. Oddaje głos ofiarom radzieckiego państwa, ale także jego apologetom. Lektura książek Aleksijewicz pozwala zrozumieć, dlaczego do władzy w Rosji doszedł Putin, na Białorusi Łukaszenka, a na Ukrainie Janukowycz. Logika tych systemów tkwi w czasach radzieckich.

Jak Aleksijewicz mówi o swojej twórczości? Na oficjalnej stronie internetowej pisarka definiuje ją tak: „Tysiące słów, tego, co pomiędzy słowami i obok słów, urywki naszego życia i bytu składają się nie na realność, a obraz (realność jest niemożliwa do odwzorowania). To obraz naszych czasów – jak je widzimy, jakie wspomnienia o nich zachowaliśmy (...). Rysuje obraz mojego kraju na podstawie wspomnień ludzi, którzy żyli w moich czasach. Chciałabym, aby moje książki stały się kroniką, encyklopedią dziesięciu pokoleń ludzi, z którymi spotkałam się podczas swojego życia. Jak oni żyli? W co wierzyli? Jak ich mordowano i jak oni mordowali? Jak chcieli i nie umieli, nie udawało im się, być szczęśliwymi”.

Jej kolejny utwór ma być poświęcony miłości (zebrała już kilkadziesiąt opowieści kobiet i mężczyzn). Planuje też napisanie książki o starości i śmierci. A kiedy się ją pyta: „co się w życiu liczy?”, odpowiada może banalnie: „miłość i rodzina”. Miłość – ona wie o tym najlepiej, bo tyle już o miłości słyszała – jest próbą. Miłość trzeba w sobie pielęgnować, nawet kiedy nie ma się już siły kochać, kiedy człowiekowi się wydaje, że „wszyst-

O swojej twórczości noblistka mówi w sposób następujący: „Tysiące słów, tego, co pomiędzy słowami i obok słów, urywki naszego życia i bytu składają się nie na realność, a obraz (realność jest niemożliwa do odwzorowania). To obraz naszych czasów – jak je widzimy, jakie wspomnienia o nich zachowaliśmy”.

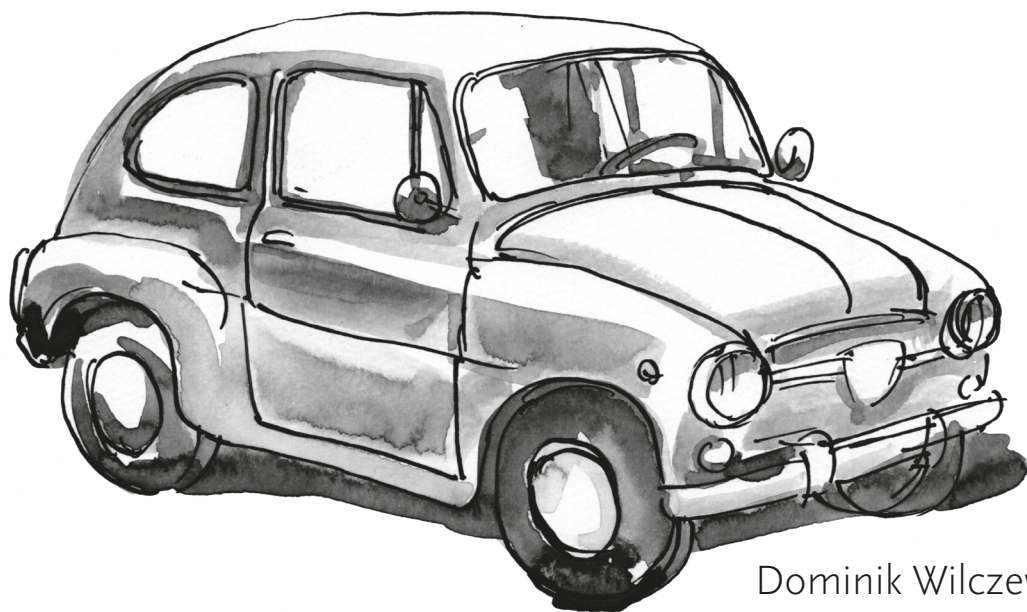
ko już skończone”. Pisarka twierdzi, że człowiek jest szczerzy tylko kiedy kocha i w obliczu śmierci.

Aleksijewicz nie powie o sobie: „jestem pisarką białoruską”. Aleksijewicz patrzy na ten problem szerzej – dojrzała w czasach radzieckich, uważa się za „człowieka kultury rosyjskiej”. Píše po rosyjsku. Z tego powodu dystansują się od niej białoruscy pisarze, którzy nie uznają jej „za swoją”. Aleksijewicz kontestuje także oficjalna białoruska władza. Nie zobaczymy jej w białoruskiej telewizji, jej tekstów nie przeczytamy w białoruskich gazetach.

Zanim Aleksijewicz otrzymała literackiego Nobla, jej książki były tłumaczone na kilkanaście języków, na ich podstawie powstawały sztuki teatralne.

W Polsce (nakładem wydawnictwa „Czarne”) ukazały się przekłady wszystkich najważniejszych książek Aleksijewicz: „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”; „Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy”; „Czarnobylska modlitwa”; „Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka”; „Cynkowi chłopcy”. Wszystkie składają się na wielką księgę dziejów Związku Radzieckiego. Jej twórczość pozostaje aktualna szczególnie teraz, kiedy wielu ekspertów zajmujących się terytorium poradzieckim twierdzi, że właśnie teraz – podczas wojny w Ukrainie – dochodzi do ostatecznego rozpadu Związku Radzieckiego.





Dominik Wilczewski

Venclova.

Optymista w pesymistycznych czasach

Tomas Venclova, podobnie jak jego przyjaciele-poeci: Czesław Miłosz i Josif Brodski, uważał, że z działaniem twórczym ściśle związane jest nieuleganie i sprzeciwianie się złu – nawet gdyby miało się być w tym osamotnionym, a sam sprzeciw wydawał się bezsensowny.

Dominik Wilczewski jest dziennikarzem, publicystą, analitykiem. Zajmuje się krajami bałtyckimi, zwłaszcza polityką i historią najnowszej Litwy. Pracował jako analityk w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie, współpracował z Katedrą Bałtystyki UW, Instytutem Polskim w Wilnie oraz Ośrodkiem Badań nad Migracjami UW. Publikował m.in. w „New Eastern Europe”, „Nowej Europie Wschodniej”, „Tygodniku Powszechnym” i „Piśmie. Magazynie Opinii”. Współautor książki „1938. Najciemniejsza noc jest tuż przed świtem. 80. rocznica nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Litwą”. Mieszka w Warszawie.

Piętnastego grudnia 1991 roku w „New York Times” ukazała się krótka notka, licząca zaledwie sześć wersów, ale zawierająca w sobie dramatyczny apel: „Jesteśmy poetami, przyjaciółmi, piszącymi w trzech językach: litewskim, rosyjskim i polskim. Zwracamy się do społeczności całego świata – do wszystkich kolegów pisarzy i wszystkich ludzi wrażliwych, by głośno zaprotestowali przeciwko nieludzkiej radzieckiej przemocy wobec narodu litewskiego. Wydarzenia ostatnich dni przywołują gorzkie wspomnienia najgorszych czynów, jakich dopuściło się państwo radzieckie”. Pod apelem widniały trzy nazwiska: Tomasa Venclovy, Josifa Brodskiego oraz Czesława Miłosza.

Dwa dni wcześniej w Wilnie miała miejsce interwencja radzieckich wojsk i służb bezpieczeństwa, w wyniku której doszło do masakry cywilów pod stołeczną wieżą telewizyjną. Zginęło czternaście osób. Atak wymierzony był w legalnie działające władze Litwy, które w marcu ubiegłego roku ogłosiły niepodległość od Związku Radzieckiego – jak dotąd nie uznaną przez żadne państwo. Próba sił między Moskwą a Wilnem ciągnęła się przez kilka miesięcy: władze na Kremlu z prezydentem Związku Radzieckiego, Michaiłem Gorbaczowem, wpraw na Litwę blokadę gospodarczą, później podjęto próbę negocjacji, a gdy te nie przyniosły rezultatu, Moskwa sięgnęła po drastyczne środki.

Wszyscy trzej autorzy apelu opublikowanego w „New York Times”, w różnych momentach historycznych, byli związani z Wilnem i wszyscy też znaleźli się ostatecznie na emigracji, wymuszonej względami politycz-

nymi. Ich życiowe drogi zbiegły się w Stanach Zjednoczonych, gdzie kontynuowali pracę twórczą i wykładali literaturę na tamtejszych uczelniach. Najstarszy z nich Czesław Miłosz w 1951 roku opuścił komunistyczną Polskę, poprosił o azyl polityczny we Francji, a od 1960 roku mieszkał w USA, pracując jako profesor na Uniwersytecie w Berkeley. W 1980 roku został uhonorowany Nagrodą Nobla. Siedem lat później tego zaszczytu doczekał się również Brodski – w Związku Radzieckim był wielokrotnie represjonowany, a w 1972 roku w praktyce wydany z kraju.

Emigracyjne życie najpóźniej zaczął Venclova. Prośbę o umożliwienie wyjazdu ze Związku Radzieckiego złożył sam, w liście otwartym do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Litwy w maju 1975 roku. Po długich perturbacjach Venclova opuścił Wilno (wtedy wydawało mu się, że na zawsze) na początku 1977 roku. Trafił do Kalifornii, gdzie w odnalezieniu się w nowej rzeczywistości pomógł mu Miłosz, który zaprosił go do poprowadzenia wykładów na Berkeley. Był to początek przyjaźni dwóch poetów z dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, do których dołączył Brodski. „Zresztą muszę powiedzieć, że wytworzył się pewien triumwirat, to znaczy o Venclovie ja usłyszałem od Brodskiego i potem Venclova przyjechał, więc trzech poetów to jest triumwirat, to jest przyjaźń polsko-litewsko-rosyjska” – mówił później polski noblista Renacie Górczyńskiej.

Ich wspólna odezwa w obronie narodu litewskiego, wygłoszona za pośrednictwem prasy w styczniu 1991 roku (apel został przedrukowany przez wiele tytułów, w tym polskich), wynikała z podzielanego przez wszystkich trzech poetów przekonania, że powinnością ludzi pióra, ściśle związaną z ich działaniem twórczym, jest nieuleganie i sprzeciwianie się złu – nawet gdyby mieli być w tym osamotnieni, a sam sprzeciw wydawał się bezsensowny. Zgodnie z konkluzją myśli Miłosza, wyłożonej w wierszu „Sens”: „Gdyby tak było, to jednak zostanie / Słowo raz obudzone przez nietrwałe usta, / Które biegnie i biegnie, poseł niestrudzony, / Na międzygwiazdne pola, w kołowrót galaktyk / I protestuje, woła, krzyczy”.

Temu przesłaniu do dziś wierny jest Venclova. „Zwłaszcza poezja w jakiś tajemniczy sposób łączy się z etyką, a poetycka dyscyplina z męstwem ducha” – mówił w wywiadzie rzece pt. „Magnetyczna Północ”, przeprowadzonym przez amerykańską eseistkę i tłumaczkę Ellen Hinsey. – Wielu poetów łącznie ze Zbigniewem Herbertem i Achmatową – oraz jej protegowanym Josifem Brodskim – kładło nacisk na to, że nieuleganie złu jest przede wszystkim kwestią smaku. Ja też byłem tego zdania”.



Chronologia przemian politycznych na Litwie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych odbiega nieco od przebiegu wydarzeń w Europie Środkowej. Przełom roku 1989 nie oznaczał dla Litwy tego samego, co dla Czechosłowacji, Węgier czy Polski. Musiał się dokonać proces dezintegracji państwa radzieckiego, aby Litwa faktycznie odzyskała niepodległość. Niemniej i w roku przełomu miały miejsce wydarzenia o dużym znaczeniu dla litewskich zmagających o wyzwolenie spod władzy Moskwy. Na pierwszy plan wybija się niewątpliwie Bałtycka Droga, czyli żywy łańcuch ludzkich rąk, który połączył Wilno, Rygę i Tallinn dwudziestego trzeciego sierpnia 1989 roku, w pięćdziesiątą rocznicę zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow, będącego w istocie wyrokiem skazującym kraje bałtyckie na radziecką okupację.

Bałtycka Droga była wspólnym dziełem masowych ruchów społecznych, powołanych rok wcześniej. Owe ruchy wyrażały poparcie dla przemian politycznych realizowanych pod hasłem pierestrojki, które w krótkim czasie stały się wyrazicielami aspiracji niepodległościowych. Na Litwie ruch ten występował pod nazwą Sąjūdis i to z nim głównie kojarzy się dziś litewskie dążenia do odzyskania własnego państwa. Tomas Venclova patrzył na te wydarzenia z emigracji – był wykładowcą literatury na Yale – co nie oznaczało, że był im obojętny. Litwę po raz pierwszy udało mu się odwiedzić późną wiosną 1991 roku, już po wydarzeniach styczniowych. „Czuło się tam ducha niepodległości” – mówił Ellen Hinsey.

Sąjūdis nie zrodził się z litewskiego ruchu dysydenckiego, ale nie ulega wątpliwości, że czerpał z jego doświadczeń. Wynikająca z procesu pierestrojki zmiana warunków politycznych pozwoliła na jawne głoszenie postulatów, które niegdyś podnosili dysydenci – w czasach, gdy groziły za to surowe represje. Istotna była jednak różnica, z racji której Venclova, kibicujący przecież litewskim staraniom o odzyskanie niepodległości, do samego Sąjūdisu zachowywał pewien dystans. Sąjūdis był ruchem o charakterze

Venclova nigdy nie zaprzeczał młodzieńczej fascynacji komunizmem. Korzystał z możliwości, jakie dawało mu wychowanie w domu uprzywilejowanego literata, a do jakich inni nie mieli dostępu – na przykład z ojcowskiej biblioteki, w której mógł znaleźć wiele dzieł literatury litewskiej i światowej, w tym oficjalnie zakazanych przez komunistyczną cenzurę.

Poeta nie potrafił funkcjonować w dusznej i zakłamej atmosferze breżniewowskiego zastoju. W liście do Komitetu Centralnego deklarował, że nie może godzić się na moralne kompromisy i kłaniać się systemowi w zamian za możliwość publikacji, a zarazem nie zamierzał pisać „do szuflady”.

narodowym, sprawę litewską stawiającym na pierwszym miejscu. Litewscy dysydenci, wśród których Venclova – do chwili swego wyjazdu z Wilna – był jedną z głównych postaci, odwoływali się zaś do uniwersalnych, ponadnarodowych wartości: praw człowieka czy osobistej wolności i współpracowali z oponentami systemu z Moskwy i Leningradu.

„Ideologia komunistyczna jest mi daleka i, moim zdaniem, w dużej mierze błędna” – stwierdzał bez ogródek Venclova w przywołanym liście do partii. Opowiadając się

przeciwko rządowi komunistycznym, pozostał konsekwentny w wyborze, którego dokonał w momencie wchodzenia w dorosłość, gdy przeszedł – jak sam później to nazywał – „polityczną mutację”. W 1956 roku do osiemnastoletniego Tomasza dotarły wieści o referacie Chruszczowa potępiającym stalinizm. „Dwudziesty zjazd dla mnie i paru moich przyjaciół stał się szokiem (i to pomimo tego, co już wiedzieliśmy) – pisał po latach w opublikowanym przez paryską „Kulturę” liście do Czesława Miłosza. – Ale mogę podać absolutnie ścisłą datę mojej prawdziwej mutacji – było to czwartego listopada 1956 roku, kiedy zdławiono powstanie węgierskie”.



Wybór światopoglądowy Venclovy w kontekście jego przynależności generacyjnej i pochodzenia nie był jednak wcale tak oczywisty. Jego pokolenie, jeszcze przed osiągnięciem dojrzałości, zostało naznaczone najbardziej dramatycznymi wydarzeniami w XX-wiecznej historii Litwy: okupacją radziecką i masowymi deportacjami w głąb ZSRR, a także okupacją niemiecką i zagładą ludności żydowskiej, wreszcie nastąpiła ponowna instalacja reżimu stalinowskiego, wojna partyzancka i kolejne wywózki. Późniejszy poeta, urodzony w 1937 roku w Kłajpedzie, z rządami totalitarnymi zderzył się po raz pierwszy już jako małe dziecko: rodzina Venclovów musiała opuścić to portowe miasto w 1939 roku, gdy zostało anektowane przez nazistowskie Niemcy. Okupacja i wojna oznaczały dla niego rozłąkę z matką (krótko) i ojcem (znacznie dłużej). Później był świadkiem

stalinizacji, zaś odwilż zbiegła się z jego studiami filologicznymi na Uniwersytecie Wileńskim.

Wychowywał się jako syn Antanasa Venclovy, w międzywojennej Litwie lewicującego awangardowego poety. Na biografii Antanasa, a pośrednio i jego syna, zaciążyło jednak zaangażowanie ojca w budowę systemu radzieckiego w jego ojczyźnie. W czerwcu 1940 roku, gdy wskutek ultimatum Stalina na Litwie powołano nowy, proradziecki rząd, Venclova ojciec objął w nim funkcję ministra oświaty. Na Litwę wkroczyła Armia Czerwona, zaczęła się okupacja, a niedługo później do Moskwy udała się delegacja litewskich intelektualistów – wśród nich znalazł się Venclova – by prosić Stalina o „wspaniałomyślne” przyłączenie Litwy do Związku Radzieckiego. Po II wojnie światowej Venclova ojciec był m.in. prezesem Litewskiego Związku Pisarzy i posłem do Rady Najwyższej.

Venclova syn nigdy nie zaprzeczał swojej młodzieńczej fascynacji komunizmem, przyznawał, że był wówczas politycznie naiwny. Korzystał jednak z możliwości, jakie dawało mu wychowanie w domu uprzywilejowanego literata, a do jakich inni nie mieli dostępu – na przykład z ojcowskiej biblioteki, w której mógł znaleźć wiele dzieł literatury litewskiej i światowej, w tym oficjalnie zakazanych przez komunistyczną cenzurę. Dojrzewając, edukując się literacko i zawierając znajomości z ludźmi wywodzącymi się z innych środowisk, dowiadując się o stosowanych przez reżim represjach, dostrzegał coraz więcej zakłamania w oficjalnej propagandzie. To doprowadziło go w końcu do 1956 roku, w którym – jak sam wspominał – „w ułamku sekundy” zdał sobie sprawę z niereformowalności systemu, który po prostu „trzeba zdemontować”.

Druga połowa lat pięćdziesiątych to początek zmagania, które sam Venclova nazywał „prywatną wojną” z systemem. Pozycja ojca w pewnym sensie dawała mu parasol ochronny, ale nie wykluczała całkowicie różnych form represji. Jak choćby wtedy, gdy kilka jego młodzieńczych wierszy trafiło do almanachu poetyckiego „Kūryba” („Twórczość”), przygotowanego w 1958 roku przez studentów Uniwersytetu Wileńskiego. Wydawnictwo zostało uznane za „dekadenckie” i zakazane, a cała sprawa stała

„Zwłaszcza poezja w jakiś tajemniczy sposób łączy się z etyką, a poetycka dyscyplina z męstwem ducha” – mówił Venclova w wywiadzie-rzece pt. „Magnetyczna Północ” przeprowadzonym przez amerykańską eseistkę i tłumaczkę Ellen Hinsey.

się elementem nagonki na środowisko akademickie. Venclovę potępiono również publicznie za poparcie, jakie wraz z przyjaciółmi wyraził w liście skierowanym do Borysa Pasternaka – ów wybitny rosyjski poeta został wówczas uhonorowany Nagrodą Nobla, ale władze radzieckie nie pozwoliły mu jej odebrać.



Venclova jako młody artysta zafascynowany był twórcami rosyjskiego srebrnego wieku – Anny Achmatowej, Osipa Mandelsztama, Mariny Cwietajewej czy właśnie Pasternaka – których dosięgły stalinowskie represje. W 1958 roku w drugim obiegu ukazał się jego debiutancki tomik „Pontos Axenos”, w którym dał wyraz swojemu zakorzenieniu w klasycznej kulturze śródziemnomorskiej. Jak tłumaczył w rozmowie z Ellen Hinsey, droga do przezwyciężenia dziedzictwa radzieckich rządów wiodła przez powrót i odbudowę fundamentów pamięci kulturowej. Pierwszą połowę lat sześćdziesiątych spędził w Moskwie. Tam zacieśnił kontakty z rosyjskim środowiskiem literackim, z którego będą się wywodzić przyszli dysydenci. Poznał osobiście swoją mistrzynię Annę Achmatową – uznanie z jej strony utwierdziło go w słuszności obranej drogi poetyckiej.

W latach sześćdziesiątych Venclova funkcjonował przede wszystkim jako tłumacz, przekładał na litewski głównie poetów rosyjskich, ale też W.H. Audena, T.S. Eliota, Roberta Frosta, Kawafisa czy niektórych autorów polskich. Dzięki dostępowi do księgozbioru ojca poznał też twórczość Czesława Miłosza, który w tamtym czasie był w bloku komunistycznym poetą zakazanym. Venclova prowadził również zajęcia na Uniwersytecie Wileńskim i sam się doksztalał, uczestnicząc w seminariach semiotycznych Jurija Łotmana w Tartu. Wydał – co dziś może zaskakiwać, ale dowodzi jego rozległych horyzontów – dwie książki popularnonaukowe z dziedziny astronomii i cybernetyki. Mimo to odmawiano mu członkostwa w Litewskim Związku Pisarzy.

W 1966 roku osobiście poznał Brodskiego, który po zwolnieniu z obozu pracy na kilka lat zamieszkał w Wilnie. Znajomość wkrótce przerodziła się w przyjaźń. To właśnie Venclova polecił Brodskiemu zapoznanie się z twórczością Miłosza, a gdy rosyjski poeta znalazł się na wygnaniu, nawiązał kontakt z Miłoszem, rekomendując mu z kolei twórczość litewskiego przyjaciela. W tym czasie (1972 rok) Venclova doczekał się wresz-

cie pierwszego oficjalnego wydania swoich wierszy na Litwie – był to tom „Kalbos ženklas” („Piętno mowy”). Konieczność stałego zatrudnienia zmusiła Venclovę do podjęcia pracy na stanowisku kierownika literackiego w teatrze w Szawlach. Równolegle coraz mocniej angażował się w ruch sprzeciwu. Litewscy dysydenci inspirowali się doświadczeniem postaci z kręgów moskiewskich i leningradzkich, które Venclova znał: Ludmiłą Aleksiejewę, Natalii Gorbaniewskiej, Siergieja Kowalowa.

Poeta nie mógł dłużej funkcjonować w dusznej i zakłamej atmosferze breżniewowskiego zastoju. W liście do Komitetu Centralnego deklarował, że nie może godzić się na moralne kompromisy i kłaniać się systemowi w zamian za możliwość publikacji, a zarazem nie zamierzał pisać „do szuflady”. „Jednak możliwości pracy kulturalnej każdego roku stają się dla mnie coraz węższe i sama moja egzystencja w tym kraju robi się bezsensowna i wątpliwa” – pisał. W 1976 roku wraz z innymi litewskimi dysydentami (m.in. Oną Lukauskaitė, Viktorasem Petkusem i Eitanem Finkelsteinem) założył Litewską Grupę Helsińską, która zamierzała domagać się od władz radzieckich przestrzegania praw człowieka, do czego zobowiązały się one, podpisując Akt końcowy Konferencji w Helsinkach w 1975 roku.

Radzieckie deklaracje okazały się warte tyle, co papier, na którym zostały złożone – aktywistów Grupy poddano represjom. Venclova znalazł się na wygnaniu. Emigracja oznaczała dla niego rozłąkę z krajem, ale i otwarcie nowych perspektyw. Wykładał kolejno na Berkeley i UCLA, a od 1980 roku na Yale, gdzie obronił doktorat na temat poezji rosyjskiej, przygotowany w oparciu o metodę Jurija Łotmana. Według Venclovy nie jest uzasadnione przekonanie, że emigracja oznacza utratę wyczucia kraju i pozbawia prawa do zabierania głosu na temat jego teraźniejszości i przeszłości. „Wygnanie i poczucie dystansu mogą na wiele sposobów wpoić człowiekowi subtelną wiedzę o jego ojczyźnie, niekoniecznie osiągalną dla ludzi, którzy w niej mieszkają” – mówił w „Magnetycznej Północy”.

Rozpad ZSRR i upadek systemu komunistycznego nie oznaczał końca obywatelskiego zaangażowania poety. Venclova nadal występował (i czyni to do dziś) z pozycji komentatora życia społeczno-politycznego: na Litwie, w Europie i na świecie. Jednak jego publiczne wypowiedzi pokazują, że najbliższe i najważniejsze są dla niego sprawy krajowe i postawy jego rodaków.



Lata, które upłynęły od czasu odzyskania niepodległości, Venclova dzielił na pobyty w Ameryce i Europie, często i na długo przyjeżdżał na Litwę, ale dopiero w 2019 roku zdecydował się wrócić na stałe do Wilna.

Rozpad ZSRR i upadek systemu komunistycznego nie oznaczały końca obywatelskiego zaangażowania poety. Venclova nadal występował (i czyni to do dziś) z pozycji komentatora życia społeczno-politycznego: na Litwie,

Venclova reprezentuje model liberalnego patriotyzmu, wynikający z głębokiego przekonania o przynależności kultury litewskiej do kręgu kultury europejskiej, co oznacza potrzebę występowania przeciwko trendom antyeuropejskim.

w Europie i na świecie. Jednak jego publiczne wypowiedzi pokazują, że najbliższe i najważniejsze są dla niego sprawy krajowe i postawy jego rodaków. Reprezentuje on model liberalnego patriotyzmu, wynikający z głębokiego przekonania o przynależności kultury litewskiej do kręgu kultury europejskiej – a więc oznacza on potrzebę występowania przeciwko trendom antyeuropejskim: „Ta idea kłóci się z rdzeniem całej litewskiej historii” – przekonywał w „Magnetycznej Północy”.

Patriotyzm Venclovy to także gotowość, czy wręcz powinność, do konfrontacji z grzechami własnego narodu. Był on jednym z pierwszych litewskich intelektualistów, którzy wprost występowali z apelem o rozliczenie się ze współudziału Litwinów w zbrodniach na Żydach w czasie II wojny światowej. Jego głośny esej „Żydzi i Litwini”, ogłoszony już po wyjeździe z Litwy w 1977 roku, poruszył i podzielił litewską opinię publiczną w kraju i diaspory. „Każdy niewątpliwy grzech obciąża sumienie całego narodu i sumienie każdego przedstawiciela tegoż narodu. Nie można przerzucać winy na inne narody. Za swoje winy rozliczą się same. Nasze winy my powinniśmy zrozumieć i odpokutować. Na tym właśnie polega sens przynależności do takiego czy innego narodu” – nawoływał wówczas Venclova.

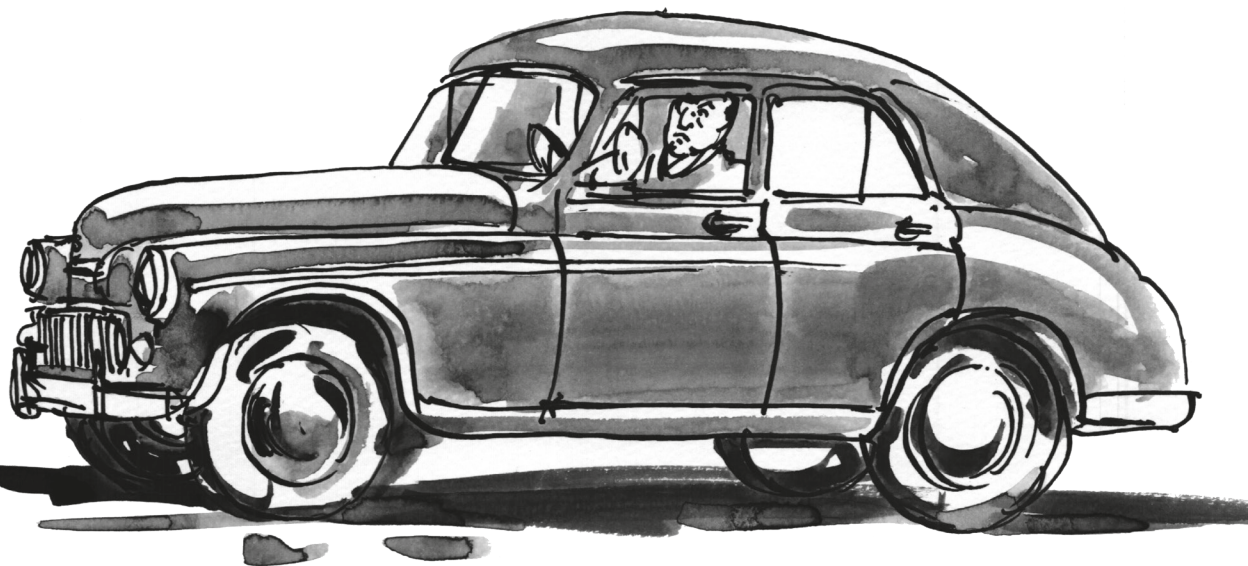
Gotowość do krytyki narodowych wad sprawia, że w ojczyźnie Venclova nie został otoczony powszechnym uwielbieniem (choć nie wydaje się, aby o to zabiegał). Atakowano go też za to, że nie potępił otwarcie swojego ojca. W jego stosunku do Antanasa Venclovy, przy całym krytycyzmie dokonywanych przez niego wyborów, więcej jest współczucia i próby zrozumienia. Venclova syn unika ostrych sądów na temat ojca, nie mając pewności,

jak sam zachowałby się na jego miejscu. Niechęć litewskiej prawicy budzą też wyrażane przez Venclovę, znawcę i miłośnika poezji rosyjskiej, wątpliwości wobec wymazywania rosyjskiej kultury z publicznej przestrzeni po inwazji na Ukrainę. Venclova przekonuje, że to nie Puszkina czy nawet Dostojewski, a na pewno nie Pasternak są winni rosyjskiej agresji.

Jednak jego postawa wobec wojny jest jednoznaczna. Ukraińskim obrońcom Mariupola poświęcił wiersz „Bitwa azowska”: „Cóż więcej, bogini Historii, jak wojna – to wojna. / Promenada obcego miasta żarem słońca hojna / i student, wzrok oderwawszy od gorejącej szarżyny, / powtarza starą linijkę: »Jakże słodko nienawidzić ojczyzny«, / * / a żołnierz – towarzysz broni zapomni jego imienia – / łapie ostatni haust tlenu w labiryncie płomieni. / Usta są już bezgłośne, lecz słyszą kamień i beton / ostre i twarde słowo, które wrogom rzucił Cambronne” (przeł. Beata Kalęba).

Spotkania z Tomaszem Venclovą pozwalają dostrzec w tym znakomitym erudycie również świetnego gawędziarza, obdarzonego poczuciem humoru, często autoironicznym. Zapewne stąd wynika też postawa, jak określa to sam poeta, „optymisty historycznego”. W przeciwieństwie do zwykłego optymisty, który uważa, że wszystko będzie dobrze, optymista historyczny mówi: „wszystko będzie dobrze, ale ja osobiście tego nie dożyję”. Takiej postawie wierny był Venclova w czasach radzieckich, a mimo to doczekał upadku imperium i wyzwolenia Litwy. „W gruncie rzeczy, moje życie potoczyło się dobrze. Byłem emigrantem, ale nie wygnańcem. Nie siedziałem w więzieniu” – mówił w jednym z wywiadów.

I dziś, nawet w pesymistycznych czasach, Tomasz Venclova nie traci tej wiary.



Małgorzata Nocuń

Bialacki.

W oczekiwaniu
na kres
reżimu

Małgorzata Nocuń jest dziennikarką „Tygodnika Powszechnego”, w latach 2004-2006 jego korespondentka na Ukrainie i Białorusi, redaktorka „Nowej Europy Wschodniej”. Autorka książek „Miłość to cała moja wina” i „Wczesne życie” oraz – wraz z Andrzejem Brzezieckim – publikacji „Białoruś. Kartofle i dzinsy”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Armenia. Karawana śmierci”. W 2019 roku ukazał się pod jej redakcją zbiór reportaży o Białorusi „Ojczyzna dobrej jakości”. Za reportaż „Miłość to cała moja wina” otrzymała nominację do Nagrody im. Beaty Pawlak. W 2014 roku została wyróżniona w konkursie Amnesty International „Pióro Nadziei” za reportaż z Kaukazu Północnego.

Gdybym miała możliwość porozmawiania z Alesiem Bialackim – bohaterem tego tekstu – domyślam się, co by powiedział. Stwierdziłby, że uczynił „tylko” to, co było jego powinnością, czyli zaangażował się w działalność na rzecz praw człowieka. W warunkach białoruskich owe „tylko” może kosztować życie.

Kolejną kwestią, którą zapewne podkreśliłby Aleś, jest fakt, że Pokojowa Nagroda Nobla, którą otrzymał, jest nagrodą przyznaną także jego współpracownikom i współpracowniczkom. Przecież nie tylko on sam ujmował się za szykanowanymi przez łukaszenkowskie władze obywatelami. Wskazywałby na dziennikarzy, pracowników trzeciego sektora, polityków opozycji, którzy – podobnie jak on – odsiadują właśnie długoletnie wyroki pozbawienia wolności (obecnie na Białorusi znajduje się kilka tysięcy więźniów politycznych, dokładnych statystyk nikt nie zna). Warunki odsiadki są tak niehumanitarne, że niektórzy z nich mogą nie doczekać wyjścia na wolność.

Więzień z poczuciem humoru

Aleś Bialacki usłyszał wyrok dziesięciu lat kolonii karnej, podobnie drańskie wyroki otrzymali inni aresztowani na fali protestów w 2020 roku (po sfałszowanych wyborach prezydenckich), w tym dziennikarka Belsatu Kaciaryna Andrejewa. Praktycznie wszyscy moi znajomi, z którymi kilkanaście lat temu spotykałam się na Białorusi, są obecnie pozbawieni wolności. Osiem czy dziesięć lat, które przyjdzie spędzić im w kolonii karnej, w brutalny sposób zakończyło ich młodość.

O osobie odbywającej więzienny wyrok najwięcej mogą powiedzieć fotografie. Tak jest w przypadku Andrzeja Poczobuta (opozycyjnego dziennikarza skazanego na pobyt w kolonii karnej), Pawła Mażejki (również dziennikarza, jednego z pierwszych więźniów politycznych reżimu) i Aleśsia Bialackiego. Kolonie karne odbierają zdrowie i wszelką siłę, wydaje się, jakby ludzie w nich przebywający powoli znikali. Tak też jest z Alesiem. Na ostatnich zdjęciach widać, że z jego twarzy znikł – zawsze obecny – uśmiech. Wychudł, oczy podkrążone, spojrzenie jakby nieobecne. To nie jest już wesoły mężczyzna w wyświechtanej kurtce.

Bialackiego wiadomość o otrzymaniu Pokojowej Nagrody Nobla dosięgła za kratami. Być może pierwszą osobą, której udało się pogratulować laureatowi osobiście, był Dzianis Kniazieu, również opozycjonista, aresztowany podczas demonstracji w 2020 roku. Wspomnienia Kniazieua opublikował portal Belsat. Kiedy ciężko pobitego chłopaka przewieziono z cieszącego się złą sławą aresztu Akrescina w Mińsku do aresztu śledczego mieszczącego się przy ul. Waładarskiego, usłyszał, jak strażnik woła: „Bialacki, wychodzi”. Wtedy zdał sobie sprawę, że jego sąsiadem jest najślynniejszy działacz na rzecz praw człowieka na Białorusi. Przez dwa tygodnie pobytu w więzieniu Kniazieu starał się rozmawiać z Bialackim przez więzienną ścianę. Bialacki nie użalał się nad swoim losem, udowodnił, że obca jest mu martyrologia. Jak zawsze był pogodzony z losem. Mówił, że żona jest bezpieczna, dzieci dorosłe, a on sam jakoś się trzyma. Powiedział – jak relacjonuje Belsat – że walka na rzecz wolnej Białorusi była wyborem, który świadomie podjął i teraz ponosi jego konsekwencje. Powiedział to, co powtarzał przez lata po każdym przesłuchaniu, aresztowaniu (a zaliczył ich dziesiątki) – że białoruski reżim kiedyś upadnie, a łukaszenkowskich oprawców dosięgnie kara. Kniazieu podkreślał, że Bialacki nie zatracił poczucia humoru. Kiedy tylko było to możliwe, żartował. Być może ów optymistyczny stosunek do życia zawdzięcza miejscu urodzenia.

Aleś Bialacki przyszedł na świat na karelskiej ziemi. O tych terenach – dziś leżących w Rosji, ale w tamtym czasie w Związku Radzieckim (w ramach obwodu autonomicznego) – mówi się, że przesycone są „duchem wolności”. Karelia była ziemią fińską, została podzielona i częściowo przyłączona do Związku Radzieckiego dopiero po wojnie zimowej, którą ZSRR toczył z Finlandią latach 1939-1940. Do przyjazdu do Karelii dziadka Bialackiego zmusił głód, będący pokłosiem polityki kolektywizacji. Choć pochodził z bogatej ziemiańskiej rodziny, stracił majątek w la-

tach czterdziestych XX wieku. Usłyszawszy, że władze radzieckie zasiedlają nowo zajęte ziemie przy granicy z Finlandią, podjął decyzję o wyjeździe z Białorusi. W Karelii na świat przyszedł Wiktar – ojciec Alesia – tu też Wiktar poznał swoją przyszłą żonę Ninę i tu urodził się ich pierworodny syn – Aleś.

Losy rodziny Bialackich wpisują się w dzieje ZSRR, składające się z przesiedleń, deportacji, więzień, zmian miejsca zamieszkania, wymuszanych odgórną decyzją lokalnej komórki partyjnej. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych na Białorusi prężnie rozwijał się przemysł (w obwodzie homelskim przede wszystkim chemiczny). Kiedy rodzina Bialackich dowiedziała się, że w Swietłahorsku (mieście leżącym w obwodzie homelskim) potrzebni są robotnicy, podjęła decyzję o powrocie w rodzinne strony.

Po upadku ZSRR Bialacki wie, że ciężko będzie (przede wszystkim pod względem gospodarczym) urządzić nowe państwo, ale koniec radzieckiego imperium oznacza spełnienie jego marzeń.

Odszczepieniec

Bialacki miał humanistycznego ducha. Pasjonowała go historia i literatura, czytał zachłannie. Wybór studiów wydawał się więc prosty – filologia białoruska i rosyjska. Choć otaczał go język rosyjski (Białoruś – szczególnie miasta – była mocno zrusyfikowana) i choć oddawał się lekturze rosyjskiej literatury pięknej, podjął decyzję, że w przestrzeni publicznej posługiwać się będzie wyłącznie językiem białoruskim. Jego wybór budził zdumienie nie tylko wśród wykładowców, ale także wśród kolegów z roku. Studiowanie języka białoruskiego wydawało się naturalne, ale mówienie w nim?

Bialacki szybko otrzymał łatkę odszczepieńca i „pierwszego białoruskojęzycznego studenta na roku”. Swoją pasją do białoruskości Aleś jednak zarażał. Jego koledzy i koleżanki także próbowali przechodzić na białoruski, co często wiązało się z nauką języka praktycznie od podstaw, bo język literacki (który zgłębiali podczas studiów) jest czymś zupełnie innym od potocznego. Swojemu przywiązaniu do białoruskiego Aleś pozostał wierny. Kiedy kilkanaście lat później przeciwko kierowanej przez niego „Wiośnie” – organizacji na rzecz praw człowieka – toczyć się będzie postępowanie karne, a akta sprawy liczyć będą aż dwieście sześćdziesiąt osiem tomów, poprosi, by każdy z nich przetłumaczyć z rosyjskiego na białoruski. Łukaszenkowscy urzędnicy odmówią.

Losy rodziny Bialackich wpisują się w dzieje ZSRR, składające się z przesiedleń, deportacji, więzień, zmian miejsca zamieszkania wymuszanych odgórną decyzją lokalnej komórki partyjnej.

Wraz z fascynacją językiem białoruskim Bialacki otwiera się na rodzimą historię i kulturę. Zagłębianie się w dzieje Białorusi rodu – co naturalne – sprzeciw wobec Rosji. Bialacki przekonuje się, że dzieje jego kraju nie były – jak starają się to przedstawiać oficjalne podręczniki i wykładowcy na homelskim uniwersytecie – wypełnione przyjaźnią z Moskwą. Wręcz przeciwnie, Rosja podbiła

wschodnią Białoruś, a jej historię i literaturę zawłaszczyła, uznając białoruskich twórców za swoich. Ta świadomość uwierała, dlatego w wieku dwudziestu lat Bialacki zaangażował się w działalność polityczną. Wraz z kolegami zorganizował prosty powielacz, aby drukować na nim ulotki, w których domagał się „niezależności Białorusi od Rosji”. Zgłaszanie takiego postulatu w latach osiemdziesiątych było równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku więzienia, dlatego na pierwsze aresztowanie Bialacki nie musiał długo czekać. KGB miało go oczywiście na oku. Podczas jednego z pierwszych przesłuchań przyszły noblista był nakłaniany do podjęcia współpracy z białoruskimi służbami. Odmówił i – jak radzili doświadczeni dysydenci – nagłośnił sprawę.

Lista inicjatyw, w które Bialacki zaangażował się w młodości, jest bardzo długa. Działal w stowarzyszeniu młodych literatów, walczył o możliwość wystawiania dzieł teatralnych w języku białoruskim, współzakładał Białoruskie Społeczne Towarzystwo Historyczno-Oświatowe „Martyrałów Białorusi”, a zawodowo pracował jako nauczyciel.

Wraz z gorbaczowską pierestrojką wiatry zmian zaczynają wiać także na Białorusi. Pod koniec lat osiemdziesiątych w kraju na jaw wychodzą okrutne zbrodnie stalinowskie. W czerwcu 1988 roku w czasopiśmie „Literatura i Mastactwa”, Zianon Paźniak i Jauhien Szmyhaliow publikują artykuł „Kuropaty. Droga śmierci”. Pamiętający czas Wielkiego Terroru i przez dekady zdjęci strachem Białorusini przerywają milczenie. Wypowiadają pojedyncze – ale jakże symboliczne – słowa: „mordy w Kuropatach”, „strzały w nocy”, „masowe groby”. W tekście opisane zostały bowiem masowe egzekucje w Kuropatach, uroczysku pod Mińskiem. Autorzy twierdzili, że w „dołach śmierci” spoczywać może nawet trzyset tysięcy ofiar totalitarnych represji. Artykuł Paźniaka i Szmyhaliowa rozchodzi się w kręgach inteligencji w błyskawicznym tempie. Mińsk

zaczyna wrzeć. Dochodzi do pierwszych masowych demonstracji. W tym samym roku powstaje (z inicjatywy Paźniaka) Białoruski Front Ludowy „Odrodzenie” – przez wiele lat najważniejsza białoruska partia opozycyjna. Bialacki od początku staje się aktywnym działaczem Frontu. I coraz częściej trafia za kratki. Początkowo partia działa „na rzecz pierestrojki”, gdyż w 1988 roku nikt jeszcze nie wyobraża sobie upadku Związku Radzieckiego i oderwania się Białorusi od Moskwy. Kiedy w 1991 roku w białoruskiej Białowieży przywódcy trzech republik związkowych – Rosji, Białorusi i Ukrainy – zapisują historyczne sformułowanie, że „Związek Radziecki jako podmiot prawa międzynarodowego kończy swoje funkcjonowanie”, Białorusini (w tym część inteligencji) czują, że niepodległość spadła im na głowę, wielu z nich po prostu jej nie chciało. Bialacki wie, że ciężko będzie (przede wszystkim pod względem gospodarczym) urządzić nowe państwo, ale koniec radzieckiego imperium oznacza spełnienie jego marzeń. Niestety z większością społeczeństwa jest inaczej: budzi się dojmująca frustracja. Ludzie nie są gotowi na ekonomiczne wyrzeczenia, z którymi wiąże się przemiany. Dlatego zwycięstwo Alaksandra Łukaszenki w wyborach prezydenckich w 1994 roku zostało okrzyknięte na Białorusi nie tylko „kartoflaną rewolucją” – bo oto „prosty chłopak z ludu” rzucił rękawicę przedstawicielowi nomenklatury (Wiaczesławowi Kiebiczowi) i zwyciężył – ale także dziejową sprawiedliwością. Część inteligencji jest pewna, że rządy Łukaszenki szybko się skończą. Ale część – słusznie – dostrzega w nim zagrożenie. Są świadomi, że Łukaszenka – jako trybun ludowy – doskonale wczuwa się w zapotrzebowania białoruskiego społeczeństwa. Kiedy stwierdza, że „będzie na kolanach błagał Rosję, by powtórnie przyjęła Białoruś pod swoje skrzydła”, werbalizuje pragnienia większości swoich rodaków. W ludziach pokroju Bialackiego wzbudza natomiast lęk. Ostatecznie wystarczyły cztery lata rządów Łukaszenki, by załączki białoruskiej demokracji zostały unicestwione. Dyktator rozprawił się z rodzącymi się niezależnymi mediami (które w dużej mierze wyniosły go do władzy), nowo powstałymi partiami

Choć Bialackiego otaczał język rosyjski i choć oddawał się lekturze rosyjskiej literatury pięknej, podjął decyzję, że w przestrzeni publicznej posługiwać się będzie wyłącznie językiem białoruskim. Jego wybór budził zdumienie nie tylko wśród wykładowców, ale także wśród kolegów z roku. Studiowanie języka białoruskiego wydawało się naturalne, ale mówienie w nim?

Na Białorusi nazwisko Bialackiego kojarzone jest przede wszystkim z „Wiosną”. Chyba żadna inna organizacja z taką determinacją i skrupulatnością nie relacjonowała odbywających się na Białorusi protestów i rozpraw sądowych nad członkami opozycji i społeczeństwa obywatelskiego.

politycznymi (w tym Białoruskim Frontem Ludowym, z którym wcześniej sympatyzował) i stowarzyszeniami, wydał też walkę białoruskiej kulturze i językowi.

Bialacki został redaktorem biuletynu „Prawa na wolu” monitorującego naruszenia praw człowieka. Od tej pory jego działalność – w różnych organizacjach – ogniskuje się wokół walki o demokrację. W 1996 roku powstaje Centrum Obrony Praw Człowieka „Wiosna 1996” (jego powołanie jest reakcją na siłowe rozpędzanie demonstracji przeciw

integracji Rosji i Białorusi). Obecnie organizacja funkcjonuje pod nazwą „Wiosna”.

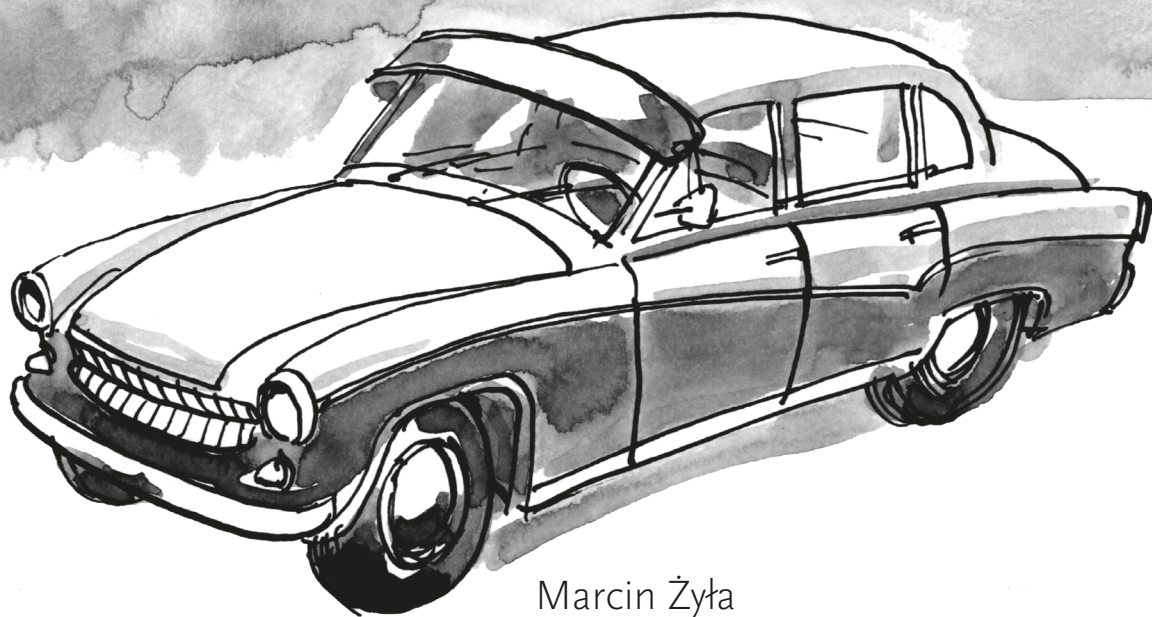
„Ekstremiści”

Na Białorusi nazwisko Bialackiego kojarzone jest przede wszystkim z „Wiosną”. Chyba żadna inna organizacja z taką determinacją i skrupulatnością nie relacjonowała odbywających się na Białorusi protestów i rozpraw sądowych nad członkami opozycji i społeczeństwa obywatelskiego.

W Związku Radzieckim opozycjonistka i poetka Natasza Gorbaniewska prowadziła „Kronikę Wydarzeń Bieżących”, mającą na celu odnotowanie każdego naruszenia praw człowieka, które wyszło na jaw w odciętym od świata żelazną kurtyną Kraju Rad. Tym samym zajmowała się „Wiosna”. Żaden represjonowany przez reżim obywatel i żadna obywatelka, żaden więzień polityczny i żadna więźniarka nie mogli pozostać anonimowi, każdemu należała się nie tylko pomoc, ale i nagłośnienie jego sprawy. Nic dziwnego, że „Wiosna” natychmiast została uznana przez reżim za organizację wroga. Była zwalczana z niezwykłą siłą. „Sowietskaja Belarus” – czyli organ prasowy Łukaszenki, niejednokrotnie rozpisywała się na jej temat. Na łamach tytułu atakowano prawników związanych z „Wiosną” i samego Bialackiego, pisząc, że „obrona praw człowieka” to *de facto* defraudacja pieniędzy i bogacenie się na grantach przysyłanych z Zachodu (właśnie owe „defraudacje” staną się przyczyną posłania Bialackiego do kolonii karnej na dziesięć lat). Mińskie biuro organizacji (podobnie jak mieszkania zajmowane przez jej działaczy) znajdowało się na oku służb specjalnych. Oficjalnie białoruski sąd zlikwidował „Wiosnę” w 2003 roku – organiza-

cja zeszła wówczas do podziemia. Dziewięć lat później zamknięto jej stołeczne biuro. Po wyborach prezydenckich w 2020 roku Łukaszenkowski reżim zaczął przykręcać śrubę z niezwykłą siłą, Białoruś z państwa autorytarnego zaczęła staczać się w kierunku totalitaryzmu, nie pozostawiając obywatelom żadnego marginesu swobody. Każdy przejaw sprzeciwu wobec władz jest srogo karany. Za kraty idzie się za posiadanie „nieprawowitych treści” w telefonie komórkowym, przeglądanie politycznych memów, wyjazd do Polski. Niebezpieczne jest wypowiadanie się na temat wojny w Ukrainie, komentowanie wydarzeń politycznych. Na fali represji związani z „Wiosną” prawnicy organizacji (Walencin Stefanowicz, Uładzimir Łabkowicz) zostali aresztowani i posłani – podobnie jak Białacki – do kolonii karnej, a strona internetowa organizacji i ona sama uznane za ekstremistyczne. Ciężko zliczyć, ilu osobom „Wiosna” udzieliła wsparcia – to setki tysięcy ludzi. Trudno sobie też wyobrazić warunki panujące w białoruskiej kolonii karnej. Nikt, kto nie doświadczył tortur, pobytu w izolacie i presji psychicznej, nie powinien na ten temat zabierać głosu. Jedno jest pewne: Białoruś trwa dzięki niezłomności takich ludzi jak Białacki. Tylko ich trud i poświęcenie sprawiają, że nie została ona zupełnie podporządkowana Rosji.

Jedno jest pewne: Białoruś trwa dzięki niezłomności takich ludzi jak Białacki. Tylko ich trud i poświęcenie sprawiają, że nie została zupełnie podporządkowana Rosji.



Marcin Żyła

Janša.

Pacyfista
broni kraju

Marcin Żyła jest dziennikarzem, autorem opowiadań. Specjalizuje się w tematyce migracji. Były zastępca redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”.

Nie jest politykiem oczywistym – jego późniejsza kariera, naznaczona populizmem, demagogią i podejrzanymi interesami, zaważyła na ocenie całej postaci. Jednak w 1991 roku, kiedy rozpadała się Jugosławia, Janez Janša okazał się przez moment właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. To w dużej mierze dzięki niemu niewielka Słowenia obroniła niepodległość w starciu z dużo silniejszym przeciwnikiem.

Nazwiska Janšy nie wymienia się jednym tchem z nazwiskami najważniejszych architektów demokratycznych przemian w Europie Wschodniej przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Co więcej, polityczna wolta, której dokonał w kolejnych dekadach – ostatecznie zyskując w Słowenii przydomek „małego Trumpa” – przekreśliła w oczach świata jego wszelkie zasługi.

Tym jednak różniły się kraje byłej Jugosławii od państw wyszehradzkich, że w ich najnowszej historii trudno było o jednoznacznych bohaterów. A uwikłania i złe wybory, których Janša potem dokonywał, w latach dziewięćdziesiątych stały się już elementem pejzażu politycznego całego regionu. Przypominały, że bohater nie zawsze jest herosem. Czasem – po prostu – jest kluczowym uczestnikiem zmian.

Miasto młodych

Jest połowa lat osiemdziesiątych. Czas, gdy w dorosłość wkracza nowe, urodzone już po II wojnie światowej pokolenie Jugosłowian. Szkoła wciąż wychowuje ich w micie partyzantów Tity, ale młodzi śmieiej krytykują

skostniałe struktury socjalistycznej federacji. Po śmierci Tity (1980) traci na znaczeniu koncepcja, wedle której każdy obywatel wielonarodowego kraju ma równocześnie dwie tożsamości – etniczną i obywatelską, którą nabywa wraz z osiągnięciem pełnoletności. Zimowe igrzyska w Sarajewie (1984) są ostatnim wydarzeniem jednoczącym Jugosłowian. Kończy się czas „braterstwa i jedności” – hasła wypisywanego na murach zakładów pracy, wiaduktach czy dworcach kolejowych.

Te sześć „dziwnych” lat – od śmierci marszałka do słynnego wystąpienia Slobodana Miloševicia, wówczas sięgającego po władzę w Belgradzie, który w 1987 roku w Kosowie zapowiedział obronę Serbów przed „uciskiem” – z perspektywy Lublany, stolicy Słowenii, wygląda wyjątkowo egzotycznie.

W latach osiemdziesiątych Słowenia różni się bowiem od innych republik Jugosławii. Kulturowo należy do państw alpejskich – bliżej jej do Włoch i Austrii czy Macedonii lub w większości muzułmańskich ówczesnych regionów Serbii: Kosowa i Sandżaku. Triglav, najwyższy szczyt Alp Julijskich, pozostaje wprowadzie jednym z symboli socjalistycznej federacji (występuje w słynnej sławiącej kraj pieśni „Jugoslavija” Danila Živkovića), a propaganda wciąż wykorzystuje dawny spór o Triest z Włochami. Ale dla młodych Słoweńców to już inna rzeczywistość: latem w Alpach nawiązują kontakty z turystami z Zachodu, do Triestu jeżdżą po wieże stereo. Awangarda – w kulturze i myśli politycznej – dociera tu szybko. Nigdzie indziej w byłej Jugosławii spór o niepodległość nie przybierze tak wyraźnie pokoleniowego charakteru.

Na ulicach i w klubach Lublany można spotkać młodego dziennikarza. Nazywa się Janez Janša. Jest pacyfistą, pasjonuje się komputerami. W 1983 roku w piśmie „Mladina” drukuje swój pierwszy tekst krytykujący jugosłowiańską armię.

„Mladina” to w Jugosławii fenomen kulturowy. Wydający ją Związek Młodych Socjalistów Słowenii chce uczynić z pisma forum walki ze starzejącą się elitą słoweńskich komunistów. Inaczej niż w Serbii czy Chorwacji, gdzie do schedy po pokoleniu Tity szykują się aparatchycy młodszy od zmarłego marszałka tylko o pokolenie, w Słowenii wpływ na rzeczywistość chce mieć generacja jeszcze młodsza. Z nudnego pisma partyjnej młodzieżówki „Mladina” staje się młodzieżowym fanzinem – drukuje teksty o muzyce, modzie i trendach z nieodległego dla Słoweńców Zachodu. Odległość od stolicy socjalistycznej federacji oraz słoweńska odrębność językowa mają dobrą stronę: serbskie i chorwackie frakcje partii komu-

nistycznej, zajęte walką o wpływy, nie traktują zwrotu w Słowenii jako zagrożenia dla systemu.

Jeśli w Polsce u źródeł sukcesu Solidarności tkwił sojusz intelektualistów i robotników, w Słowenii na przednówku przemian zjednoczyli się intelektualiści i młodzież. Z awangardowego pisma „Mladina” stał się pierwszym w Jugosławii magazynem śledczym, czytany w całym kraju. W przeddzień słoweńskiej niepodległości jej nakład sięgnie 65 tys. egzemplarzy. Swoje pierwsze kroki jako publicysta stawia na jej łamach Slavoj Žižek.

Jak mudžahedini

Ale krytyka wojska – to dla centralnych władz Jugosławii za wiele. Po śmierci Tity Jugosłowiańska Armia Ludowa pozostaje najsilniejszym gwarantem jedności socjalistycznego państwa. Służący w niej poborowi trafiają do jednostek z dala od miejsca swojego pochodzenia. Słoweńcy służą w Kosowie i Bośni – ma to zacieśnić ich więź z ojczyzną, w której tożsamość obywatelska powinna być ważniejsza niż etniczna.

W połowie lat osiemdziesiątych Janez Janša jest już jednym z liderów ruchu pacyfistycznego w Słowenii. Píše o ochronie środowiska, bierze udział w dyskusji na temat zmian w jugosłowiańskiej konstytucji. Chce, aby Związek Młodych Socjalistów Słowenii zamienił się w luźną federację organizacji obywatelskich. Ma dar nawiązywania nowych kontaktów – w tym w samej armii, którą krytykuje. Także niektórzy oficerowie chcą zmian.

W maju 1988 roku Janša oraz dwoje dziennikarzy „Mladiny” zostają aresztowani pod zarzutem posiadania poufnych dokumentów. Stają przed sądem wojskowym, który skazuje Janšę na półtora roku więzienia. W proteście wobec aresztowania młodych dziennikarzy zawiązuje się w Lublanie Komitet Obrony Praw Człowieka, do którego w ciągu kilku tygodni zapisuje się ponad 100 tys. ludzi. Władza nie ma wyboru – po pół roku zwalnia dziennikarza, który zakłada własne pismo. Dalej sprawy toczą się szybko: wiosną 1990 roku zostaje posłem do słoweńskiego parlamentu, kilka tygodni później – ministrem obrony.

W latach osiemdziesiątych na ulicach i w klubach Lublany można spotkać młodego dziennikarza. Nazywa się Janez Janša. Jest pacyfistą, pasjonuje się komputerami. W 1983 roku w piśmie „Mladina” drukuje swój pierwszy tekst krytykujący jugosłowiańską armię.

W grudniu 1990 roku w referendum 96 proc. głosujących opowiada się za niepodległością Słowenii.

Spodziewając się ruchów separatystycznych w republikach, Jugosłowiańska Armia Ludowa porzuca wcześniej strategię „obrony totalnej”, opartej na współdziałaniu z jednostkami podległymi regionalnym stolicom – teraz generałowie mają otrzymywać rozkazy wyłącznie z Belgradu. Janša, w owym czasie już słoweńskiemu ministrowi obrony, udaje się sprawić, by sprzęt i broń lokalnych oddziałów obrony terytorialnej pozostały pod kontrolą Lublany. Na wzór amerykańskiej Gwardii Narodowej powołuje też nową formację, zdolną do szybkiej mobilizacji, która jeszcze jesienią 1990 roku, w tajemnicy przed władzami Jugosławii, mobilizuje ok. 21 tys. ludzi. Na wzór afgańskich mudżahedinów, w razie konfliktu Słowenia miała stosować taktykę wojny asymetrycznej – wykorzystywać przewagę górskiego terenu.

Na czele obrońców

Słowenia proklamuje niepodległość dwudziestego szóstego czerwca 1991 roku, ale w celu zaskoczenia władz w Belgradzie stosowne prawo zostaje uchwalone dzień wcześniej. Rozpoczęła się wojna dziesięciodniowa. Najkrótsza i najmniej krwawa z wszystkich konfliktów jugosłowiańskich – i równocześnie ta, którą bacznie obserwowano z innych republik.

Ludność spontanicznie barykaduje drogi, którymi poruszają się konwoje jugosłowiańskiej armii. Janez Janša decyduje o przejęciu w pierwszej kolejności kontroli nad przejściami granicznymi z Włochami i lotniskiem międzynarodowym. Drugiego dnia wojny Słoweńcy zestrzelili dwa helikoptery, ale armia Jugosławii wciąż swobodnie przemieszcza się po kraju. Janoš zarządza kontratak – dwudziestego ósmego czerwca dochodzi do jednego z najbardziej dramatycznych starć, bitwy w miejscowości Nova Gorica na granicy z Włochami, wygranej przez Słoweńców.

Słoweńcom sprzyja to, że ich kraj jest jednolity etnicznie, a zwłaszcza że nie zamieszkuje go znacząca mniejszość serbska. Począwszy od 1987 roku, Serbowie z Kosowa, chorwackiej Krajiny czy Bośni i Hercegowiny są dla nacjonalistycznych polityków z otoczenia zyskującego wtedy wpływy Slobodana Miloševicia argumentem za utrzymaniem jedności kraju i poszerzaniem wpływów Belgradu. Ale ani Stany Zjednoczone, ani EWG, poprzedniczka Unii Europejskiej, nie garną się jeszcze do popierania ruchów separatystycznych. Aż do wybuchu wojny dziesięciodniowej

w Słowenii (a w praktyce aż do początku niepokojów w Chorwacji) zachodni delegaci usiłują przekonać separatystów do ustępstw na rzecz Belgradu.

„Nie mieliśmy czołgów, myśliwców ani artylerii – tłumaczył wiele lat później Janez Janša w wywiadzie dla portalu visegradpost.com. – Na papierze Jugosłowiańska Armia Ludowa była w tym czasie piątą armią Europy, ale podobnie jak inne armie państw komunistycznych była skorumpowana. System nie był czymś, za co chciano umierać. Mieli nad nami przewagę, ale broniliśmy swojego kraju i to zdecydowało o naszym zwycięstwie. Po dziesięciu dniach kontrolowaliśmy już całe terytorium. Jugosłowiańska Armia Ludowa wycofała się. Byliśmy wolni”.

Wojna kończy się siódmego lipca 1991 roku porozumieniem o wycofaniu armii jugosłowiańskiej ze Słowenii. Choć za granicą symbolem niepodległości tego kraju staje się Milan Kučan, pierwszy prezydent, w kraju bohaterami są też Janša i minister spraw wewnętrznych Igor Bavčar, organizatorzy i dowódcy obrony.

Jeśli w Polsce u źródeł sukcesu Solidarności tkwił sojusz intelektualistów i robotników, w Słowenii na przednówku przemian zjednoczyli się intelektualisci i młodzież. Z awangardowego pisma „Mladina” staje się pierwszym w Jugosławii magazynem śledczym, czytany w całym kraju.

W stronę populizmu

Słowenia uniknęła losu Chorwacji, Bośni i Serbii, które uwikłały się w wojny trwające aż do interwencji NATO w Kosowie w 1999 roku. Ale konflikt tuż za jej granicą nie pozostał bez wpływu na politykę wewnętrzną. Na początku lat dziewięćdziesiątych Słowenia stała się punktem przerzutowym broni, a sam Janša, wciąż jako minister obrony – jednym z nieoficjalnych organizatorów tego przerzutu. Zdymisjonowano go w 1994 roku w obawie, że zgromadził dużą władzę. Niejednokrotnie oskarżany jest o próby szantażowania innych polityków posiadanymi przez siebie informacjami (w 2014 roku trafia do więzienia za udział w aferze korupcyjnej, słoweński Trybunał Konstytucyjny oczyszcza go jednak z zarzutów).

Przez kolejną dekadę założona przez niego Słoweńska Partia Demokratyczna (SDS) pozostaje w opozycji. Janša wraca do mainstreamu polityki w 2004 roku, kiedy pierwszy raz obejmuje tekę premiera. Później staje jeszcze na czele rządu dwukrotnie: w 2012 i 2020 roku, kiedy odpowiada m.in. za walkę z pandemią. Skręca w prawo: otwarcie wspiera Trumpa,

W połowie lat osiemdziesiątych Janez Janša jest już jednym z liderów ruchu pacyfistycznego w Słowenii. Píše o ochronie środowiska, bierze udział w dyskusji na temat zmian w jugosłowiańskiej konstytucji. Chce, aby Związek Młodych Socjalistów Słowenii zamienił się w luźną federację organizacji obywatelskich.

jest jednym bliższych sojuszników Orbána. Jego aktywność w mediach społecznościowych sprawia, że zyskuje przydomek Marszałek Tweeto.

Podczas swojej kariery Janša „odwiedził” wszystkie części politycznego spektrum. W młodości był jugosłowiańskim komunistą, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych podobnym do wielu swoich rówieśników w regionie; zachwyconym ideą wolnego rynku liberałem; po kilkunastu latach przemian poszedł jednak drogą Kaczyńskiego czy Orbána, zagospodarowując politycznie

rozzarowanych zmianami. Dziś popiera Ukrainę, ale wyjątkowo łatwo tłumaczy sojusz Węgier i Rosji. Tłumaczy go, jak to ma w zwyczaju od kilkunastu lat, wpływami i naciskami ze strony Brukseli – podobnie jak przez lata za wszelkie kłopoty Słowenii obwiniał mającą dominować tam lewicę.

„Mladina” wychodzi w Słowenii do dziś. W 2019 roku, po serii artykułów opisujących próbę przejęcia kontroli nad częścią mediów prawicowych przez biznes powiązany z Wiktorem Orbánem, Janez Janša znów trafia na jej łamy. Na okładkę – jako negatywny bohater. Pismo, w którym rozpoczynał karierę, pozostaje do dziś jednym z jego najgłośniejszych krytyków.





Kundera.

Marzenie o nowej drodze

Z Janem Bělíčkiem,
czeskim literaturoznawcą,
rozmawia Kaja Puto

Jan Bělíček jest krytykiem literackim i dziennikarzem. Studiował filozofię oraz język czeski i literaturę czeską na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Karola. Jest redaktorem naczelnym internetowego dziennika Alarm.cz, który współzałożył w 2013 roku. Bada zjawiska i fenomeny na pograniczu sztuki, społeczeństwa i polityki. Autor podcastu literackiego „V chapadlech murmuru” (cz. „W maczach szmeru”).

Kaja Puto jest dziennikarką, redaktorką, zajmuje się m.in. problemem migracji. Związana z „Krytyką Polityczną”.

Kaja Puto: Milan Kundera jest jednym z najbardziej znanych czeskich pisarzy na świecie. Jak myślisz, dlaczego?

Jan Bělíček: Faktycznie Kundera stał się wpływowym autorem, w przeciwieństwie do wielu innych czeskich pisarzy tworzących w drugiej połowie XX wieku. Jak sądzę, były ku temu dwa powody. Po pierwsze zdecydowała o tym innowacyjność jego prozy, którą można nazwać prekursorską wobec postmodernizmu w literaturze światowej.

Dobrym tego przykładem jest jedna z jego wczesnych powieści zatytułowana „Žart”. To z jednej strony historia osadzona w czechosłowackim kontekście politycznym lat sześćdziesiątych, z drugiej – eseje rozważające związek między socjalistyczną wizją modernizacji a tradycyjną muzyką folkową. Te dwie warstwy płynnie się ze sobą przenikają, podobnie jak w wydanym dekadę później „Imieniu Róży” Umberto Eco.

Drugim powodem popularności Kundery jest jego świadoma autokreacja jako pisarza światowego. Jak twierdził, wyjechał z Czechosłowacji, ponieważ czuł się zbyt głęboko uwikłany w czeski czy też czechosłowacki kontekst. Dążył do tego, by dotrzeć do światowej publiczności – i to mu się udało.

Po klęsce Praskiej Wiosny emigruje do Paryża i zaczyna tworzyć w języku francuskim. Zabrania też publikowania swoich książek w Czechach. Dlaczego?

Oficjalnie wyjaśniał, że nie zgadza się z powodu niedoskonałości przekładu. Długo nie pozwalał nikomu tłumaczyć swoich książek na czeski,

Kundera pozostał zwolennikiem socjalizmu z ludzką twarzą. Uważał, że czescy opozycjoniści wybrali złą drogę, dążąc do kapitalistycznych reform. Politycznie zatrzymał się w latach sześćdziesiątych, w czasach Praskiej Wiosny.

dopiero po 2000 roku udzieli zgody Annie Kareninovej. Twierdził, że była to jedyna osoba, której ufał. Jednak to wyjaśnienie nie wydaje się wystarczające, bo przecież jego proza była tłumaczona na wiele języków. Sprawa ma drugie dno – Kundera czuł się zraniony przez Czechy.

Uważał, że Czechosłowacja nie była dla niego przyjazna. Marzył o socjalizmie z ludzką twarzą i współtworzył idee Praskiej Wio-

сны, a po jej upadku znalazł się na cenzurowanym. Bardzo przeżył, gdy w latach osiemdziesiątych nie pozwolono mu przyjechać do Czechosłowacji na pogrzeb matki. Czuł się także opuszczony przez przyjaciół, którzy mieli mu za złe, że wyjechał do Francji i wybrał karierę, zamiast walki o wolność dla ojczyzny. Wielu czeskich opozycjonistów, którzy wywodzili się z jego środowiska, uważało go za zdrajcę. W rezultacie do końca życia wyrażał się gorzko o czeskiej kulturze.

| To nie zmieniło się po aksamitnej rewolucji?

Bynajmniej. Kundera pozostał zwolennikiem socjalizmu z ludzką twarzą. Uważał, że czescy opozycjoniści wybrali złą drogę, dążąc do kapitalistycznych reform. Politycznie zatrzymał się w latach sześćdziesiątych, w czasach Praskiej Wiosny. Václav Havel odpowiadał mu w swoich esejach, że do tamtych czasów nie ma już powrotu, że Czechy muszą znaleźć nową drogę. Później, gdy Havel został prezydentem, odznaczył Kunderę medalem. Ale że stosunki między panami były zaognione, Kundera po jego odbiór wysłał żonę. Co ciekawe, wiele lat później przyjął czeskie obywatelstwo z rąk premiera Andreja Babiša. Pod koniec życia zaczął podejmować pewne działania na rzecz Czech – np. przekazał swoją bibliotekę muzeum w Brnie. Nigdy jednak nie uzasadnił, co skłoniło go do tej zmiany. Prawie nigdy nie udzielał wywiadów.

| Jaką rolę odgrywa dziś w historii czeskiej literatury?

Z jednej strony, uznawany jest za jednego z najważniejszych czeskich pisarzy XX wieku i cieszy się popularnością wśród swoich oddanych fanów, z drugiej jednak, spotyka się z krytyką osób, które zarzucają mu związki z systemem komunistycznym. W 2008 roku wyszło na jaw, że jako mło-

dy człowiek nie tylko dał się uwieść komunizmowi i tworzył w nurcie socrealizmu – z czym rozliczył się w swoich powieściach – lecz również współpracował z bezpieką. W trakcie studiów poinformował służby o pobycie amerykańskiego szpiega w akademiku. Osoba ta spędziła wiele lat w więzieniu, z czego dziesięć pracując przymusowo w kopalni uranu. Sam Kundera zaprzeczył tym doniesieniom.

Krytycyzm wobec Kundery koreluje z poglądami politycznymi – zazwyczaj prawicowymi i antykomunistycznymi. Pisarz miał na pieńku ze środowiskiem czeskich opozycjonistów, krytykował ich działalność u schyłku komunizmu, czego wyrazem jest jego najbardziej znana powieść – „Nieznosna lekkość bytu”. Do dziś jest w tym gronie postrzegany jako komunista. Kontrowersje wzbudza również jego antyczny zwrot oraz to, że nie chciał mieć nic wspólnego z czeską literaturą. Niektórzy mają go z tego powodu za snoba.

Drugim powodem popularności Kundery jest jego świadoma autokreacja jako pisarza światowego. Jak twierdził, wyjechał z Czechosłowacji, ponieważ czuł się zbyt głęboko uwikłany w czeski czy też czechosłowacki kontekst. Dążył do tego, by dotrzeć do światowej publiczności – i to mu się udało.

W 2020 roku ukazała się głośna biografia Kundery autorstwa Jana Nováka...

Novák jest jednym z typowych krytyków pisarza. Uważa on, że Kundera nie chciał, by jego książki były czytane w kontekście biografii autora, ponieważ wstydził się tego, co zrobił w życiu. W swojej książce Novák skupił się na udowadnianiu tej tezy i wynajdywaniu niewygodnych faktów z życia pisarza. Nie ma wątpliwości, że Kundera w swojej prozie inspirował się własnymi doświadczeniami, jednak Novák pokazuje to w sposób, który nie pozostawia wątpliwości, że Kundera był po prostu złym człowiekiem. Nie jestem wielkim fanem Kundery – choć szanuję jego dorobek – jednak zupełnie mnie to nie przekonuje.

Z biografii Nováka wyłania się obraz Kundery jako kobieciarza, kłamcy i erotomana. Nie jest to jakoś szczególnie zaskakujące, zważywszy na fakt, że kobiety w jego prozie to nieme lalki, tło dla zmagających bohaterów z wiatrem historii. Czy w epoce #MeToo Kundera doczekał się feministycznych interpretacji?

Zgadzam się, to znacząca słabość książek Kundery. Ich narratorzy przeważnie mają obsesję na punkcie seksu, a postaci kobiece sprowadzone

są do roli przedmiotów ich fantazji. W międzynarodowym literaturoznawstwie pojawiły się teksty poruszające ten temat, jednak w Czechach jest to kwestia niezbyt często dyskutowana. To wciąż temat tabu, a ponadto wydaje się, że czeskie krytyczki i teoretyczki o feministycznym zacięciu nie są zbyt zainteresowane Kunderą. Nie uważają go za pisarza, którego twórczość warto dziś analizować.

A dla kogo Kundera wart jest zainteresowania?

Jakieś dziesięć lat temu wielu młodych pisarzy, zwłaszcza mężczyzn, próbowało wzorować się na jego twórczości. Do grona jego naśladowców należeli np. David Záborský czy Jan Němec. Inspirowała ich eseistyczna forma narracji Kundery, którą próbowali przenieść na grunt własnego pisarstwa, nadając mu wymiar filozoficzny. Kundera jest też ważnym punktem odniesienia dla średniego pokolenia pisarzy z Brna – zapewne dlatego, że stamtąd pochodził.

Skoro marzył o demokratycznym socjalizmie, czy inspiruje się nim czeska lewica?

Kundera nie jest dla czeskiej lewicy bezpośrednim punktem odniesienia, ale jest nią dziedzictwo Praskiej Wiosny, której był gorącym zwolennikiem. Jego powieść „Žart” była jedną z najważniejszych książek tego okresu, a Kundera aktywnie uczestniczył wówczas w debacie publicznej. Zdecydowanie sprzeciwiał się sowieckiej inwazji, pragnął demokratyzacji socjalizmu i uważał, że Czesi powinni walczyć o swoją tożsamość.

W tamtym czasie napisał „Czeski los” – esej, z którym gorąco polemizował Havel. Kundera dowodzi w nim, że Czesi są najmądrzejszym narodem w swojej części Europy i choć brakuje im ducha heroicznego romantyzmu, nadrabiają trzecim poczuciem humoru i dystansem do siebie.

To dość popularny w XX wieku, przepełniony samouwielbieniem mit. Czechom wydawało się wówczas, że są rodzajem Austrii Europy Wschodniej, jej najbardziej inspirującym zakątkiem. Dziś, gdy czeskie życie intelektualne – przynajmniej w mojej opinii – przeżywa stagnację, obsesyjnie zajmuje się historią i nie konfrontuje z nowymi ideami, widać wyraźnie, że ten mit niewiele ma wspólnego z prawdą.

W „Czeskim losie” Kundera argumentuje też, że Czechosłowacja lat sześćdziesiątych miała szczególną rolę do odegrania w świecie. Wiza socjalizmu z ludzką twarzą, przyświecająca Praskiej Wiośnie, mogła uczynić go lepszym. Zdaniem Havla to bzdura, bo wartości demokratyczne wyznawane przez pokolenie Praskiej Wiosny powstały dużo wcześniej i raczej nie w Czechosłowacji.

Ten pogląd Kundery jest mi już nieco bliższy, ale nie jestem w tym względzie reprezentatywny. Czeska polityka pamięci nieszczerze nie docenia dość wyjątkowe w skali bloku wschodniego osiągnięcia Praskiej Wiosny. Więcej uwagi przykładu do jej klęski, inwazji wojsk Układu Warszawskiego i upokorzenia narodu czeskiego.

Pod wieloma względami sytuacja Ukrainy jest bowiem podobna do sytuacji Czechosłowacji w 1968 roku. Oczywiście my nie przeżyliśmy wojny, nie podjęliśmy się też aktywnego oporu, jednak obie te inwazje musiały wyzwolić podobne emocje – poczucia bycia uciskanym przez imperium. Tak Związek Radziecki w czasach Kundery, jak i współczesna Rosja próbuje wymazać narody w regionie i wciągnąć je do większego organizmu.

Kilkanaście lat później Kundera publikuje swój najbardziej bodaj znany esej polityczny – „Zachód porwany przez Wschód, czyli tragedia Europy Środkowej”. W porównaniu z „Czeskim losem” – jak się wydaje, pod wpływem Czesława Miłosza i György’a Konráda – rozszerza teren, który uważa za wyjątkowy. Europa Środkowa – rozumiana jako Czechosłowacja, Węgry i Polska – to jego zdaniem serce europejskich wartości porwane przez wschodnich barbarzyńców. Kundera uważał, że istnieje kulturowa podstawa dla idei Europy, która narodziła się w jej środku, na terenach byłych Austro-Węgier. Za jej najdoskonalszą realizację uważał literaturę modernistyczną pierwszej połowy XX wieku – dzieła Franza Kafki, Josepha Rotha, Roberta Musila i tak dalej. W jego opinii, stojące za nią idee ukształtowały zachodnią Europę. Można powiedzieć, że fetyszyzował rolę kultury w społeczeństwie.

Czy jego ujęcie Europy Środkowej wpłynęło na kształt czeskiej debaty publicznej?

Zdecydowanie. Do dziś Czesi irytują się, gdy nasz kraj jest określany mianem Europy Wschodniej. Jesteśmy przywiązani do pojęcia Europy Środkowej, również w środowisku akademickim – na uniwersytetach istnieją studia środkowoeuropejskie.

Wracając jednak do Kundery, przeprowadzka do Francji pozwoliła mu zrozumieć, że idealizował Zachód. Był rozczarowany upadkiem niezależnych wydawnictw, niedofinansowaniem kultury, szokował go zachodni konsumpcjonizm. Był wściekły, że ta wszechogarniająca rzekomo siła kultury nie obraca już kołami historii. To nie był Zachód, do którego Europa Środkowa miała powrócić. Między innymi dlatego nie przekonywała go transformacja 1989 roku.

Jego wizja Europy była w gruncie rzeczy bardzo kolonialna. Kundera postrzegał nasz kontynent jako doskonałe, kulturalne centrum świata. Nie zadawał sobie pytania, co właściwie sprawiło, że mogła stać się uprzywilejowaną wyspą. Na ten kolonialny wymiar pisarstwa Kundery zwracają dziś uwagę teoretycy literatury.

To ciekawe, bo w Ukrainie funkcjonuje on jako publicysta antykolonialny. Jego „Zachód porwany przez Wschód” jest dziś chętnie czytany przez tamtejszych intelektualistów w kontekście krytyki oczywiście nie europejskiego, a rosyjskiego, postradzieckiego kolonializmu.

To bardzo ciekawe spojrzenie. Pod wieloma względami sytuacja Ukrainy przypomina bowiem sytuację Czechosłowacji w 1968 roku. Oczywiście my nie doświadczyliśmy wojny, nie podjęliśmy się też aktywnego oporu, jednak obie te inwazje musiały wywołać podobne emocje – poczucia bycia uciskanim przez imperium. Tak Związek Radziecki w czasach Kundery, jak i współczesna Rosja próbują wymazać narody w regionie i wciągnąć je do większego organizmu.

Ukraińcy odwołują się też do innego eseju Kundery, zatytułowanego „Wstęp do wariacji”. Pisarz analizuje w nim twórczość Fiodora Dostojewskiego i dochodzi do wniosku, że poetyka literatury rosyjskiej redukuje uczucia do faktów, ułاتیając usprawiedliwianie czynów Rosji na arenie międzynarodowej. Niektórzy wykorzystują te rozpoznania Kundery, by dowodzić konieczności anulowania czy też bojkotu kultury rosyjskiej.

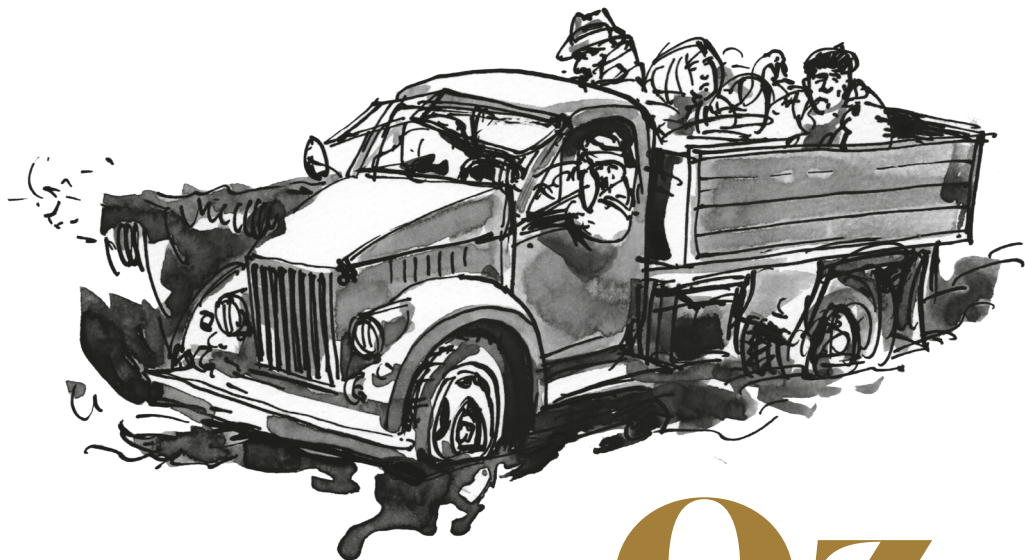
To gorący i śliski temat. Niemniej jednak Kundera może być dla tamtejszych intelektualistów inspirujący również w inny sposób. Już w latach osiemdziesiątych pisał on o artystach ukraińskich, łotewskich, litewskich, którzy byli uważani za artystów radzieckich. Dziś wiele grup artystycznych z regionu postsowieckiego szuka nowej tożsamości, wolnej od dziedzic-

stwa radzieckiego imperium. Dotyczy to również Rosjan i innych narodów zamieszkujących Federację Rosyjską.

A czy spuścizna literacka Kundery może być dzisiaj jeszcze inspirująca dla świata? Czy okazała się uniwersalna także w wymiarze czasowym?

Kundera uciekł do Francji, żeby stać się autorem rozpoznawalnym na całym świecie, ale – paradoksalnie – najbardziej znane są te jego książki, które opowiadają o tym, co działo się w Czechosłowacji. To właśnie ten historyczny kontekst pomógł mu zyskać uznanie na arenie międzynarodowej – na Zachodzie stał się głosem bloku wschodniego tamtych lat i jako taki wszedł do kanonu literatury światowej.

Jego spuścizna jest więc silnie ukontekstwowiona, co nie znaczy, że nie warto dziś czytać Kundery. Jestem wielkim fanem „Żartu”, uważam, że to jedno z najważniejszych dzieł czeskiej literatury. Nie wiem jednak, czy młodsze pokolenia krytyków również będą tego zdania. Jego pozycja w kanonie może się zmienić, zwłaszcza jeśli do głosu dojdzie feministyczna analiza jego twórczości. Wówczas Kundera może wpaść w spore kłopoty...



OZ.

Europa Wschodnia – miejsce, gdzie wydarzyła się Zagłada

Z Piotrem Pazińskim,
tłumaczem m.in. z hebrajskiego
i znawcą problematyki żydowskiej,
rozmawia Ziemowit Szczerek

Piotr Paziński jest byłym redaktorem naczelnym czasopisma „Midrasz”, doktorem literaturoznawstwa, tłumaczem m.in. z języka hebrajskiego.

Ziemowit Szczerek jest dziennikarzem i pisarzem. Zajmuje się m.in. europejskimi peryferiami. Związany z „Gazetą Wyborczą” i „Polityką”.

Ziemowit Szczerek: O ludziach urodzonych w pierwszych latach XX stulecia mówiono, że są „dziećmi wieku”. Kimś takim był dla Izraela Amos Oz. Urodził się chwilę przed niepodległością Izraela, opisał prawie cały proces jego powstawania i trwania w XX i na początku XXI wieku. Był izraelskim „dzieckiem niepodległości”?

Piotr Paziński: Po pierwsze – nie był jedyny. Amos Oz, owszem, zrobił największą karierę spośród izraelskich czy hebrajskich pisarzy, może obok Szmuela Josefa Agnona, swojego duchowego ojca. Albo dziadka, bo pokoleniowo raczej dziadka, a pisarsko ojca. I rzeczywiście wpasował się w pewne oczekiwania dotyczące izraelskiego intelektualisty, pisarza, który jest znany na świecie. Chętnie wypowiada się w sprawach politycznych, wykazując się zarówno patriotyzmem, jak i krytyką wobec swojego kraju. Jest lewicowy i jednocześnie patriotyczny, popiera proces pokojowy i nie lubi izraelskich nacjonalistów. No i pisze dobre książki. To książki skrojone pod gust zarówno izraelski, jak i nieizraelski. Międzynarodowy. To połączenie powodowało, że świetnie się sprzedawał i chyba cieszył się największym wzięciem spośród izraelskich pisarzy, chociaż – jak już mówiłem – nie był jedyny w swoim pokoleniu.

Potrafił napisać czytało, ale nawet te czytała były frapujące, nie były intelektualnie miałkie, a świetne. Na przykład „Czarna skrzynka” to właśnie tego typu przypadek.

Potrafił napisać czytało, ale nie on jeden. Dawid Grossman też w sumie potrafił napisać czytało. I Me'ir Szalef także. Jakoś tak się stało, że był najpopularniejszy, nie wiem, czy najwybitniejszy, na pewno najbardziej wyrazisty, najbardziej otwarty na dialog ze światem, najpłodniejszy.

Oz nie do końca może był rówieśnikiem państwa izraelskiego, bo rówieśnikiem państwa izraelskiego był Me'ir Szalef, urodzony w 1948, a zmarły w 2020 roku, natomiast Oz urodził się w roku 1939, ale faktycznie był świadkiem ogłoszenia niepodległości Izraela, pamiętał jeszcze Jerozolimę z czasów mandatu brytyjskiego.

Tych słynnych żołnierzy brytyjskich siedzących w kawiarniach w Jerozolimie, o których pisał.

Tak. Podejmował też różnego rodzaju decyzje tożsamościowe, które uczyniły z niego postać bardzo wyrazistą.

Jakie to były decyzje?

Urodził się już w Izraelu i uważał się za człowieka tylko i wyłącznie stamtąd, co nie zawsze było rozumiane w Europie, bo przecież był synem emigrantów z Europy. Jego rodzice wyjechali do Izraela stosunkowo późno, przed samą II wojną światową. Matka z Równego, ojciec z Wilna, rodzina ojca dodatkowo z Warszawy i Odessy, przy czym ta gałąź odeska miała w jego życiu szczególne znaczenie. Jego rodzice znali łącznie kilkanaście języków, ale wychowali go wyłącznie w hebrajskim, co było pewnego rodzaju eksperymentem intelektualnym, tożsamościowym. To oni zdecydowali, że Amos będzie Izraelczykiem, ale też sam Oz wybrał wyłącznie izraelską tożsamość, a odrzucił europejskie korzenie. Postanowił nie reprezentować diasporowej żydowskości, nie chciał być jak jego ojciec, który był typowym postdiasporowym Żydem, takim europejskim inteligentem w okularach, który ostatecznie nie potrafił się odnaleźć w Izraelu.

Nazywali się Klausnerowie. Siedemnastoletni Amos po samobójczej śmierci swojej matki, którą opisał w „Opowieści o miłości i mroku”, na złość ojcu wynosi się z domu, zostaje kibucnikiem, czyli siada na traktor, staje się rolnikiem i zmienia nazwisko na Oz, co oznacza po hebrajsku „siła”, „moc”.

Chciał być nowym typem Żyda, który miał być odpowiedzią na te wszystkie cierpienia i kompleksy Żydów europejskich, diasporowych.

I jednocześnie pisze. Ale uwaga: pisze, odwołując się jednak do diaspory, do literatury rosyjskiej, polskiej, do tego, co mu rodzice podsuwali, co zastał w domowej bibliotece. Cały czas gra swoją tożsamością. Jest tym nowym prawdziwym Izraelczykiem, który siedzi w kibucu, w dzień pracuje na traktorze, ale wieczorami pisze książki, sięgając przy tym po literaturę europejską. W kibucu mieszkał zresztą kilkadziesiąt lat, a tym wielkim międzynarodowym Amosem Ozem stał się dopiero w latach osiemdziesiątych. Takim, który najpierw pisze do gazet izraelskich, wypowiada się w każdej sprawie, w sprawie osadników, wojny, procesu pokojowego, a potem jeździ po całym świecie i wchodzi do ekstraklasy pisarzy globalnych.

Oz cały czas grał swoją tożsamością. Był tym nowym prawdziwym Izraelczykiem, który siedzi w kibucu, w dzień pracuje na traktorze, ale wieczorem pisze książki, sięgając po literaturę europejską.

| Kształtowanie się jego tożsamości było złożonym procesem?

Tak. Mieszkali w Me'a Sze'arim, dzisiaj to jest dzielnica chasydzka, ale wtedy, na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych, zasiedlali ją emigranci z Europy, często też z Polski, z Rosji, mówiło się tam po polsku, po rosyjsku, w jidysz. Jerozolima była wówczas nie tylko miastem muzułmańsko-arabskim, ale także miejscem zamieszkania starych sefardyjskich rodów, które przebywały tam od dziesięciu, piętnastu pokoleń, bo przecież Żydzi cały czas bytowali na tej ziemi.

Oczywiście była to też Jerozolima ultraortodoksów czy chasydów z Europy Wschodniej, którzy przyjeżdżali tam od końca XIX wieku. Ale dla nich wszystkich ci diasporowi, świeccy Żydzi, jak rodzina Klausnerów z Europy Wschodniej, byli zupełnie obcy, bo Jerozolimę przed nimi zamieszkiwali ludzie, których przodkowie pochodzili z Hiszpanii, Portugalii, Włosech, Bałkanów czy Turcji. I nagle zwalają się im tam na głowy tacy dziwni przybysze. No i ten syn Klausnerów, który tam się rodzi, zostaje najważniejszym, czyli największym, pisarzem hebrajskim swojego pokolenia.

| Czyli znowu się okazuje, że aszkenazyjczyk wygrał.

Tak. W konkurencji np. z pisarzem Jehoszuą Perle to aszkenazyjczyk wygrał z sefardyjczykiem. Ale trzeba zaznaczyć, że Oz miał wpływową rodzinę. Nie był znikąd.

Jego stryjeczny dziadek, barwnie opisany w „Opowieści o miłości i mroku”, Josef Klausner, pochodził z Odessy i był znaczącą postacią w hebrajskim odrodzeniu narodowym. Uciekł z bolszewickiej Rosji do Palestyny i tam się osiedlił. W późniejszym Izraelu stał się jednym z ideologów czegoś, co dziś nazywalibyśmy prawicą.

**Kwestie wschodnioeuropejskie
Oz poruszył dopiero
w „Opowieści o miłości i mroku”
z 2002 roku. Europa Wschodnia
to dla niego kraje, w których
się wydarzyła Zagłada. No bo
jak inaczej może na te kwestie
spoglądać człowiek urodzony
w Izraelu?**

Była to ważna, wielka postać, wręcz ikoniczna dla Izraela. Oz zresztą opisuje to w „Opowieści o miłości i mroku”, w tej autobiograficznej, nie wiem czy najlepszej, ale mocno autobiograficznej książce, w której pokazuje genealogię swojej rodziny. I ze strony matki, i ze strony ojca. Josef Klausner był stryjem ojca. Człowiek, z którym Amos Oz całkowicie się nie zgadzał jako młody człowiek, ale który – z drugiej strony – umożliwił mu dostęp do elit. To ważne: Klausnerowie nie byli zwykłymi emigrantami, od razu na-

leżeli do akademickiej, czyli intelektualnej elity. Ponadto ich najbliższym sąsiadem był Szmuel Josef Agnon, najważniejszy – obok Chaima Nachmana Bialika – pisarz hebrajski, twórca modernistycznej, nowoczesnej literatury hebrajskiej. A potem jedyny izraelski noblista w 1966 roku. Kiedy Oz jest nastolatkiem, może więc przychodzić do stryja i jednocześnie odwiedzać Agnona – a to jest postać absolutnie pomnikowa, twórca literatury hebrajskiej. Tak więc można powiedzieć, że Oz nie wyrastał w próżni. Miał z jednej strony wpływowego stryja, a z drugiej – najważniejszego wówczas pisarza, który stał się jego mentorem.

Czytając wywiady Oza, można odnieść wrażenie, że był świetny w autopromocji. Co chwilę mówił, że wymyślił jakieś określenie w języku hebrajskim, że pierwszy zaobserwował jakieś zjawisko. Co chwilę puszył się, że właściwie współtworzył język hebrajski. Ile w tym było prawdy?

Nie umiem powiedzieć, ile było prawdy. Na pewno Agnon współtworzył język hebrajski. Był pisarzem z jednej strony piszącym już w Izraelu, ale z drugiej – cały czas piszącym prozę wywiedzioną z dwóch tysięcy lat diaspy, sięgającym do różnych warstw hebrajszczyzny. Można powiedzieć, że to on stworzył nowoczesny literacki język hebrajski, który dzisiaj jest już jednak staroświecki. Sam tłumaczyłem jego teksty, więc zdaję sobie

sprawę z tej archaiczności. Amos Oz to było jakby pokolenie jego wnuków, i to on właśnie rozpoczął pisanie prostym hebrajskim. Jego debiutancka książka „Tam, gdzie wyją szakale” to zbiór opowiadań, obrazków z życia kibucu napisana takim żywym hebrajskim, pozbawionym naleciałości jidyszowych czy melodyki diasporycznej, która pojawia się u Agnona i Bialika. Na przykład wiersze Bialika, których dzieci się uczą dziś w szkole w Izraelu, są trudne do zapamiętania. Stosuje on akcent paroksytoniczny, tak naprawdę jidyszowo-rosyjski. Natomiast Oz stworzył nowy język dla nowych czytelników – dla nowych Izraelczyków, dla ludzi, którzy wra- stają razem z państwem, już się z nim utożsamiają. Oz również jest już stamtąd i dopiero w „Opowieści o miłości i mroku” pisze np. o Zagładzie, która położyła się przecież cieniem na życiu jego matki, która straciła całą rodzinę w Równem. Uważał, że Zagłada była jedną z przyczyn jej depresji i samobójstwa. Natomiast on sam o Zagładzie raczej nie pisał. Pisał o życiu kibucu, o rolnikach, nie o rzeczach, które wydarzyły się w Europie. Jednak mimo tego pisał w sposób, który przypominał styl izraelskiego, hebrajskiego Czechowa. I mnie się wydaje, że jego sukces polega na tym, że o ile Agnon jest mocno hermetyczny, ponieważ opiera swoją modernistyczną literaturę na piśmiennictwie rabinicznym i na literaturze żydowskiej, o tyle Oz, czyli jego, powiedzmy symboliczny wnuk, pisze po hebrajsku tak, jak mógłby pisać... nie wiem kto... może trochę Hemingway...

I Może Hłasko...

Może Hłasko. Później puszcza jednak oko i mówi: jestem trochę jednak z Czechowa, lubię obserwować ludzkie losy, lubię się im przyglądać. Natomiast z tą promocją to trochę racja, bo on zawsze powtarzał te same anegdoty. Rozmawiałem z nim w Krakowie, chyba w 2010 roku. Zorientowałem się, że przytacza – całymi blokami – odpowiedzi, które znałem z jego wywiadów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To były te same anegdoty, te same grepsy, których stworzył kilkanaście i potem dla wygody je powtarzał. Opowiadał o swoim udziale w powstaniu państwa, o swoim doświadczeniu w kibucu, odwołując się przy tym do Czechowa czy zaznaczając, że jego ojciec znał dziesięć języków, a on zna hebrajski i to wystarczy, ale z drugiej strony potrafił powiedzieć to konferencyjnym angielskim. No i zgadzał się na dokonywanie przekładów jego dzieł z języka angielskiego. To jest ważne. Od tego wcześniej zależała np. kariera Izaaka Baszewisa Singera – on był pierwszym pisarzem jidyszowym, który

zgadzał się na tłumaczenie jego dzieł z angielskiego. Oz zrobił to samo. Inni izraelscy pisarze uważali, że w ten sposób osłabia się hebrajszczyznę i wysłał sygnał: „Nie musicie znać mojego natywnego języka, możecie tłumaczyć z angielskiego”. Dzięki temu Oz zrobił większą karierę. Zgadzał się na uproszczenia, byleby tylko go czytano. Zarazem uważał się za patriotę języka hebrajskiego. Nie wiem, czy miał wkład w powstanie wielu nowych słów, choć kilka razy wskazywał jakieś przykłady.

Pamiętam, że opisywał historię, że wiozący go taksówkarz kiedyś użył jakiegoś słowa, które on wymyślił.

No tak, ale czytając jego dzieła, nie mam wrażenia, że wniósł jakiś istotny wkład w rozwój leksyki w języku hebrajskim. Na pewno był pisarzem nowatorskim pod względem stylu. Porzucił konwencje swoich poprzedników, którzy cały czas grali z jidysz, z diasporą, z tradycją rabiniczną, z judaizmem, ze sztetlem itd. A on opisywał prostym językiem życie w kibucu, choć jednocześnie zachował bogactwo tego języka. Może to wystarczyło. Myślał: opiszę życie intymne, opiszę umiejętnie siebie, opiszę rozpad miłości z punktu widzenia kobiety.

A jakie były jego relacje z Europą Środkową? Wschodnią? Z której jednak wywodzili się jego przodkowie.

Te relacje zaczęły się bardzo późno. Jego rodzice pochodzili z Europy Wschodniej, ale w latach siedemdziesiątych nikt by go – lewicowego Izraelczyka – nie wpuścił do Odessy czy Wilna. Więc ta tradycja była odcięta przez pół wieku. Do Polski też raczej tacy ludzie nie przyjeżdżali. Te pierwsze kontakty nawiązywano dopiero w końcu lat osiemdziesiątych. Ci, którzy urodzili się w Izraelu, odkrywali Europę Wschodnią bardzo późno. Myślę, że z nim też tak było. Możliwe zresztą, że prawie nigdzie się nie ruszał przez kilkadziesiąt lat. Siedział w kibucu i pisał. Jednak Izrael był dość zamkniętym, zaściankowym państwkiem przez pierwsze trzy, cztery dziesięciolecia. Owszem byli w nim inteligeni, którzy czytali książki. Dopiero po wojnie sześciodniowej Izrael stał się większy, silniejszy, bardziej liczący się w świecie. Jest gdzieś wspomnienie, że Oz był w Paryżu, ale myślę, że to raczej był wyjątek, nie reguła. Myślę, że jeździć zaczął dopiero później, w latach osiemdziesiątych, gdy stał się wielkim, znanym pisarzem. A do Europy Wschodniej dotarł jeszcze później.

Czyli właściwie jego kontakty z Europą Wschodnią zbiegły się z upadkiem komunizmu. A czy można zaobserwować, jakie miał podejście do Europy Wschodniej? Do Polski, Litwy, Ukrainy, Rosji?

Porusza te kwestie dopiero w „Opowieści o miłości i mroku” z 2002, i to są jednak dla niego kraje, w których się wydarzyła Zagłada. No bo jak inaczej może na te kwestie spoglądać Oz urodzony w Izraelu? „Myśmy tam mieszkali setki lat, interesuje mnie ta kultura, ale już nie ma żydowskiego Równego, nie ma żydowskiego Wilna, nie ma Warszawy, nie ma, właściwie nie ma do czego wracać.

Jeśli wracam, to już wracam jako Izraelczyk, izraelski turysta, który co najwyżej odwiedza jakieś miejsca swoich przodków, ale to tyle”. Ale z drugiej strony zawsze odnosił się z sympatią do Polski, choć myślę, że to były głównie jakieś spotkania z czytelnikami. On nie pisał o Europie Wschodniej, w przeciwieństwie do innych pisarzy, takich jak np. Agnon, który jedną nogą siedział w Izraelu, a drugą nogą jednak w diasporze, i tak było do końca jego życia. Albo Grossman, który napisał pierwszą książkę o Schulzu, a potem wracał do tego tematu. Oz, poza „Opowieścią o miłości i mroku”, gdzie wspomina dzieje rodziny matki i ojca, pisze właściwie wyłącznie o Izraelu.

Oz może w Europie Wschodniej nie był, ale sama Europa Wschodnia była w Izraelu. Na przykład w książce „Na ziemi Izraela”, co chwila się pojawia tam postać Menachema Begina, prawicowego premiera Izraela. A Begin, mam wrażenie, był bardzo wschodnioeuropejski.

No tak, Begin miał wszystkie cechy takiego hałaśliwego, stereotypowego rozkrzyczanego łódzkiego żydowskiego adwokata, który przemawia za długo, macha łapami. Faktycznie jest strasznie wschodnioeuropejski, nosił też topornie skrojony wschodnioeuropejski garniturek, po prostu inteligent z Warszawy – którym zresztą był – który później został premierem Izraela. Oz go nienawidził, ale z powodów politycznych. Oz był człowiekiem o lewicowych poglądach, zaangażowanym w ruch pokojowy, a Begin był przywódcą prawicowego Likudu.

O Europie Wschodniej mówił tak: „Myśmy tam mieszkali setki lat, interesuje mnie ta kultura, ale już nie ma żydowskiego Równego, nie ma żydowskiego Wilna, nie ma Warszawy, właściwie nie ma do czego wracać. Jeśli wracam, to już wracam jako Izraelczyk, izraelski turysta, który co najwyżej odwiedza jakieś miejsca swoich przodków, ale to tyle”.

Chociaż warto wspomnieć, że ten jego ukochany stryj z Odessy, Josef Klausner, był właśnie rewizjonistą, czyli towarzyszem ideologicznym Begin. Ale i ojciec Oza był prawicowcem, dziadek, tak więc ten lewicowy wybór Oza to też był bunt przeciwko rodzinie.

Oz myślał sobie: „Wy się nazywacie Klausnerowie, a ja się będę nazywał Oz, wy jesteście prawicą, a ja będę lewicowcem, wy się nie ruszacie z Jerozolimy, i mieszkacie w takiej dzielnicy, że to równie dobrze mogła by być Europa Wschodnia, a ja pójdę do kibucu, i ja w tym kibucu będę socjalistą”. No ale nie był, oczywiście, prosowiecki, zresztą od sześćdziesiątego siódmego roku, od czasu wojny sześciodniowej, trudno było być w Izraelu jakkolwiek prosowieckim, bo Związek Radziecki popierał wtedy przecież Arabów.

Oz zaktywizował się najbardziej politycznie dopiero po wygranych przez Izrael wojnach, kiedy ten kraj stał się bardziej mocarstwowy, gdy rozkręcił się ruch osadniczy na terenach palestyńskich, to jest dopiero połowa lat siedemdziesiątych, kiedy władze wydają zgodę pierwszym osadnikom na budowę osiedli wokół Jerozolimy. I Oz zaczyna być bardzo krytyczny wobec tendencji osadniczych. W takim bardzo Ben-Gurionowskim guście, to znaczy, że nie bardzo wiadomo, co zrobić z tym Zachodnim Brzegiem, ale lepiej się tam nie pakować na stałe, ponieważ będą z tego kłopoty. Jest krytyczny, ale jednak w książce „Na ziemi Izraela” oddaje głos osadnikom.

No tak. I innym zwolennikom Begin. I to jest jednak wyjście poza bańkę – jakbyśmy powiedzieli dzisiaj.

No tak. To jest powiedzenie: „muszę wysłuchać moich przeciwników politycznych”.

„Muszę rozmawiać z tymi, z którymi się zupełnie nie zgadzam. Chcę zrozumieć ich motywację”. I to zawsze tak było. To znaczy on faktycznie zawsze chciał zrozumieć motywację innych. No, ale dzisiaj Izrael to już jest zupełnie inny kraj.

Ale Oz w swojej lewicowości i propokojowości uważał też, że mimo wszystko trzeba się kierować przede wszystkim interesem Izraela. Rozumiejąc oczywiście perspektywę Arabów, ale też jednak nie zapominając, że Żydzi mają tu swój interes i nie mogą o nim zapominać.

Tak, on o tym zawsze mówił. Był państwowcem, nie był taką lewicą, która mówi „zróbmy państwo dwunarodowe”. Opowiadał się za rozwiązaniem

dwupaństwowym, za oddaniem Zachodniego Brzegu, czyli Judei i Samarii, państwu palestyńskiemu, ale pozostawieniem reszty przy Izraelu.

Pamiętał jeszcze podzieloną murem Jerozolimę, bo jednak on się rodzi w czasach, kiedy Jerozolima jest jednym miastem, ale od 1948 do 1967 roku była podzielona podobnie jak Berlin, czy Nikozja, płotem. I ten

płot przechodził pół kilometra od jego domu. Od tej dzielnicy, w której mieszkał. To jest tak, jakby mieszkać na Kreuzbergu i mieć dosłownie kawałek dalej płot i jednak inne państwo. Zresztą Jordańczycy przecież ostrzeliwali Jerozolimę. Oz pamiętał wojnę, pamiętał oblężenie Jerozolimy w 1948 roku, choć był wtedy dzieckiem. Zawsze podkreślał, że nie zamierza się nigdzie wynosić, że jest u siebie, że Żydzi mają własne państwo, że to jest wartość. To państwo ma być sprawiedliwe, ułożyć się z sąsiadami.

Oz zawsze podkreślał, że nie zamierza się nigdzie wynosić, że jest u siebie, że Żydzi mają własne państwo, że to jest wartość. To państwo ma być sprawiedliwe i ma ułożyć się z sąsiadami.

A jaka jest pozycja Oza na izraelskiej prawicy? To znaczy, czy jest on bohaterem tylko jednej formacji, czy jednak całego społeczeństwa?

Gdy Oz zmarł pod koniec grudnia 2018 roku, to prezydent Reuven Rivlin z prawicowego Likudu pojechał na jego pogrzeb. A Bibi, Benjamin Netanyahu i wielokrotny premier Izraela, też z Likudu, powiedział, że wie, że Amos Oz go nie znosił, ale musi powiedzieć, że nie było pisarza, który by tak kochał nasz język hebrajski jak on. Prezydent mówił, że „wszyscy jesteśmy z Amosa”, że każdy miał swojego, własnego, prywatnego Amosa. Pogrzeb odbył się w kibucu.

Oz pochodził z rodziny całkowicie świeckiej. Ale zawsze podkreślał: „Nie musicie być wierzący, nie musicie być praktykującymi Żydami, możecie nie przykładać wagi do szabatu, micwy i tak dalej, ale Biblia jest waszą księgą. To jest księga, z której wziął się wasz język.

Oz potrafił wychodzić daleko poza własne poglądy. Na przykład książka „Judasza” jest intelektualnie bardzo odważna. Opowiada o człowieku, który uważał, że państwo Izrael nie powinno było w 1948 roku powstać. Twierdził, że należało się z Arabami porozumieć i stworzyć dwunarodowe państwo arabskie, z mniejszością żydowską, do której pozwolono by przyjechać stu, powiedzmy, tysiącom ocalańców z obozów. Czy takim ludziom, którzy rzeczywiście już nie mieli gdzie się podziać w Europie.

Ważny jest fakt, że ów przeciwnik powstania państwa Izrael był Żydem z Jerozolimy, a zwolennikiem powstania Izraela byli w książce ci, którzy się urodzili w Europie i tylko do Palestyny przyjechali. To jest duża odwaga intelektualna, żeby tak odwracać rolę, pokazać alternatywę.

A potrafisz sobie wyobrazić Oza w takiej właśnie historii alternatywnej, ale mieszkającego w Polsce, a nie w Izraelu?

Otóż jest coś takiego. Oz napisał bardzo ciekawy komentarz do najważniejszej powieści Szmuela Josefa Agnona. Agnon w 1966 roku, odbierając literacką Nagrodę Nobla, wygłosił słynne przemówienie, jego fragment zresztą jest nawet na pięćdziesięcioszeklowym banknocie, razem z twarzą Agnona, i w tym przemówieniu powiedział, że wskutek katastrof historycznych urodził się w jednym z miast diaspory, ale zawsze czuł, że jest lewitą z Jerozolimy, że śpiewa w świątyni jerozolimskiej i tak dalej. A Oz skomentował, że w gruncie rzeczy można by to odwrócić i powiedzieć, że wskutek katastrof historycznych został pisarzem hebrajskim w Izraelu, a nie rabinem w Buczaczu. I myślę, że pisząc to słowo o Agnonie, mógł myśleć również o sobie. Że wskutek katastrof historycznych urodził się w 1939 roku w Jerozolimie i został pisarzem hebrajskim, ale gdyby dzieje Europy potoczyły się inaczej, zostałby, powiedzmy, żydowskim intelektualistą w Warszawie. Albo w Wilnie. Albo w Nowym Jorku. I byłby kimś zupełnie innym. Może i pisarzem, ale raczej nie współtwórcą języka hebrajskiego. Zresztą – umówmy się – pisarzowi hebrajskiemu w tamtym pokoleniu było łatwiej, bo ich było wtedy z Izraela raptem z pięciu. A gdyby był, na przykład, piszącym po angielsku kolejnym żydowskim pisarzem nowojorskim, to pewnie byłoby mu się trudniej przebić. Albo gdyby był, na przykład, polskim Żydem, który by przesiadywał na Krakowskim Przedmieściu w Związku Literatów...

Nazwa serii	Europa Środkowa
Redaktorzy serii	Beata Surmacz i Tomasz Stępniewski
Projekt okładki i skład	Amadeusz Targoński www.targonski.pl
Ilustracje	© Andrzej Zaręba
Copyright	Instytut Europy Środkowej
ISBN	978-83-67678-48-3
Wydawca	Instytut Europy Środkowej ul. Niecała 5 20-080 Lublin www.ies.lublin.pl

1989 – 1991:

ewolucja ładu w Europie Środkowej i Wschodniej



W 2024 roku mija 35 lat od upadku bipolarnego podziału Europy. Daty 1989 i 1991 oznaczają fundamentalną zmianę układu sił zarówno w Europie, jak i na świecie. Zimna wojna dobiegła końca, a symboliczna linia podziału z tego okresu, przebiegająca wzdłuż rzeki Łaby – „żelazna kurtyna” – przestała istnieć, dzieląc Europę na dwa przeciwstawne bloki polityczne, wojskowe i ideologiczne.

W niniejszym zbiorze wywiadów i esejów pragniemy spojrzeć na te wydarzenia z perspektywy kluczowych postaci i wydarzeń, które przygotowały społeczeństwa tej części Europy na zmiany lat 1989-1991. Poprzez refleksje nad istotnymi postaciami i politykami tamtych lat chcemy naszkicować szerszy obraz sytuacji, zrozumieć te wydarzenia i spojrzeć na nie w nowej perspektywie – bogatszej w wiedzę i czas, który upłynął od tamtych dni.

Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski

